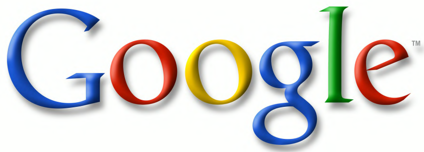

Google



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

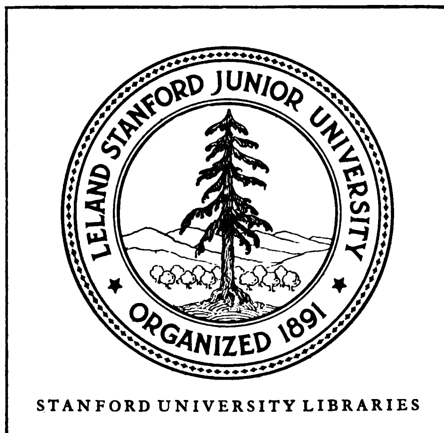
WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie. . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwarta[illegible]			„ 3
Za odn[illegible]			„



WYDAWCY
Granowski i Sikorski.

REDAKTOR
Franc. Jul. Granowski.



Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 87.

Historyczna powieść polska

Studyum krytyczno-literackie.

TEODORA JESKE-CHOIŃSKIEG[O]



Cena 40 k[op.]

W prenumeracie 30[kop.]

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya.

17. Nowy-Świat 17.

Historyczna powieść polska.

Teodor Jeske-Choiński.

HISTORYCZNA POWIEŚĆ POLSKA.

STUDYUM

KRYTYCZNO-LITERACKIE

(od Niemcewicza do Kaczkowskiego).

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Мая 1899 года.

Zamiast przedmowy.

Teodor Jeske-Choiński (ur. 1854 r.) pobierał nauki średnie w gimnazyach łacińskich w Śremie i Poznaniu, a wyższe na wydziale filozoficznym uniwersytetów: Wrocławia, Pragi Czeskiej i Wiednia.

Zawód literacki rozpoczął już jako student drobniejszemi nowelami i sylwetkami krytycznemi, właściwą jednak jego działalność publiczną należy datować od r. 1882, czyli od czasu, kiedy, ukończywszy studya uniwersyteckie, osiadł na stałe w Warszawie.

Teodor Jeske-Choiński uprawiał przez czas dłuższy równocześnie trzy kierunki: był publicystą, krytykiem i belletrystą.

Jako publicysta pomieścił w pismach zachowawczych i antisemickich (w „Niwie," w „Roli," w „Słowie," w „Wieku") w przeciągu lat dziesięciu około 2,000 artykułów wstępnych, polemicznych i krytycznych. Oprócz artykułów ulotnych, potrącających o sprawy bieżące, napisał kilka rozpraw polemicznych: „Pozytywizm warszawski i jego główni

przedstawiciele" (1885 roku); „Żydzi na tułactwie" (1886 r.), „Typy i ideały pozytywnej belletrystyki polskiej" (1888 r.) i „Po latach dwudziestu pięciu" (1891 r.)

Swoje sprawozdania z bieżącej literatury, drukowane w „Niwie," „Roli," „Słowie," „Wieku," „Kuryerze Warszawskim," „Tygodniku Ilustrowanym," „Wędrowcu," „Gazecie Lwowskiej," „Przeglądzie lwowskim," przeplatał Teodor Jeske-Choiński obszerniejszemi studyami historyczno- i krytyczno-literackiemi: „Główne prądy tendencyjnej powieści niemieckiej" (1882 r.), „Dramat niemiecki XIX-go wieku" (1883 r.), „Epopea rycerska Niemców" (1884), „Henryk Heine" (1885), „Źródło i pochód naturalizmu w belletrystyce francuskiej" (1882), „Teatry Paryzkie" (1889), „Oktawiusz Feuillet" (1891), „Emil Zola jako polemista i krytyk" (1892) i t. d.

Jako belletrysta, uprawiał T. Jeske-Choiński do lat ostatnich głównie powieść społeczną z zabarwieniem tendencyjnem: „Z miłości" (1884), „Stłumione Iskry" (1886), „Nad Wartą" (1888), „Z kulą u nogi" (1891), „Po Złote Runo" (1892), „W pętach" (1892), „Majaki" (1894).

Wycofawszy się z ruchu polemicznego, poświęcił się T. Jeske-Choiński w latach ostatnich powieści historycznej, postanowiwszy odtworzyć w szeregu powieści cywilizacyę łacińsko-chrześciańską. Z cyklu tego wyszły dotąd dwie powieści: „Gasnące słońce" (1896 r., tłómaczona na języki: szwedki, węgierski, niemiecki i rosyjski) i „Ostatni Rzymianie" (1897, tłómaczona na język niemiecki i węgierski). Powieść

trzecia „Tyara i korona“ kończy się właśnie w „Kuryerze Warszawskim“ i w „Gazecie Lwowskiej“).

Oprócz powieści współczesnych i historycznych, napisał T. Jeske-Choiński dwa dramaty: „Na straconym posterunku“ i „Ostatni akt.“

I.

Z wystąpieniem Lutra nastały w świecie chrześciańskim czasy krytycyzmu.

Wolno, stopniowo rozrywają filozofowie gmach, na którego wykończenie składało się lat tysiąc. Rozrywają zrazu ostrożnie, bo szanują jeszcze przeszłość, z której sami bezpośrednio wyszli.

Rokosz myśli, domagającej się wyzwolenia z pod przewagi Kościoła, poczęty we Włoszech, rozdmuchany w Niemczech przez protestantyzm, wichrzący w Anglii, wybuchnął ostatecznie i nad Sekwaną, gdzie wydał natychmiast skutki praktyczne. Krewki Francuz nie bawił się długo w dysputy teoretyczne: porwał za oręż i zdruzgotał cały porządek przeszłości.

Autorytet i indywidualizm stanęły do krwawego boju. Wiadomo, że drugi pokonał na razie pierwszego.

Zwalił się w gruzy gmach dawnych zasad, przekonań, celów. Bóg przestał istnieć, „zabity przez rozum," z duszy drwił, kto chciał uchodzić za mądrego, skonał na szafocie król, ustaw krajowych, społecznych i towarzyskich nikt nie szanował, bo każdy dzień przynosił nowe prawa i nowych panów. Kto wczoraj rozkazywał, dawał jutro głowę pod gilotynę. przepadła wszelka powaga.

Historyczna powieść polska.

Po orgii rozumu odurzano się z przyjemnością wspomnieniami owych czasów, w których rycerstwo szło na Wschód, by bronić grobu Chrystusowego przeciw zniewadze innowierców. Wyśmiane przez „oświeconych“ wieki średnie miały dla reakcyi, wracajacej cześć uczuciu, tem więcej powabu, że, strojne w barwne draperye rycerstwa i owiane pieśniami trubadurów, działały na wyobraźnię. Ten cały zaczarowany świat złocistych zbroi, pioropuszów, zamków, przygód, legend, pobożnych modłów i gwałtownych namiętności, podobał się zdaleka estetykom, którzy stawiali na miejsce rozumu poezyę i piękno.

W chwili, kiedy reakcya literacka wydobywała ze skarbnicy przeszłości stare zbroje i przyłbice, legendy i zwyczaje średniowieczne, dojrzewał w Szkocyi niepospolity talent pisarski, który miał stworzyć nowy rodzaj beletrystyki. Był nim Walter-Skott, początkodawca powieści historycznej.

Rozmiłowany od lat najwcześniejszych w balladach i opowieściach górskich, zbierał je Walter-Skott skrzętnie, ucząc się ich nawet na pamięć. W roku 1803 wydał wiązankę pieśni ludowych, dodając do tego pokłosia garść wlasnych utworów. Równocześnie dostarczał „artykułów,“ jakby się dziś powiedziało, do Jeffrey'a ***Edinburg Review***, czasopisma, istniejącego od roku 1802. Zrażony zbyt jaskrawo akcentowanym liberalizmem redakcyi, wystąpił w roku 1809 z ***Edinburg Review*** i założył własny organ p. n. ***Quarterly Review***. W czasie tym napisał i wydał kilka poematów powieściowych, które zyskały sobie powszechne usnanie.

Właściwa działalność powieściopisarska Walter-Scotta rozpoczyna się dopiero z r. 1814. Jest to termin ukazania się jego pierwszej powieści historycznej *(Wawerley)*, wydanej bezimiennie. Za tym pierwiosnkiem jego muzy epickiej poszedł długi szereg romansów, osnutych na tle przeszłości. Wiadomo, że Scott pisał dużo i szybko.

Potrącenie struny, która w danej chwili najgłośniej dźwięczy, bywa tajemnicą natychmiastowego a szerokiego powodzenia. Walter-Scott odgadł upodobania swojego czasu i dlatego zdobył sobie prawie bez walki uznanie powszechne.

Z niesłychaną chciwością połykała Europa romanse historyczne Walter-Scotta. A on zakasał rękawy i pisał bezustannie. Bywały lata, w których rzucał na rynek księgarski po dwanaście tomów.

II.

Szeroko rozlała się powieść historyczna po Europie. W Niemczech zaciągnął się pod sztandar Walter-Scotta głównie Willibald Alexis, w Danii Paweł Möller i Ingermann, we Włoszech Manzoni, a we Francyi znalazł bajarz szkocki takich naśladowców, jak Wiktor Hugo i starszy Dumas.

Kto chciał oddziaływać szybko i doraźnie na wielkie masy czytelników, ten wydobywał z bibliotek zapomniane kroniki, raptularze, szpargały różne, uczył się archeologii, przeplatał tę starzyznę romansem i... zbierał oklaski.

Świeży prąd, który wytrysnął z gór szkockich, dotarł w krótkim czasie do granic Polski. Jeżeli gdzie, to umiano nad Wisłą ocenić doniosłość reakcyi, która wprowadzała do literatury pierwiastek rodzimy.

Już na kilkadziesiąt lat przed Walter-Scottem rozumiano u nas znaczenie historyi, wplecionej do dzieł belletrystycznych. Dwóch księży, pijar Michał Dymitr Krajewski (ur. 1746 † 1817) i misyonarz Franciszek Salezy Jezierski (ur. 1738 † 1791), napisali jeszcze w XVIII stuleciu kilka powieści, w których występują nazwiska historyczne. Tylko nazwiska, o tem bowiem, iż powieściopisarz historyczny *powinien się starać* odtworzyć tło i psychologię da-

nej epoki, nie mieli nasi „poprzednicy“ Walter Scotta żadnego wyobrażenia.

Ks. Krajewskiego „Leszek Biały,“ naśladując Telemaka Fenelona, uczy następców tronu, których w królestwie elekcyjnem nie było, jak trzeba się obchodzić z ludźmi, a ks. Jezierskiego „Goworek“ (1789 r.) i „Rzepicha, matka królów“ (1790 r.) polemizują z przesądami arystokratów drugiej połowy XVIII wieku. Pierwsze dzieło jest właściwie, mimo nazwisk historycznych, rozprawą dydaktyczną, drugie zaś dwa są powieściami tendencyjnemi.

Właściwą powieść historyczną zapowiedział u nas Julian Ursyn Niemcewicz (ur. w roku 1758 † 1841), poeta, dziejopis, mąż stanu, a przedewszystkiem obywatel, gotowy zawsze szczerem, pełnem sercem na usługi kraju.

Pominąwszy „Dwóch Sieciechów“ Niemcewicza („Dwaj panowie Sieciechowie, 1815 r.), którzy przypominają więcej Krajewskiego i Jezierskiego, niż Walter-Scotta, należy się jego „Janowi z Tęczyna“ (1825 r.) trwalsza pamięć choćby dlatego, iż dzieło to było pierwszą polską powieścią historyczną.

Któż nie czytał „Jana z Tęczyna“ i nie zazdrościł kiedyś, w wiośnie życia, urodziwemu Toporczykowi jego romansu z piękną królewną szwedzką?

Młody Jan Tęczyński wraca z dalekich krajów, gdzie się, zwyczajem bogatych paniczów XVI i XVII stulecia, „polerował,“ jak wówczas mówiono. Ogładziwszy się dostatecznie na dworze cesarza Karola, podążył w strony rodzinne, wiodąc z sobą przyjaciela: *Don Alonza Fernandez Juan Joseppe di Medina Coeli.*

Powieść Niemcewicza rozpoczyna się tuż przed progiem zamku Tęczyńskich. Stare baszty mają się właśnie ukazać stęsknionym oczom dziedzica, a ciekawym gościa, „kiedy się światło dzienne jęło zachmurzać, ważące się nad jeziorem rybitwy żałosnym krzykiem napełniały powietrze, wspaniały orzeł,

gromady ptastw różnych, podwojonym lotem do siedlisk swoich dążyły coprędzej. Niedarmo; przeraźliwy łoskot grzmotu po dwakroć dał się słyszeć okropnie, siarczysty piorun ukośnemi strzały czarne przedzierał obłoki, lunął deszcz potokiem."

Zdawałoby się, że autor potrzebował tej burzy jako dekoracyi do jakiegoś nadzwyczajnego wypadku, z którego się akcya wywiąże. Tymczasem chronią się Tęczyński i Hiszpan przed ulewą do chaty leśnika, gawędzą z jego żoną, następnie z nim, pokrzepiają się jedzeniem i piciem, a gdy się wypogodziło, udają się do zamku. W jakim celu poruszył Niemcewicz na samym wstępie: rybitwy i orły, grzmoty i siarczyste pioruny, obłoki i potoki? Chyba sam nie wiedział. A powinien był wiedzieć, bo naśladując mistrza z Abbotsfordu, dostrzegł był bezwątpienia, że powieściopisarz szkocki nie trwonił nigdy bez powodu barw jaskrawych i krajobrazów.

W domu zastał Tęczyński liczne zebranie krewnych, dygnitarzów koronnych i „panów braci," na zamku bowiem obchodzono imieniny wojewodziny i spiskowano przy tej sposobności przeciw królowej Barbarze, małżonce Zygmunta Augusta. Panom i szlachcie, acz każdy z nich mienił się w duszy równym królowi, uwidziało się, że władca dopuścił się mezaliansu, żeniąc się z księżniczką polską. Gdyby to byla jaka udzielna grafini cudzoziemska, panująca nad kilkudziesięciu włókami, nie uchybiłby monarcha majestatowi tronu, ale córka karmazyna litewskiego...

Zjechali do Tęczyna: biskup Gamrat i hetman Tarnowski, Piotr Kmita i Mielecki, Firlej i młody Jan Zamojski. Same nazwiska historyczne! Z takiego bukietu mógł autor uwić wieniec barwny i miły dla oka, mógł roztoczyć obraz ówczesnych obyczajów i zwyczajów, poglądów i dążeń. Zamiast tego, wyręczył się pobieżnem opisaniem biesiad i strojów i przytoczeniem kilku mów szablonowych,

Niemcewiczowi zdawało się, że suknia w połą-

czeniu z kilku drobnemi rysami tworzy człowieka. Wiadomo, że Gamrat używał nadmiernie jadła i napojów. Ta znana z dziejów żarłoczność biskupa jest jego jedynym rysem charakterystycznym w powieści Ursyna. To samo dałoby się powiedzieć o innych dygnitarzach, występujących w „Janie z Tęczyna.“ Żaden z nich nie odsłania przed czytelnikiem duszy, choć są między nimi ludzie, którzy posiadali zanadto wyraziste oblicze, aby go historya nie ustaliła. Było np. nietrudno odmalować młodego Tarnowskiego lub starego Tęczyńskiego. A królowe: Bona i Barbara? Ileż wdzięcznego materyału dla beletrysty spoczywa w tych dwu tak blizko siebie stojących, a tak odmiennych niewiastach? Sam Zygmunt August jest kopalnią dla psychologa.

Niemcewicz nie umiał wyzyskać bogactwa epoki, którą kusił się odtworzyć w „Janie z Tęczyna.“ Chociaż historyk, nie wniknął w znaczenie i koloryt XVI stulecia. Jego panny (Stadnicka) „flirtują,“ jak młode „damy“ z czasów Stanisława Augusta, jego senatorowie pstrzą wprawdzie mowy łacińskiemi okruchami, kalecząc język ojczysty, ale w dykcyi ich niema ducha czasu.

Powieść staje się więcej zajmująca z chwilą, kiedy młody Tęczyński udaje się do Szwecyi, dokąd go Zygmunt August wysyła w poselstwie. Król, pragnąc sobie zjednać upartego wojewodę, zaszczyca jego syna misyą, którą powierza się zwykle osobom starszym i zasłużonym.

Urodziwy szlachcic polski rozkochał się w królewnie Cecylii nie bez wzajemności, bo siostra Eryka XVI przeniosła jego ponad udzielnych książąt. Po krótkim oporze ze strony króla Szwecyi, zostaje Jan szczęśliwym narzeczonym uroczej córki Gustawa.

Ale losy pozazdrościły dzielnemu młodzieńcowi niespodziewanego szczęścia. Kiedy bowiem, zdawszy sprawę w Polsce ze swego poselstwa, wracał po raz

wtóry do Szwecyi, aby uprowadzić jasnowłosą królewnę do zamku przodków, porwała go na morzu burza w groźne objęcia i wyrzuciła na jakąś daleką wyspę.

Niepotrzebnie przedłużył Niemcewicz katastrofę. Skazawszy Jana z góry na śmierć, powinien go był oddać na pastwę rozszalałym falom. Byłoby to zakończenie prędsze i poetyczniejsze. Zgon Tęczyńskiego, spowodowany jedynie przez nieuwagę, robi wrażenie niezręcznie skleconej przystawki.

Nie bardzo dbał Niemcewicz o kompozycyę, chociaż mu mistrz szkocki prostą wskazał drogę. Dość było trzymać się wzoru, jaki Walter Scott postawił w „Kwentynie Durwardzie“ dla swoich naśladowców. Z powieści tej byłby się polski naśladowca dowiedział, że tajemnica poprawnej budowy spoczywa w stopniowem rozwijaniu akcyi, która powinna składać się ze scen, powiązanych z sobą nicią przyczyn i skutków.

Tej ciągłości niema w „Janie z Tęczyna.“ Autor zestawił obok siebie pojedyńcze, luźne wypadki, nie łącząc ich w całość logiczną. Zaraz na samym wstępie opisał burzę, która nic nie ilustruje. Bardzo dobrze obyłaby się także powieść bez owych biesiad, powtarzających się bezustannie. Siostrze Jana, pannie Zofii Tęczyńskiej, kazał Niemcewicz odbyć podróż na Podole po to tylko, aby Don Alonzo mógł pomódz do jej wyswobodzenia z rąk tatarów i uzyskać przez to prawo do serca innemu panu przyrzeczonej dziewczyny. Powtórny w końcu wypadek, który pozbawił wojewodzica na owej wyspie życia, nie wynika z fabuły jako konieczne następstwo.

Niemcewicz nie rozporządzał, jak wiadomo, ani siłą słowa, ani plastyką obrazowania. Oto, jak opisał np. turniej rycerski, odbywający się na zamku tęczyńskim:

— „Zaledwie wyszła ochocza młodzież, ćwiczenia te skończywszy, gdy się otworzyły szranki.

Dały się słyszeć trąby i ujrzano czterech rycerzy w zbrojach z kopiami w ręku: byli to młody Tęczyński, nasz Hiszpan, Podlodowski i Górka. Zręczni i kształtni, objechali wokoło szranki, i widząc się naprzeciw krużganku, każdy z nich schylił na cześć dam kopię swoją ku ziemi.

— Rycerze, rozbiegłszy się w pełnym zawodzie, z rzadką zręcznością skruszyli kopie o tarcze swoje. Rozdzieliwszy się potem na pary, Tęczyński i Górka ugodzili na siebie z równą zręcznością, lecz bez żadnej nad drugim korzyści. Hiszpan, tarczę obu rękami podnosząc do góry, zwrócone mając ku gankowi oczy, spiął konia ostrogami, puścił na Podlodowskiego i tak silnie uderzył, iż Podlodowski, dużo podchmielony na uczcie, zsunął się z konia i upadł na ziemię. Już Don Alonzo, pyszny ze swego zwycięztwa, kładł mu nogę na piersi i chciał zdzierać zbroję, gdy Podlodowski zerwał się na nogi i dobył oręża. Na widok ten przybył Górka.

— Dobywać miecza—zawołał— byłoby przeciw umowie naszej; wszak to lekkie gonitwy, wszak tylko kopie kruszyć mieliśmy. Szwank wasz, panie Podlodowski, jest przypadkowym, nie czyni ci zakały, pozwól, niech ja spotkam się z przeciwnikiem twoim.

— *Volontieri* — odparł don Alonzo.

To mówiąc, obydwaj stanęli w końcach szranków.

Za danym znakiem, Hiszpan szczupły, suchy i zwinny, wypuściwszy konia, uderzył w ogromną tarcz Górki i kopia jego z trzaskiem w setne rozleciała się kawałki, lecz gdy już przeciwnika mija, Górka rzuca swą kopię, porywa Hiszpana za górne spięcie u zbroi, silnem swem ramieniem z siodła podnosi go do góry i powoli stawia potem na ziemi. Ten dowód siły i zręczności powszechne ściąga oklaski. Przybiega młody Tęczyński, ściska Górkę i Hiszpana za rękę, winszując obudwóm tak pięknego

spotkania, a gdy Hiszpan raz jeszcze rozpoczynać zawód pragnie, stary wojewoda daje znak z krużganku, że gonitwa skończona, woła Hiszpana i Górkę i każdemu złocisty puhar oddaje w nagrodę."

Nie wiele trudu zadawał sobie Niemcewicz w „Janie z Tęczyna" z częścią opisową powieści. Gdy sobie nie umiał, lub nie chciał inaczej poradzić, wtedy mówił poprostu: nie będziem opisywać... nie będziemy się rozwodzić nad wspaniałością uczty tej... nie będziem się zastanawiać nad szczegółami tych utarczek rycerskich i t. p. Choć nie było trudno naśladować język epoki, po której zostało w piśmiennictwie mnóstwo pomników, nie uważał Niemcewicz za potrzebne zastosować dykcyi do kolorytu czasu. Napisał on „Jana z Tęczyna" stylem drugiej połowy XVIII w.

„Jan z Tęczyna" nie zadawalnia krytyki surowszej, a mimo to cieszył się u współczesnych niezwykłem powodzeniem. Rozrywano książkę Niemcewicza, nazwano ją dziełem znakomitem, nieledwie arcydziełem. Rozgłos swój zawdzięcza „Jan z Tęczyna" głównie tej okoliczności, że był pierwszą historyczną powieścią polską.

III.

Powodzenie „Jana z Tęczyna" zachęciło do powieści historycznej dwóch autorów, którzy odznaczali się taką samą wszechstronnością, jak Niemcewicz. Franciszek Wężyk (ur. 1786 † 1862) napisał „Władysława Łokietka" (1828 r.) i „Zygmunta z Szamotuł" (1830 r.) — Fryderyk hrabia Skarbek (ur. 1792 † 1866) „Tarłę" i „Damiana Ruszczyca."

Wielka postać drobnego ciałem Łokietka nadaje się wybornie do powieści. Z jego burzliwego, pełnego przygód i wysiłków bohaterskich życia można wysnuć szereg barwnych obrazów i spleść fabułę zajmującą.

Franciszek Wężyk upodobał sobie młodość późniejszego pogromcy Krzyżaków. W jego „Władysławie Łokietku" jest przyszły król dopiero księciem kujawskim, w którym nie domyśla się jeszcze nikt dojrzewającego odnowiciela poszarpanej na strzępy Polski.

Na ruchliwem tle wojen (z Niemcami i Tatarami), niezgód Piastów, spisków Gryfiny z Czechami i t. d., kwitnie romans Łokietka z piękną Jadwigą, córką Bolesława Kaliskiego.

Bohaterem drugiej powieści historycznej Wężyka „Zygmunta z Szamotuł," jest Zygmunt, syn smutnej pamięci Wincentego z Szamotuł, przebywający

na dworze krakowskim, rozmiłowany w Zofii z Ostrowa, narzeczonej Jaśka z Melsztyna,

Jak Niemcewicz, nie dorównał i Wężyk Walter-Scottowi, chociaż budował znacznie lepiej od autora „Jana z Tęczyna“ i malował tło staranniej.

Jeszcze mniej od Niemcewicza i Wężyka zbliżył się do wzoru szkockiego Fryderyk Skarbek, którego talent, polegający więcej na żywej obserwacyi, niż na intuicyi i wyobraźni, nie nadawał się do powieści historycznej.

Laury Walter Scotta pobudziły do naśladownictwa, oprócz Niemcewicza, Wężyka i Skarbka, jeszcze dwóch młodziuchnych poetów, z których jeden wzbił się później na same szczyty twórczości artystycznej.

Zygmunt Krasiński (ur. 1812 r.) napisał do współki z Konstantym Gaszyńskim „Grób rodziny Reichstalów“ (1828 r.), „Władysława Hermana i jego dwór“ (1830 r.) i kilka innych, wydanych i niewydanych powieści historycznych, z których tylko jedna, „Agay-Han,“ zwróciła na siebie uwagę czytelników współczesnych.

I Konstantego Gaszyńskiego „Dwaj Śreniawici“ (1830 r.) przeszli bez żadnego wrażenia.

Najznakomitszym uczniem Walter-Scotta był u nas Feliks Bernatowicz (ur. 1786 † 1836), autor słynnej „Pojaty.“ Swoją działalność pisarską rozpoczął Bernatowicz od przekładów, następnie przeszedł do oryginalnych komedyj prozą („Koszyk Pomarańczowy,“ „Bezżeniec w kłopotach“), w końcu zwrócił się do powieści, odpowiadającej najlepiej rodzajowi jego talentu. Sprobowawszy skrzydeł epickich w „Nierozsądnych ślubach“ (1820 r.), zadziwił w kilka lat potem nie samych tylko czytelników polskich „Pojatą córką Lezdejki, albo Litwinami XIV wieku“ (1826 r.), dzieło to bowiem przełożono na języki: rosyjski, niemiecki, francuski i angielski.

Chociaż Bernatowicz nie mógł jeszcze wie-

dzieć o technice Flauberta i Zoli, mimo to zabrał się do roboty z tą systematycznością, jaką później francuscy realiści zalecali. Nietylko przetrawił istniejący materyał historyczny, lecz zwiedził pieszo wszystkie miejscowości, w których się czynność powieści rozgrywała, badał podania ludu i zabytki narodowe.

„Pojatę“ poprzedził Bernatowicz treściwym poglądem na zwyczaje i obyczaje Litwy. Byłoby niezawodnie lepiej, gdyby był ten wstęp wcielił do fabuły, rozkładając go na kilka części, zastosowane w miejscach właściwych. Tak jednak czynił Scott, a mistrz z Abbotsfordu był wówczas powagą, której błędów nie śmiano prostować.

Z rozdziałem trzecim rozpoczyna się właściwa powieść Bernatowicza.

Przed świątynią Krywekrywejty, przed przybytkiem, w którym kapłani strzegli dniem i nocą świętego, wiecznie płonącego Znicza, staje obcy człowiek, starzec, wiodący z sobą młodzieńca. Kim jest, zkąd przychodzi? Na zapytania te odpowiada, że idzie aż z pod Kowna, a spieszy do stolicy dlatego, aby oddać syna w służbę bogów.

— Zaprowadźcie mnie przed oblicze arcykapłana Krywekrywejty, bo w jego tylko ręce chcę powierzyć losy jedynego dziecka.

Słynny Lezdejko, sprowadzony przez Jagiełłę z Prus, z pól Romowe, ukazał się niebawem w świątyni. Nieśli go najstarsi z ofiarników na krześle, obitem złotolitą materyą. Włos biały, postać wysoka, w jasną szatę odziana, wzrok przygaszony i wyraz dobroci na twarzy wyryty, niepojęte w sercu przybyszów rodziły uczucia. Było widać, że ten starzec przywykł do panowania nad sercami i umysłami.

— Witajcie, przyjaciele — odezwał się uprzejmie do gości — niech łaska bogów będzie z wami. Jeśli was nie poznaję, nie bierzcie mi tego za złe! Już od lat kilku oczy moje służą mi coraz gorzej i ledwo pozwalają dojrzeć, co mnie najbliżej otacza.

Znać taka wola bogów, ale niemniej serce moje zawsze dla ludu wiernego otwarte. Powiedzcież mi, jakie są żądania wasze?

— Ojcze światłości, pierwszy stróżu Znicza! — rzekł starszy przybysz, nizki mu pokłon oddając — racz nie gardzić moją ofiarą. Od najpierwszej młodości syn mój, którego tu przywodzę, okazywał w sobie gorącą chęć poświęcenia się usłudze bogów; lata wzmagały ją w nim coraz bardziej. Wszystko, co dzieciństwo bawi, co wiek młodzieńczy porywa, było mu obce lub nienawistne. Stronić od ludzi, twarde wieść życie, dzień i noc trawić na czuwaniu przy Zniczu, to jego były jedyne zabawy. Dwadzieścia lat kończy i coraz bardziej nastawa, żebym go stawił przed wami, prosząc o przyjęcie w liczbę sług Znicza. Bogowie wiedzą, jak wielką czynię ofiarę. Nie mam innego dziecięcia, lecz i to chętnie im poświęcę, jeśli taka ich święta wola.

Lezdejko zwrócił się do młodzieńca, zapytując go, czy czuje rzeczywiście powołanie do stanu duchownego. Na to odparł Trojdan:

— Gdyby Znicz nie przyjął mojej ofiary, poszedłbym szukać przychylniejszego bóstwa. Alboż to tyle tylko świata, co Litwy? Kto wie, może, wzgardzony, udałbym się do tych, których jęczące dzwony głoszą chwałę pana między Rusiny i Lachy. A gdybym i tam nie był zrozumiany, możebym obrócił, kędy dwurożny księżyc jest znakiem domów modlitwy i tambym wśród murów zakonnych równie spokojne i czyste wiódł życie. Gdybym zaś jeszcze nie został przyjęty, szukałbym głębokiej na puszczy jaskini i zawsze znalazłbym sposobność odłączenia się od świata.

Podobała się ta mowa stanowcza młodszym kapłanom litewskim. Czuli w niej siłę i prawdziwe natchnienie.

— Ale cóż cię mogło tak na świat oburzyć? —

pytał jeszcze Lezdejko. — Może się unosisz zemstą nierozsądną, może cię czułość nieszczęśliwa zraniła?

Na wspomnienie udręczeń świata, twarz Trojdana okrył lekki rumieniec, a oczy zwróciły się ku niemu.

— Nie mam żadnych udręczeń — odrzekł po chwili — ogień serca mojego jest ogniem nieba.

Na to uściskał arcykapłan Trojdana i dał rozkaz obleczenia go w szaty nowicyusza. Natychmiast otoczyli go uradowani ofiarnicy kołem i w głąb mieszkań swych wiodąc, opowiadali mu przyjemności życia kapłańskiego.

Ten nowy stróż Znicza jest bohaterem powieści Bernatowicza. Kto on, zkąd ród swój wiedzie? Mówi, że nazywa się Trojdan, że jest synem Wszebora, ubogiego ziemianina z pod Kowna, z puszczy Zielonej. Ale dlaczego rzuca bez żalu starego rodzica, dlaczego nie spojrzy nawet w stronę płaczącego ojca, gdy go koledzy uprowadzają? Wszakże pociąg do służby Bożej nie potrzebuje koniecznie tłumić w sercu uczuć tkliwych. Cóż w końcu znaczy jego dziwna z Wszeborem rozmowa, gdy się żegnali bez świadków po zachodzie słońca, cóż słowa wrzekomego ojca Trojdana, gdy usłyszał śpiew kapłanów litewskich?

— Słyszysz te dzikie wołania? Nie mogę ich słuchać bez najgłębszego wzruszenia. Żegnam cię, jak gdybym się już nigdy nie miał z tobą widzieć. Zmiłuj się, przynajmniej postępuj ostrożnie, mów malo, a nadewszystko uciekaj, skoro tylko niebezpieczeństwo spostrzeżesz.

Czytelnik nie wątpi już przy końcu trzeciego rozdziału, że z postanowieniem Trojdana wiąże się jakaś tajemnica, którą dalszy ciąg powieści odsłoni. Z wielką starannością ukrywa autor owe coś aż do ostatniej prawie kartki. Jest to sztuczka techniczna, używana zawsze z powodzeniem.

Trojdan, umieszczony w orszaku nowicyuszów

i oddany pod bezpośredni nadzór Jerbuta, rządcy świątyni i zastępcy arcykapłana, spełnia obowiązki swoje gorliwie. Robi wszystko, aby sobie zjednać rówieśników i przełożonych, co mu się też wkrótce udaje. Jedynego Jerbuta nie może nakłonić do siebie. Namiestnik Krywekrywejty nie lubi go od pierwszej chwili, nie ufa mu i nie omija żadnej sposobności, aby go poniżyć i udręczyć.

Nawiązawszy w ten sposób węzeł intrygi, usunął Bernatowicz na pewien czas Trojdana na drugi plan w celu wyprowadzenia na widownię drugiej postaci, odgrywającej w powieści rolę pierwszorzędną.

W chwili, kiedy Trojdan przybył na Litwę, wybierał się właśnie Jagiełło na wyprawę do Polski. Powierzywszy rządy kraju słudze i powiernikowi, a późniejszemu szwagrowi, Wojdyle, ruszył z całą siłą zbrojną do państwa znienawidzonych Lachów. Bogowie Lezdejki pobłogosławili orężowi wielkiego księcia. Przebiegł on szybką stopą dzierżawy sąsiadów i zadawszy im mnóstwo klęsk, wrócił do Wilna. Za zwycięzcami ciągnął długi szereg wozów, napełnionych łupami, które zdobywcy dzielili między siebie starodawnym zwyczajem.

Gdy dzień naznaczony do działu łupów nastąpił, Jagiełło z bracią wszedł na plac Perkuna, gdzie już wodzowie i rot naczelnicy, mający pod swym dozorem wojenne korzyści, wcześnie zgromadzeni czekali na przybycie pana. Księżna Olgierdowa z córką Akseną i wyższem niewieściem pogłowiem, ciekawa widzieć rzadkie zazwyczaj na Polsce zdobycze, zajęła miejsce w blizkości synów. I Jerbut, namiestnik arcykapłana, z całym orszakiem, już to przez winne księciu uszanowanie, już dla odebrania części wojennego pożytku, należnej naczelnikowi wiary, znajdował się tamże.

— Wrótce na znak trąby zaczęto znosić różnego rodzają plony. Wory, pełne szat i futer kosztownych, naczynia srębrne i złote, kufry, szkatułki, się-

dła, konie, oręże ł drogie sprzęty kobiece, wszystko to zgromadzono na kupę. Były tam szacowne dzie ła przemysłu i sztuki, których ani ceny, ani użycia nie znano.

— Jagiełło, siedzący na stopniach Perkuna wspólnie z wodzami, każdą rzecz szacował i cały zbiór potem na trzy równe dzielił części, t. j. między kapłanów, wojsko i skarb książęcy. Gdy się to działo, rycerze niższego stopnia, jedni przypatrując się zdobyczom, otaczali sąd dzielący, drudzy z przyjaciółmi po gospodach szukali wczasu i rozweselenia.

— Między innymi widziano na uboczu, ze spuszczonym na oczy szyszakiem, w ponurej postaci, opartego o konia pięknego wzrostu rycerza, a przy nim siedzącą na wozie ładownym niewiastę. Był to mąż w kwiecie wieku, niemiernie zwięzłego składu Plecy jego barczyste, ściśnione hartowną zbroją, ukazywały w części kark gruby, opalony od słońca. Na lewem ramieniu, zarzucona niedbale, wisiała skóra niedźwiedzia, wolne mu zostawiając prawej ręki użycie, której dłoń szeroka spoczywała na temblaku rzemiernym, a gęsty zarost rudych włosów, jak gdyby grubą korą odziewał posiekane jego policzki. Niewiasta, siedząca na wozie, miała spuszczoną na twarz zasłonę. Krój sukni objawiał w niej Polkę. Znać było ze smutnej postawy, że była branką rycerza, a bogaty haft sukni świadczył, że wzięto ją z domu znakomitego. Przechodzący wojacy, z ciekawością na nią spoglądając, chcieli nieraz dotknąć się zasłony dla widzenia twarzy, lecz wzrok gromiący rycerza, którym z pod szyszaka rzucał, rozbrajał ich śmiałość i nie dopuszczał do zbliżenia się.

Rzecz szczególna! Wszyscy wojownicy Jagiełły złożyli swe łupy pod stopy pana, czekając z pokorą na dział, który im przypadał. Ten jeden, ponury i samotny, trzymał się zdala od placu Perkuna, chociaż jego branka siedziała na sporej skrzyni, zawierającej niezawodnie cenną zdobycz.

Ktoś doniósł Jagielle o dziwnem zachowaniu się rycerza. Książę kazał mu natychmiast stanąć przed sobą.

— Cóż to? — rzekł groźnie Jagiełło — tyś mi się, widzę, spolaczył? Czemu to dotąd z łupami nie stajesz? Czy myślisz, że łeb twój pewniejszy na karku dlatego, żeś mężnie czynił pod Zawichostem? Zuchwały! To była twoja powinność. Wiem dobrze, żeś na przodzie najbogatsze dwory najeżdżał i najpiękniejsze Polki brał w jasyr; wiem, żeś najpierwszy z twym hufcem wszedł w Sandomierskiem na świętą górę Polaków. Zapewneś tam nie pełzał na klęczkach. Od podziału żyjących łupów łaska cię nasza uwalnia, ale złoto, srebro—znasz prawo—musisz do najmniejszej szczątki tu złożyć.

— Dobrze, książę — odpowiedział Dowojna, gdyż on był owym ponurym rycerzem, pilnującym smutnej branki — bierz konie, rynsztunki i pełne drogich kamieni szkatuły, wszystko to twoje, niczego nie zataję. Dwadzieścia wozów mojego plonu najpierwsze weszły na zamek, drugie tyle jeszcze w drodze; czyń z tem wszystkiem, co ci się podoba, ale zostaw mi tę jedną skrzynię.

— Cóż się takiego w niej znajduje? — zapytał książę.

— Bóstwa chrześciańskie—odpowiedział rycerz.

— Bóstwa chrześciańskie? — zawołał zdziwiony książę. — Dowojna, tyś oszalał!

— Bluźnisz — rzekł do Dowojny Jerbut — bóstwa chrześciańskie równie, jak inne łupy, należą do działu.

— Cicho! — przerwał groźnie Jagiełło, a odwracając się do Dowojny — czemuż chcesz, żebym ci te bóstwa zostawił?

— Muszę je odwieźć do Polski — odpowiedział rycerz.

— Wart jesteś, żebym ci kazał język wyrwać,

ale wprzód musisz wyznać, co ci jest powodem do tak występnych zamiarów.

Wszyscy rycerze skupili się około Dowojny. Księżna Olgierdowa, Aksena i całe zgromadzenie, cisnąc się do niego, ciekawe było dowiedzieć się, jaką da przyczynę tak dziwnego żądania.

Bo też niezwykłych dowiedzieli się rzeczy. Oto opowiadał Dowojna, że stał się niewolnikiem branki swojej, którą uwiózł z Polski. Porwał ją jako łup, przynależny zdobywcy, a ona potrafiła go wdziękami swojemi i szlachetnem postępowaniem tak oczarować, że obrzydły mu mordy i pożogi, zbladła sława rycerska, zgasł urok życia bez jej miłości. Wioski, obrócone w popiół, ciała, leżące po drodze, cały kraj, zmieniony w pustynię, zdał się go pytać z szyderstwem: gdzie się podziała twoja dzielność, dziki wojaku? Ale on nie słuchał głosu rozumu. Cała jego dusza utonęła w pięknych oczach branki; za jeden jej uśmiech i szczery uścisk oddałby chętnie łupy, sławę, szczęście inne. Jej to obiecał odwieźć ukradzione skarby kościelne do Polski i chce słowa danego dotrzymać, choćby się miał narazić na słuszny gniew księcia.

Takiego cudu dokazała córa możnego i dumnego między Lachami rodu, znanego nad Wartą z pogardy dla złota i z nieskalanej niczem prawości. Helena Habdanczanka rzuciła do stóp swoich barbarzyńcę, który ją wyrwał przemocą z objęć starego ojca, zmieniła pana w niewolnika.

Zdjęty ciekawością dwór Jagiełły, zapragnął poznać ową czarodziejkę. Kazano jej podnieść zasłonę. Duże błękitne oczy spojrzały bez trwogi na zebrane tłumy. Dziewica wysoka, o twarzy białej, otocznej czarnym, gęstym włosem, wzbudziła powszechny podziw.

— Sława twej urodzie, przecudna Laszko—zawołał Jagiełło.—Wiedzie się dobrze twej krasie, dziel-

negoś nam rycerza zbawiła; przebaczam ci jednak, ale pokaż nam twe bogi, żebym się przekonał.

— Sława tobie i twemu ludowi... jeśli umiesz słabość niewiast uszanować — odpowiedziała słodkim głosem dziewica. — Chcesz poznać chrześciańskie świętości? Dobrze, lecz wiedz wprzód, że w nich jest jednych zbawienie, a drugich zguba.

I podniósłszy wieko skrzyni, ukazała naczynia kościelne, złotem i drogiemi kamieniami błyszczące.

Odważny w boju, lecz z przyrodzenia nieufny i zabobonny i Jagiełło, lękając się czarów, w mniemaniu, że to są bóstwa szkodliwe, cofnął się z niedowierzaniem, spojrzał na Helenę i rozkazał, aby skrzynię zamknęła.

Przytomność umysłu równie roztropnej, jak pięknej Habdanczanki, ocaliła ją i świętości chrześciańskie, zrabowane przez Dowojnę w kościele na Łysej Górze.

Był w Wilnie samotny klasztor Franciszkanów, założony tam niegdyś przez jakiegoś Habdanka, przodka Heleny Do tego schroniska energiczna panna poleciła odstawić „bóstwa chrześciańskie“, a Jagiełło usłuchał, mimo szemrania ludu, którego chciwość podrażnił widok skarbu.

Kiedy przywołani zakonnicy zabierali „bóstwa“, spojrzała Helena po zebranych. Nagle zaszły jej oczy łzami i jak gdyby coś okropnego ujrzała, zmieszała się, zbladła i upadła bez zmysłów. Przywrócona do przytomności i zapytana o powód tej słabości, nie chciała go wyjawić. Równocześnie Trojdan usunął się po za towarzyszów, a kiedy się ceremonia skończyła, oddalił się czemprędzej do mieszkania kapłanów.

Trojdan i Helena Habdanczanka są głównemi postaciami powieści Bernatowicza mimo Pojaty, córki Krywe-Krywejty, którą spotkał zaszczyt figurowania na karcie tytułowej. Łączy oboje jakiś węzeł, chociaż nie wiadomo aż do ostatnich rozdziałów, co

między niemi zaszło. Autor ukrywa zazdrośnie tajemnicę, uchylając stopniowo rąbek zasłony, którą na nią rozmyślnie rzucił, pragnąc trzymać uwagę widza jąk najdłużej w naprężeniu.

Po wprowadzeniu Trojdana i Habdanczanki, rozszerzają się ramy „Pojaty.“ Szybko występują teraz liczne osobistości i piętrzą się mnogie wypadki. Podejrzliwy zawsze Jagiełło daje się powodować Wojdyle i Krzyżakom, którzy usiłują wyzyskać jego słabość na własną korzyść. Kiejstut zdradza cię! szepcą zausznicy, a niemądry synowiec wierzy więcej intrygantom, aniżeli słynnemu stryjowi, któremu tron ojcowski zawdzięcza. Wybucha wojna domowa, kończąca się chwilowym pogromem Jagiełły! Stary Kiejstut zasiada na stolicy giedyminowej i zaprowadza nowy porządek. Między innemi usuwa Lezdejkę, oddając urząd arcykapłana jego zastępcy, Jerbutowi.

Przewrót polityczny zmienia także położenie Trojdana, który zajął się podczas napadu na Wilno losem Pojaty i księżniczki Akseny. Młody ofiarnik świątyni Znicza zachowywał się przez cały ten czas dosyć podejrzanie. Pracował usilnie na miłość kolegów, głównie młodszych, a gdy dokonał, o co się starał, miewał z ofiarnikami tajemne schadzki. O czem tam rozmawiali, nikt się nie domyślał. Jedyny Jerbut, niechętny Trojdanowi od pierwszej chwili, śledził jego kroki. Chodziły wieści, że Trojdan przechowywał u siebie żywą, lecz zaczarowaną kobietę niepospolitej piękności. Skoro tylko Jerbut stanął u szczytu władzy kapłańskiej, wtargnął przemocą do mieszkania nieobecnego Trojdana, zarządził poszukiwanie i znalazł rzeczywiście ową „zaczarowaną niewiastę.“ Więc rozległ się głos oburzenia czarownik, niegodny ofiarnik, świętokradzca! Zbezcześcił świątynię Litwy! wołali kapłani, ukrywał kobietę w świętych murach! śmierć mu, hańba!

Trojdan, wracający właśnie z posiadłości Le-

zdejki do stolicy, nie wiedział nic o wypadku, który zagrażał jego życiu. Ujęto go i stawiono przed sąd kapłanów.

— Kto jesteś? — pyta go jeden ze zwierzchników. — Twój język, twoje wiadomości, cała twoja postać objawia w tobie wyższego stanu człowieka. Wyznaj, kto jesteś?

— Jestem Trojdan, ofiarnik Znicza — odpowiedział młodzieniec.

— Jesteś spólnik duchów piekielnych! Ale zobaczym, czy cię one obronią—zawołał Jerbut.—Żerga—rzekł do jednego z kapłanów—przystąp do oskarżenia.

Wezwany wygłosił skargę przeciw Trojdanowi, który „wszedł w występne porozumienie z młodą niewiastą i trzymał ją zaklętą w mieszkaniu swojem."

— Co masz na twoją obronę?—zapytał prokurator duchowny.

— Jużem powiedział—odparł Trojdan—że nie znam żadnych czarów, żadnych złych duchów i że niewiadomość tylko i złość może mi czynić podobne zarzuty.

— Wyznaj—dodał Jerbut—kto jest ta nieszczęśliwa ofiara, którąś wybrał za przedmiot do sztuk przeklętych, i jak długo ją trzymasz w tym stanie?

— Nie trzymałem zaklętej ofiary.

— A cóż to jest? — podnosząc ze stołu nakrycie, zawołał Jerbut. — Nie jest-że to postać zaklętej niewiasty?

Zdumionym oczom kapłanów ukazał się portret przepięknej kobiety, którą barbarzyńcy Litwini wzięli za zaklętą niewiastę.

Mimo nalegań, nie chciał Trojdan wyznać, kim była ta „zaczarowana." Byłby upór swój życiem przypłacił, gdyby nie nowy przewrót polityczny. W chwili bowiem, kiedy czekał już na cięcie topora,

wpadł do miasta Jagiełło i opanował Wilno. W popłochu, który ztąd powstał, zdołał Trojdan uciec.

Starannie przez młodego ofiarnika ukrywana tajemnica, wychodzi nareszcie na jaw. Zasłonę z „zaklętej“, która całą Litwę poruszyła, zdejmuje Habdanczanka.

— Jest to podobizna Jadwigi, królowej Polski— tłómaczy Helena Jagielle, podziwiającemu cudowne oblicze przez malarza na płótnie zaklętej dziewicy.— Zostań chrześcianinem, a możesz być właścicielem żywego oryginału!

Historya zna tylko powody rzeczywiste ważnych wypadków dziejowych; niema ona prawa domyślać się, czego nie może dowieść i poprzeć dokumentami. Powieściopisarz znajduje się w położeniu daleko wygodniejszem, jemu bowiem wolno wypełnić szkic, a nawet dorobić mnóstwo drobiazgów, byle były zajmujące i nie raziły zbytniem nieprawdopodobieństwem.

Znane są powszechnie przyczyny, z których wynikło małżeństwo Jadwigi z Jagiełłą. Ale racye polityczne nie wystarczają do osnucia ciekawej bajki. Trzeba podłożyć jakieś uczucia więcej zrozumiałe, przystępniejsze dla wielkich mas, aby przekonały „przeciętnych“ czytelników, z których składa się przeważnie audytoryum beletrysty.

Jagiełło Bernatowicza, z chwilą, gdy ujrzał portret młodziuchnej królowej Polski, stracił spokój. Rozmiłował się gorąco w Jadwidze, pragnął jej widoku, gotów był na wszelkie ofiary, byle pozyskać w nagrodę za to rękę ukochanej zdaleka władczyni. Namiętność księcia podtrzymywała Habdanczanka z niepospolitą zręcznością Umiała rozproszyć wszystkie jego obawy, gdyż Jagiełło nie wierzył, aby go Jadwiga zechciała poślubić. Był on przecież tylko księciem, nadto poganinem i barbarzyńcą.

Historyk podaje nagie fakty, a powieściopisarz

dorabia do nich psychologię. Na wielką rzecz ważył się dziedzic Litwy, postanawiając zmienić wiarę. Wszakże potomkowie gedyminowi nie siedzieli tak mocno na swych tronach i tronikach, aby się mogli sprzeciwić woli całego narodu. Co chwila napadał któryś z nich sąsiada, palił go, niszczył i wypędzał, a uciekał sam, gdy się szczęście odmieniło. Dziś rozkazywał w Wilnie Jagiełło, jutro Kiejstut, pojutrze mógł Witold lub Skirgiełło zapragnąć panowania, a nikt nie ująłby się za wczorajszym władcą, bo lud litewski bił temu czołem, kto posiadał siłę.

Oprócz tego żył jeszcze na Litwie stary Krywekrywejte, zaciekły czciciel Znicza i jego bóstw. Mógł on ogłosić bunt przeciw wiarołomnemu panu, naród zaś nie odmówiłby pomocy słynnemu arcykapłanowi. Przeto musiał Jagiełło Jadwigi bardzo pożądać, kiedy naraził się dla niej na możliwość utraty dziedzictwa.

Tak wnioskował poeta i był niezawodnie bliższym prawdy od historyka, uznającego tylko racye polityczne.

Po wytłómaczeniu tajemnicy „zaklętej kobiety“, ukrywanej przez Trojdana, zbliża się powieść szybko do końca. Szeroko zakreślone koło, w którem Bernatowicz pomieścił tyle wypadków, obrazów i intryg, zamyka się misternie. Wydaje się teraz, kim był Trojdan i jakie stosunki łączyły go z Habdanczanką. Młody Firlej, panicz polski, odgrywał rolę ofiarnika Znicza, czyniąc to z miłości do królowej Jadwigi, która oświadczyła, że oddałaby serce apostołowi Litwy. Firlej był kiedyś narzeczonym pięknej Habdanczanki i oto powód, dlaczego Helena popierała tak gorliwie małżeństwo Jadwigi z Jagiełłą. Zawiedziona kochanka wierzyła, że zdrajca wróci do niej, gdy utraci nadzieję pozyskania swego ideału. Rachuby omyliły ją. Firlej ożenił się z Pojatą, córką Lezdejki, ujęty jej podobieństwem do Jadwigi.

Wówczas przypomniała sobie Habdanczanka wiernego Dowojnę i wyszła za niego.

Bernatowicz pomieścił w ramach „Pojaty“ jeden z najważniejszych wypadków, jaki zaszedł w dziejach Polski. Przedstawił on w formie artystycznej dobrowolne połączenie się Litwy z dziedzictwem Piastów. Czego nie dokonał miecz Krzyżaków, to sprawiła miłość. Ona to oświeciła upartych pogan i związała dłonie dwóch wrogich sobie sąsiadów. Z miłości do Jadwigi ubrał się Firlej w strój ofiarnika; z tego samego powodu rzucił Jagiełło wiarę przodków, i ochrzcił się Dowojno. I Helenę zaprowadził amor powtórnie na Litwę. Chciała być bliżej Firleja, którego nie przestała kochać. Przywiązanie do córki złamało nawet zaciekłość Lezdejki. Bóg chrześcian wrócił stroskanemu starcowi córkę, porwaną przez komtora Sundsteina, przeto ukorzył się przed nim na łożu śmiertelnem i umarł chrześcianinem. Przykład arcykapłana przechylił zwycięztwo na stronę krzyża. Za naczelnikiem wiary poszli ofiarnicy, przygotowani przez Trojdana, za księciem wojownicy i lud, nie mający odwagi oprzeć się woli pana.

Nie ulega wątpliwości, że Bernatowicz przypisał miłości zbyt wielką moc, ale beletrysta potrzebuje jakiegoś cementu, któryby części poszczególne łączył w jedną całość i stworzył dzieło jednolite. Czy tym klejem będzie uczucie tkliwe, czy też nienawistne, namiętność serdeczna albo okrutna, jest rzeczą obojętną. Dość, by się przez wszystkie wypadki wiła czerwona nić tego samego pomysłu.

Nie wszędzie odgrywa amor rolę pierwszorzędną, najmniej zaś w polityce, ale w powieści stanowi ona zawsze pierwiastek wielkiej doniosłości, bo zarówno estetyczny, jak techniczny. Miłość zabarwia każdą bajkę i ułatwia kompozycyę. Rozumie ją i odczuwa jej znaczenie największy pan i naj-

mniejszy prostaczek, podczas kiedy motywy wyższego rzędu oceniają należycie tylko pewne sfery.

Przeto nie można robić Bernatowiczowi zarzutu z tego, że uczynił miłość głównym sprawcą nawrócenia Litwy. Nie pisał on historyi, jeno powieść.

Że autor „Pojaty“ znał się na sztuce „zainteresowania“, najlepszym tego dowodem, iż śledzi się jeszcze dziś z uwagą za losami Trojdana, Heleny i Dowojny. Przerzucamy obecnie „Jana z Tęczyna“ Niemcewicza, pragnąc się zapoznać z treścią i wartością pomnika literackiego pewnej epoki, a „Pojata“ budzi dotąd naszą ciekawość, nie jako zabytek minionych czasów, lecz jako powieść.

Wybornie znał się Bernatowicz na tem, co nazywamy dziś „robotą.“ Czasami nawet przesadził, poświęcając prawdopodobieństwo dla wywołania jaskrawego efektu, lub wyprężenia struny uwagi aż do niemożliwości. Lubi on stawiać swoich bohaterów w położeniu bez wyjścia, aby ich potem nagle ocalić. Trcjdana zaprowadzono już na miejsce egzekucyi. Za kilka sekund spadnie głowa upartego ofiarnika; nie ma już dla niego ratunku. Wtem robi się w mieście popłoch, do stolicy wpada Jagiełło na czele hufców i kończy się władza Jerbuta, wroga Firleja. Albo: Pojatę skazał sąd krzyżacki na śmierć. Sundstein ma ją strącić w przepaść. Zdaje się, że wybiła nieodwołalnie ostatnia godzina pięknej córki arcykapłana litewskiego. Lecz w chwili stanowczej zjawia się Firlej, zabija Sundsteina, chwyta Pojatę i ucieka z nią do Malborga.

Jest to sztuczka techniczna, zastosowywana z powodzeniem bardzo często przez Walter-Scotta. Posługują się nią dotąd chętnie powieścio-, i dramatopisarze. Działa ona na scenie silniej, aniżeli w utworze epicznym.

Nie pomysł i kompozycya „Pojaty“ podlegają krytyce, gdyż te zadowalniają w zupełności wymagania techniki dzisiejszej. Główny zarzut należy

uczynić części historycznej powieści, która nie dostraja się miejscami do ważności obranego przez Bernatowicza przedmiotu.

„Pojata“ ma być obrazem nawrócenia się Litwy, a procesu tego przewrotu nie widzimy właściwie. Wola księcia nie mogła przekonać odrazu całego narodu, gdy szło o zmianę religii. Musiały więc istnieć poprzednio usiłowania, zwrócone w tym kierunku.

Miał Bernatowicz bardzo dobrą sposobność pokazania, jak się chrześciaństwo wciskało różnemi szczelinami do lasów Perkuna, jak podminowywało świątynię Znicza. Wystarczyło odsłonić agitacyę Trojdana, jego tajemne schadzki z młodszymi ofiarnikami, jego działalność zakulisową, którą zaledwo zaznaczył. Czytelnik dowiaduje się dopiero przy końcu powieści, dlaczego Firlej przybył na Litwę, co zamierzał i co zrobił.

Istnieje wprawdzie w Wilnie z fundacyi Habdanków klasztor Franciszkanów, ale zakonnicy nie przyczyniają się w powieści Bernatowicza w niczem do postępu chrześciaństwa. Skromni, bojaźliwi, bez wpływu i znaczenia, trzymają się na uboczu, nie mieszając się do spraw publicznych. A przecież ich to obowiązkiem było spełnić misyę apostołów, choćby mieli gorliwość w służbie Bożej życiem przypłacić. Wiele bezwątpienia krwi chrześciańskiej zrosiło ziemię litewską, zanim poganie uznali Chrystusa. Bez walki zaciętej nie obywają się takie przewroty, a tej walki niema w powieści Bernatowicza.

Trudno przypuścić, aby kapłani Znicza poddali się bez oporu woli księcia. Na czele ich stał jeszcze stary Lezdejko, pan serc i umysłów, władca dusz. Postaci tej nie wyzyskał autor dostatecznie. Zamiast ją rzucić w wir nienawiści, podbudzonej fanatyzmem, usunął ją prawie na drugi plan. Lezdejko Bernatowicza nie jest arcykapłanem bogów Litwy, lecz zacnym, dobrodusznym starcem. Jego nawrócenie się

na łożu śmierci nie posiada cech prawdopodobieństwa, przychodzi bez przygotowania psychologicznego.

A Pojata? Bohaterka tytułowa nie stoi na czele akcyi, nie prowadzi czynności. Bierna, cicha, występuje dopiero przy końcu i to w scenach zanadto melodramatycznych. Jej stosunek do Sundsteina przypomina takie same sytuacye z „Iwanhoego“ (Templaryusz i Rebeka). W tym jednym wypadku możnaby Bernatowiczowi uczynić zarzut zbyt niewolniczego naśladownictwa Walter-Scotta.

Nie myliłby się także, ktoby dostrzegł w głównych postaciach „Pojaty“ pod maską XIV stulecia, oblicza zanadto nowożytne, by mogły należeć do owej epoki. Trojdan przemawia dość często językiem XIX stulecia, tak samo inne figury, a nawet sam Lezdejko. Helena Habdanczanka robi podczas swojego pobytu na dworze Jagiełły wrażenie współczesnej kokietki. Kobiety owego stulecia nie były tak pewne siebie i odzywały się skromniej do książąt, zwłaszcza panujących.

Ale te drobne usterki nie upoważniają krytyki do odmówienia „Pojacie“ wszelkiej wartości, jak to niegdyś Józef Ignacy Kraszewski uczynił, który obszedł się z Bernatowiczem bez miłosierdzia. Łagodniej i sprawiedliwiej ocenił „Pojatę“ Michał Grabowski („Krytyka i Literatura“).

Usterki w wykonaniu szczegółów pokrył Bernatowicz śmiałym pomysłem, dobrą kompozycyą i mnóstwem obrazów barwnych, może nieprawdziwych dla historyka, lecz zadowalniających zupełnie estetyka.

Fałszywy rysunek Heleny wynagrodził autor wybornym typem jej kochanka i męża. Świetny jest ten Dowojno, dziki wojownik i łupiezca, zmieniony przez miłość dla pięknej Laszki w powolnego sługę jej kaprysów, doskonały, gdy, stawszy się apostołem chrześciańskim na rozkaz Habdanczanki, rozmi-

łował się tak bardzo w nowej roli, że zapomniał wśród nawracania pogan o ukochanej serca, dla której podjął tyle trudów.

Dowojno należy do najlepszych postaci artystycznych, jakie powieść polska wydała przed rokiem 1830. Występuje on z niepospolitą plastyką od pierwszej chwili i nie zmienia się do samego końca. Czy pilnuje „bóstw chrześciańskich" po wyprawie na Polskę, czy odwozi Helenę do ojca, buduje własnoręcznie kościół, lub chrzci Litwinów, jest zawsze sympatyczny i prawdziwy.

„Pojata" Bernatowicza wyróżnia się bardzo korzystnie z pomiędzy naszych powieści historycznych z przed roku 1840-tego. I pod względem dykcyi przewyższył autor „Córki Lezdejki" wszystkich swoich rówieśników. Wprawdzie nie starał się o odtworzenie języka archaicznego, gdyż ta poprawka jest dopiero skutkiem najnowszej reformy techniki powieściopisarskiej, ale umiał dostroić język do powagi przedmiotu.

Twórczość Bernatowicza wyczerpała się widocznie po napisaniu „Pojaty", reszta bowiem jego powieści nie zasługuje na trwalszą pamięć. „Nałęcz" (Romans z dziejów polskich, 3 tomy, 1828) nie może stanąć obok „Pojaty." Znać i w tym utworze rękę zdolnego kompozytora, który wyprowadza ludzi i wypadki stopniowo na scenę, ale rozwlekłość akcyi i blady koloryt zniechęcają czytelnika.

Wiadomo, że Nałęczowie i Zarembowie, zabójcy króla Przemysława, którego zamordowali wspólnie z Brandeburczykami, utracili w granicach Polski prawa obywatelskie. Wywołani z kraju, skazani przez Łokietka na banicyę, ukrywali się u przyjaciół lub tułali między obcymi. Rehabilitacyę swoją zawdzięczają Bronisławowi Nałęczowi, któremu Kazimierz Wielki powrócił za waleczność i przysługę osobistą cześć i mienie.

Materyał to równie podatny do obrobienia

w powieści, jak dzieje połączenia się Litwy z Polską. Buta szlachty ówczesnej, bezmierna duma możnych rodów, zdeptana przez Kazimierza, wytwarzała charaktery niepospolite i potężne. Nie trudno było w owych czasach o postacie wielkiej odwagi i siły.

Błyskotliwy dwór Kazimierza Wielkiego, jego zalotność, nie opuszczająca go do śmierci, Esterka, żydzi, nieszczęśliwa królowa, chłopi i t. d., wszystko to byłoby ożywiło obraz, rozjaśniając jaskrawszemi barwami tło ponure i groźne.

Bernatowicz dotknął w „Nałęczu“ różnych wypadków i osobistości — ale tylko dotknął. Z materyału bogatego nie umial wykroić całości harmonijnej i pełnej.

Oprócz „Pojaty“ i „Nałęcza“, napisał Bernatowicz kilka mniejszych powiastek („Powódź“, „Reginka z Sieciechowa“).

Do pierwszej grupy naszych powieściopisarzów historycznych należy zaliczyć Wincentego Budzyńskiego (ur. 1815 r. † 1866), chociaż od „Władysława Łokietka“ i „Pojaty“ dzieli go lat kilkanaście.

Wincenty Budzyński, znany także w literaturze francuskiej pod pseudonimem *Paul de Saint-Vincent*, napisał kilka powieści historycznych („Lechia w IX wieku“ 1843 r.; „Biała Kniechini“ 1844 r.; „Wyprawa Pruska“ 1845), w których naginał rozmyślnie historyę do celów swojego czasu. Zdaniem jego, nie powinien pisarz zapominać, iż jest tylko pośrednikiem między przeszłością i wiekiem obecnym i dlatego nie wolno mu ścierać zupełnie swojej indywidualności.

Nie trudno się domyślić, iż tak wyraźnie i świadomie podkreślone stanowisko tendencyjne nie moglo się przyczynić do przedmiotowego odtworzeenia wybranych przez Budzyńskiego chwil dziejowych.

Mówiąc o pierwszej grupie polskich historycznych powieściopisarzy, nie wolno pominąć Ale-

ksandra Bronikowskiego, chociaż głośny kiedyś autor „Hipolita Boratyńskiego“ posługiwał się językiem niemieckim.

Urodzony (w r. 1783) i wychowany w Dreźnie, nie znał Bronikowski języka ojczystego swojego narodu, lecz kochał jego przeszłość i służył mu gorliwie szablą i piórem. Znakomitą większość swoich licznych powieści historycznych osnuł na tle dziejów polskich.

Aczkolwiek Bronikowski należy właściwie do literatury niemieckiej, czytano go u nas tak chętnie i skwapliwie, jak Bernatowicza. Przekłady jego powieści ukazywały się w Warszawie, Poznaniu i Wrocławiu bezpośrednio po wydaniach niemieckich: „Jana Kazimierza Wazy więzienie“ wyszło w Warszawie 1826 r., „Mysia wieża wśród jeziora Gopła“ w Poznaniu t. r., „Kazimierz Wielki i Esterka“, „Hipolit Boratyński“ w Warszawie 1828 r., „Elekcya“, „Pretendenci“, „Olgierd i Olga“ 1829 r., „Polska w XVII wieku, czyli Jan Sobieski i dwór jego“ 1830 r.

Niezwykła płodność nie dała Bronikowskiemu dobrobytu. Umarł on w swem mieście rodzinnem, w Dreznie, w r. 1834, w więzieniu za długi.

IV.

Dnia 3 maja 1791 r. urodził się Adamowi Wawrzyńcowi Rzewuskiemu, późniejszemu kasztelanowi witebskiemu, w Sławucie na Wołyniu, chłopczyk, który miał dokonać, czego pierwsi naśladowcy Walter-Scotta nie potrafili.

Pióro nie było w rodzie Rzewuskich rzeczą obcą. Pradziad autora „Listopada“, hetman Wacław, znany swego czasu z niepospolitej płodności poeta, lubił zarówno miecz, jak księgę; dziad, Stanisław Ferdynad, konfederat barski, nie należał do tłumu szlachty, brzydzącej się pracą umysłową, a ojciec, rotmistrz kawaleryi i poseł na sejmy (warszawski i grodzieński), odznaczył się jako zdolny mówca i wierszopis.

Odziedziczył więc kasztelanic witebski po przodkach swoich nietylko nazwisko, majątek i stosunki, lecz także talent pisarski. Co u jego poprzedników słabą zaledwo tlało iskierką, rozbłysnęło w jego głowie jasnym płomieniem. Autor „Listopada“ panował przez pewien czas nad ruchem literackim całego kraju, stał się właściwym twórcą historycznej powieści polskiej i był naczelnikiem stronnictwa zachowawczego.

Hr. Henryk Rzewuski nie odebrał wykształcenia systematycznego. Będąc synem nieprzyjaciela konstytucyi 3 maja, nie uznającego konieczności po-

stępu, wroga wszelkich reform, choćby najzbawienniejszych, nie przygotowywał się do zawodu publicznego w zakładach naukowych, założonych i prowadzonych przez ludzi, którzy zrozumieli, że zmienione warunki b. Rzeczypospolitej wytworzyły potrzebę nowych pojęć i nowych pracowników. Szkoła krzemieniecka i uniwersytet wileński nie zapisały w albumie swoim imienia przyszłego przywódcy reakcyonistów.

Pierwsze wrażenia odebrał Rzewuski na Litwie, w domu babki, rodzonej siostry Tadeusza Rejtana, zkąd przywieziono go w r. 1796 do Sławuty, gdzie przepędził trzy lata. Oddany w r. 1799 do konwiktu księży Karmelitów w Berdyczowie, zostawał tylko krótki czas pod nadzorem fachowych nauczycieli. Sprowadzono dla niego niebawem prywatnego guwernera, francuskiego księdza Garnier, a następnie oddano go do instytutu wychowawczego w Petersburgu, którego dyrektorem był także kapłan francuski, głośny naówczas ks. Nicole. Edukacyi Rzewuskiego dokończył Kraków, w którym przebywał dwa lata (1806 i 1807).

Zwyczajem młodzieży szlacheckiej z dawniejszych pokoleń, wstąpił Rzewuski do wojska. Uzyskawszy w kampanii z r. 1809 stopień porucznika, wziął dymisyę i zrzekł się raz na zawsze karyery w służbie Marsa.

Odtąd było jego życie przez lat wiele jedną długą podróżą. Przebiegał niecierpliwą stopą bogatego panicza, który czuł w sobie nadmiar sił, a nie wiedział, co z niemi począć, różne kraje Europy, wracając do nich po kilka razy. Zimą r. 1810 mieszkał w Krakowie, otoczony mnóstwem typów z drugiej połowy XVIII w., które później tak wybornie odtworzył. Trzy lata bawił w Paryżu (od r. 1819—1822), gdzie chodził na wykłady prawa, literatury i filozofii, słuchając między innymi Cousina i Villemaina. Wśród ciągłych wędrówek poznał się z Mic-

kiewiczem, z ks. Chołoniewskim i Garczyńskim, w Rzymie bywał mile widzianym gościem w domu Ankwiczów, w Petersburgu obcował z Bułharynem, S.kowskim i Przecławskim. Sprzykrzywszy sobie w r. 1832 włóczęgę, osiadł w Cudnowie, zkąd pełnił przez lat cztery urząd marszałka szlachty powiatu żytomierskiego.

Rzecz szczególna, że człowiek, który posiadał tyle talentu, jak się później okazało, i widział tyle świata, wziął się do pióra dopiero w wieku późniejszym. Rzewuski dobiegał już 40-go roku życia, a nikt nie domyślał się, że w dowcipnym arystokracie, który wyśmiewał wszystko i wszystkich, drzemie piscrz pierwszorzędny.

— „W r. 1830 — mówi Rzewuski (w „Tyg. Petersburskim“)—znajdując się w Rzymie, zbliżyłem się do kilku rodaków uczonych, znajdujących się w temże mieście, i otworzyłem z nimi towarzyskie stosunki. Pokój, w którym świat zostawał, a którego przerwy nic zwiastować nie mogło, dozwalał nam swobodnie oddać się naukom. Ułożyliśmy między sobą w bibliotece watykańskiej dawnej polskiej szukać pamiątki. Przyszła mnie natenczas myśl żartobliwa podkraść się pod styl staroświecki, by kilka obrazów świeżo utworzonych napisać dla rozrywki towarzystwa, jako wypis z starego rękopisu. Uczeni rodacy poznali się na żarcie, ale te obrazki, które nigdy do druku przeznaczone nie były, poprzepisywali między sobą.“

Te obrazki były rzeczywiście warte przepisywania, bo stanowiły część wiązanki, znanej pod tytułem: „Pamiątek szlachcica litewskiego;“ te obrazki, rzucone na papier „dla żartu,“ dały Rzewuskiemu to, czego nie można kupić, choćby za miliony, bo sławę znakomitego autora.

Rzewuski, któremu „przyszła myśl żartobliwa podkradzenia się pod styl staroświecki,“ cenił tak mało pierwiosnki swego talentu, iż zapomniał o nich zu-

pełnie. Wrócił do kraju, urzędował w Żytomierzu, wybrał się znów w podróż, a „Pamiątki“ spoczywały w tekach osób prywatnych. Stały się one własnością publiczną dopiero w dziewięć lat po ich napisaniu.

„Pamiątki“ zawierają dwadzieścia trzy obrazki, z których każdy jest sylwetką jakiejś znanej osobistości. Ogiński, Dzierżanowski, Bielecki, Rejtan, ks. Marek, Rewieński, Radziwiłł Panie Kochanku, Wołk, Karol Ryś, Wołodkowicz, Leszczyc, Sawa, Borowski, opryszek Pawlik, król Poniatowski, Stanisław Rzewuski, starosta Kaniowski—ożyli pod piórem Henryka Rzewuskiego i przemówili do synów i wnuków własnym językiem. Sławę ich wygłasza Imć pan Seweryn Soplica, z chudopachołka cześnik parnawski, sługa domu radziwiłłowskiego, którego przygody łączą pojedyńcze obrazki w jedną całość.

Pan cześnik parnawski nie lubi czasów nowszych, bo „wszystko dawniej szło lepiej,“ niż teraz. „Takie przestępstwa, coby je dziś miano za żart, to ludzi gorszyły i widocznie karę od Boga ściągały. A teraz namnożyło się tyle złego, takie szkaradztwa, o których dawniej ani słychać, że Panu Bogu naprzykrzyło się karać; zdaje się mówić ludziom: róbcie, co chcecie.“

— Co też to się dzieje na świecie!—skarży się Imci pan Soplica—już i cierpliwości nie staje patrzeć na czyny ludzkie, a słyszeć ich gadania. Takie zapomnienie o Bogu, taka obojętność dla Jego praw! Oj, rozumni ludzie, rozumni ludzie! ciężko przed Bogiem odpowiecie, że tak świetne dary, coście z Jego łaski otrzymali, naprzecw Niemu obracacie, gorsząc tyle półgłówków, którzy przez was bałamucą się tylko, a najczęściej z obawy, aby za głupców nie uchodzić, wolą potakiwać waszej lekkomyślności, niż się trzymać tego, czego ich wiara nauczyła.

— Wedle nich cuda, to są urojenia ciemnoty. Bóg, raz porządek ustanowiwszy, jego nie odmienia.

módl się sto razy, czego swoim rozumem i pracą nie dostaniesz, tego nie wymodlisz. Święci to byli, poczciwi ludzie, stosowali się do ducha czasu, do ówczesnych wyobrażeń; ludzie im coś nadzwyczajnego przyznawali, ale te ich dzieje przed rozsądkiem zniknąć muszą. Obrządki, Sakramenta, są to zbawienne ustawy dla gminu, które człowiek światły szanować powinien i nic więcej. Tak plotą o rządach Boga, jakby przy nim była rada nieustająca, w którejby oni zasiadali.

— Słyszałem ja to nieraz, ale na mnie żadnego wrażenia nie robiło. Człowiek poczciwy, a do tego szlachcic, czyżbym już tyle dał się owładać, bym odstąpił od tego, co tyle wieków, tyle podań, tylu mądrych a cudownych mężów, tyle cnót nadzwyczajnych, tyle niewinnej krwi na świecie utwierdziło? Ot, tobym zasłużył, aby mnie do czubków zaparto.

Pan cześnik parnawski nie omija żadnej sposobności, aby przyganić „teraźniejszemu światowi, który czegoś niby chce, do czegoś dąży, ale sam nie wie, do czego."

Dawniej było wszystko inaczej i lepiej. Sam pan cześnik np., szlachcic z zaścianka, sierota i ubogi, wyszedł na ludzi bez wielkich zachodów. Uczepił się jednej klamki pańskiej, potem drugiej, w końcu trzeciej, i doszedł tą drogą do majątku i znaczenia. Młodości nie zmarnował w dusznej sali szkolnej, nadmiernej pracy nie znał, a mimo to nie wiedział nigdy, co to niedostatek, co walka o byt. Jaśnie Wielmożny lub Jaśnie Oświecony, któremu się wysługiwał, pamiętał o jego potrzebach, a gdy odbył nowicyat dworzanina, znalazła się dzierżawka, później i własność. Co chwila wspomina pan cześnik o jakimś podarunku, który „kopnął" z łaskawej ręki dobrodzieja. Wystarczyło umieć przypodobać się panu, pokłonić się nizko, objąć go w chwili stosownej za kolana, nie obrazić się zbyt grubym dość często żartem, a można się było obyć bez nauki i zasług.

Ludzi dzieli pan cześnik parnawski na szlachtę i nieszlachtę. O plebejuszach nie mówi wcale, chyba że wsławili się czynami rycerskimi, jak Sawa, dla stanu zaś uprzywilejowanego nie znajduje dosyć słów pochwały, szczęśliwy, że nie należy sam do „czerni."

— Bez najmniejszej przesady — prawi Imci pan Soplica — nietylko doświadczeniem, ale myślą nawet nie można objąć większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Szlachcic najuboższy był równy magnatowi, przy pomocy bowiem Boskiej mógł zostać sam magnatem, a tej równości z magnatem nie tracił nawet, służąc u niego.

— Wszyscyśmy równi byli między sobą — chwali się pan cześnik. — Pan był szlachcicem bogatym, a szlachcic panem ubogim; że zaś magnat był zawsze wysokim sługą Rzeczypospolitej, szlachcic u niego służąc, służył razem i ojczyźnie.

— Ale czyż tylko na równości zasadzało się szczęście i powaga naszego szlachectwa? — woła pan Soplica; —szlachcic nie mógł być ani rządzonym ani sądzonym, tylko przez tego, kogo sam wybierał, a z zagrody swojej mógł się przenieść i na ławicę poselską, i na krzesło senatorskie, i na tron nawet. Plecie młodzież wileńska i krzemieniecka o prawach człowieka, to, co pochwytała z książek zagranicznych, a nie wie, że nasi przodkowie lepiej umieli tworzyć, niż zagraniczni potrafią wymyślić.

Pan cześnik nie przypuszczał oczywiście nawet, aby się te „prawa człowieka" mogły odnosić do nieszlachcica. Tylko przodków rycerskich potomek był w jego oczach istotą czującą i myślącą. „Krew podła" nie zasługiwała wcale na uwagę.

Mimo tych przechwałek o równości szlacheckiej, nie zapomina pan Soplica nigdy dodać do nazwiska właściwego tytułu, na JW. Ogińskiego, swego pierwszego chlebodawcę, choć go kochał, „patrzy zawsze ze strachem," kłania się do nóg każdemu

panu, całuje kolana magnatów, a rozkazy ich wypełnia bez szemrania. Pan Leon Borowski wodzi się po sądach z księciem Radziwiłłem, więc, aczkolwiek Albeńczycy lubili krotochwilnego koleżkę i nie mieli do niego żadnego żalu, „radzi nie radzi musieliby się z nim rozprawić, bo sławy swego pana od napaści bronić trzeba.“ Ten sam książę Panie Kochanku uwziął się na pana Tryznę. Wiedzieli wszyscy, że słuszność znajdowała się po stronie słabszego, ale możniejszy kazał zgubić „pana brata,“ przeto należało go upokorzyć, chociażby kosztem własnego przekonania, albowiem—jak twierdzi plenipotent księcia— „jest rzeczą każdego „przyjaciela“ domu radziwiłłowskiego attentować sprawy pana, który za przysługi płaci, a nie jej przyganiać.“

Wrzekomą równość szlachecką za czasów byłej Rzeczypospolitej ilustruje najjaskrawiej wizyta pana cześnika parnawskiego u starosty Kaniowskiego.

Miał książę Radziwiłł u starosty Kaniowskiego czternaście tysięcy złotych, a ponieważ nie lubił zajmować się takiemi drobiazgami, przeto podarował całą sumę panu Soplicy.

— Panie Kochanku! Waszeć teraz na Rusi — mówił książę — ruszaj-że sobie do Kaniowa po pieniądze, abyś z gołemi rękoma nie pokazywał się żonce, której od waści kłaniać się będę.

Imci pan Seweryn padł oczywiście „swojemu J. Oświeconemu“ do nóg, bo czternaście tysięcy to „grosz wcale piękny.“

Interes czysty: starosta winien, a kto winien, ten musi oddać. Ale dawniej nie bywało wydostanie długu rzeczą tak łatwą, zwłaszcza, gdy się miało do czynienia z panem na Kaniowie, który rozdawał bardzo często „monetę rzemienną, zamiast srebrnej.“ Więc, choć pan Soplica był jako szlachcic „równym nietylko starostom, ale kasztelanom i wojewodom, a nawet do tronu posiadał prawo,“ jak się chełpi, chociaż walczył w szeregach konfederatów barskich

i nosił na sobie mundur bandy albeńskiej, mimo to „zafrasował się wielce,“ zanim ruszył do jaskini znanego gwałtownika. Inny szlachcic, zawalidroga i słynny rębacz, pan Bartłomiej Chodźko, napierał się mu na towarzysza, aby go zastawić w razie potrzeby, przezorny jednak sługa domu radziwiłłowskiego, przywykły do podłażenia, gdzie nie mógł podejść, nie przyjął ofiary kolegi, nie chcąc „iść z żarem do prochowni.“

Ktoś inny, posiadający tak wielkie wyobrażenie o szlachectwie, jak Imci pan Soplica, nie obawiałby się zmiennych humorów starosty. Wszakżeż nie gorszym był od awanturnika kaniowskiego i miał przy boku szablę, a za sobą prawa krajowe! Cóż go mogło spotkać? Równy nie potrzebuje lękać się równego. Przekonywał się w ten sposób pan Soplica, a przecież „nadrabiał przez cały wieczór na pokojach książęcych miną, bo w sercu była wielka niespokojność, tak, że przed wyjazdem na intencyę pomyślnej podróży opatrzył się Przenajświętszym Sakramentem w kolegiacie ołyckiej i uczynił ślub, że po odtrąceniu wszelkich wydatków, z całej kwoty, jaką odbierze, opłaci dziesięcinę w połowie katedrze, a w połowie siostrom miłosierdzia w Nowogródku.“ Wezwawszy na orędownika Boga, nie zapomniał i o ludzkiej pomocy. Zamiast udać się wprost do Kaniowa, nadłożył drogi, aby uzyskać u krewnego starosty list polecający. Następnie dopytywał się w okolicy troskliwie o zwyczaje i obyczaje pana Potockiego, obiecując sobie zastosować się najdokładniej do wszystkich kaprysów oryginalnego magnata.

Tak ubezpieczony, z trwogą w sercu, z duszą na ramieniu, jak gdyby ciągnął nie do „pana brata,“ lecz do głośnego z srogości murzy tatarskiego, stanął przed bramami strasznego zamku. Przypadek zdarzył, że spotkał zaraz na wstępie samego starostę na dziedzińcu. Skłoniwszy się nizko, zabierał się do

„opowiedzenia siebie," ale pan Potocki spojrzał na niego tak groźnie, że „zapomniał języka w gębie."

— Co to waszeć, jak widzę Albeńczyk — odezwał się starosta.—A co nam z Litwy przynosisz?

Imci pan Seweryn odpowiedział śmiało:

— Mam listy do JW. Pana, które dadzą mi wstęp do mówienia o interesie.

Ale zaledwo wspomniał owego krewnego, od którego miał pismo polecające, nastawił starosta marsa i rzekł:

— Jeśli z Morawy przyjeżdżasz, to musisz wiedzieć, że Boćki do pana podczaszego należą i że ja ztamtąd co roku kilkadziesiąt nahajów sprowadzam.

Tu wziąwszy nahaj od kozaka, dodał:

— Widzisz waszeć *timor Domini*, *alias* pióro? Ja miewam we zwyczaju, ża na listy z wymówkami odpisuję niem na skórze tych, co mi je oddają.

Szlachcic prawdziwy, wyznający zasady rycerskie nie samemi tylko ustami, nie byłby się ustraszył zgrai sługusów, którzy otaczali pysznego warchoła. Pan Soplica powołał się wprawdzie na szablę, ale jej nie dobył. Wolał rozbroić gniew starosty przypomnieniem, że jest dworzaninem księcia Radziwiłła, dla którego pan Potocki miał szczególny afekt.

W ten sposób jeździł w owych „dobrych czasach" „równy do równego" po pieniądze, które mu się z prawa należały.

W „Pamiątkach" nie jest szlachcic owym „równym," owym królikiem, któremu wszystko wolno, jeno magnat, czyli, jak się Imci pan Soplica wyraża, szlachcic bogaty. Prowadził książę Radziwiłł pana Rejtana na pisarstwo litewskie, więc szlachcie nie przyszło nawet na myśl, że przysługiwało jej prawo wolnego wyboru. Gdy znalazł się jakiś śmiałek, który odważył się podnieść głos przeciw księciu wojewodzie, potruchleli wszyscy, a potem dalejże do

szabel. Smagał starosta kaniowski, kogo schwycił w pobliżu swego zamku, nie pytając, czy szlachcica bije, czy żyda, a szlachta, dowiedziawszy się, że pan Potocki płaci dobrze za bizuny, nastawiała sama grzbietu w nadziei zarobku. Przyszło do tego, że starosta musiał natrętnych odpędzać groźbą: nie będę bił, bo nie mam pieniędzy. Podobało się księciu Panie Kochanku wojować z królem, przeto czynili to samo wszyscy jego „przyjaciele," raczej słudzy, jedzący „smaczny" chleb pański.

Ten smaczny chleb jest źródłem czynów i cnót, przekonań politycznych, a nawet moralności towa rzyszów pana Soplicy. Przecież sam Pan Seweryn tłómaczy się, dlaczego świadczył przeciw Tryznie, chociaż sprawa księcia „była nic potem."

— Czyj się chleb je, tego bronić trzeba — mówił ze łzami do pana Tryzny, prosząc go, aby mu odpuścił, a pan strukczaszy „nie miał mu tego za złe."

Działo się wprawdzie dość często, że chudopachołek wydobywał się na wierzch, każdy jednak z tych dorobkiewiczów nabierał natychmiast gustów pańskich i częstował „pana brata" boćkami. Wszakżeż to Karol Ryś, syn, wnuk i prawnuk organisty, dorobiwszy się fortuny przez szczęśliwy ożenek, obiecywał młodemu Scypionowi, choć się tenże z „konsulów rzymskich wywodził," „pięćset łóz." Niczem w „Pamiątkach" starożytność rodu, niczem talent i zasługa bez pieniędzy. Kto mógł płacić, na tego nie było prawa, ubogiemu zaś zostawała tylko dość często przykra służba u hojnego, ale kapryśnego pana.

Zdawało się zapewne głównemu bohaterowi „Pamiątek", że wyśpiewał hymn pochwalny na cześć stanu, z którego pochodził, a tymczasem ma się rzecz zupełnie inaczej. Uważny czytelnik dostrzeże bez trudu za poczciwo-naiwną maską opowiadacza ironicznie uśmiechniętą twarz autora, który zestawia

przygody i uwagi pana Soplicy rozmyślnie w ten sposób, aby światło padało obficie na obrzydliwy serwilizm niższej szlachty. Przypomina Imci pan Seweryn po raz setny, czy więcej „równość szlachecką“ z okazyi przyjęcia u sędziego Rewieńskiego, mówiąc:

— Bo chociaż my niżsi umieli czcić powagę urzędu, znaliśmy dobrze, że jako szlachta, wszyscyśmy byli równi. Otóż ja, co tylko susceptantem byłem, to kiedy mnie W. sędzia, tak majętny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nizko kłaniał się i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go pocałował.

Cały komizm tej pysznej pokory „pana brata“ odsłania zakończenie zdania.

— A przecież — dodaje pan Soplica — gdyby mnie inaczej przyjął, poczytałbym się za silnie pokrzywdzonego.

Gęsto rozsiał Rzewuski takie zwroty satyryczne na kartach „Pamiątek.“ Prawie z każdej stronicy wyziera żądło zjadliwego dowcipu potomka senatorskiego rodu, który sobie dworuje z „panów braci,“ udających z czapką w garści i duszą na ramieniu rządców Rzeczypospolitej.

Należało się spodziewać, że magnat będzie oszczędzał karmazynów, ale Rzewuski nie umiał, czy nie chciał nawet przy charakterystyce prawdziwych królewiąt, powstrzymać swej skłonności do szyderstwa. Wprawdzie całuje Imci pan Soplica w kolano wszystkich. J. Oświeconych, J. Wielmożnych i Wielmożnych, jednego za to, że mu daje chleb, drugiego za grzeczne przyjęcie, trzeciego ze strachu, czwartego dlatego, że jest krewnym pierwszego i t. d.; wprawdzie nieośmiela się nigdy powątpiewać głośno czy o rozumie, czy o dobrej woli, pobożności lub szlachetności bogaczów, tłómacząc nawet takiego gwałtownika, jak starosta kaniowski — mimo jednak

tej służalczej uległości, wypada czasami ze swojej roli, na czem potentaci dobrze nie wychodzą.

Wyborny jest ten pan Rejtan, który „ani spyta, co się na poletkach dzieje,“ zostawiając zarząd rozległych włości ekonomom i który się z tego chełpi, że u niego „Pan Jezus gospodarzem, a Najświętsza Panna gospodynią“—rozśmieszyć musi każdego taki starosta kaniowski, bijąc się z pokorą kułakiem w piersi w chwili, kiedy kaznodzieja przeciwko jego bezprawiom z ambony piorunuje.

Krytykę na wielmożów wkłada pan Soplica zwykle w usta słynnego księdza Marka.

Wszyscy byli ciekawi, co też kapłan-konfederat powie w rocznicę imienin Karola Radziwiłła, a on poczęstował zebranych panów następującem życzeniem:

— Święty Jan Ewangielista mawiał: Dziateczki, kochajcie jedni drugich, a ja wam to mówię, że tak nie czynicie. Kochamy naród! mówicie, a między sobą żyjecie w ciągłych swarach. Pięknaż to miłość ziemię kochać, a z ziemianami się kłócić. A wy, panowie naczelnicy związku, pod hasłem wiary i wolności ustanowionego! zamiast, cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, to albo sami ogień tworzycie, albo do gotowego drewka przykładacie. Czyż wy usadziliście się znękać cierpliwość i miłosierdzie Boże, aby inne narody nauczyć, ile to trzeba grzechów, żeby aż kraj zatracić? Wy się cieszycie wygraną pod Lanckoroną, a ja się smucę, bo ten dar Boży będzie wam powodem nowej Boga obrazy, powiększy waszą pychę, waszą swawolę, waszą rozpustę! A kiedy bieda was nie poprawi, cóż to będzie z pomyślnością? Lękamy się Boga, mówicie, za wiarę walczymy i krew przelewamy. Bodajby tak! A to, co się u siebie zrobiło na obradzie, dzień trzeci temu, JW. marszałku Lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się, kiedy, zapomniawszy o Bogu, z cierpkich przy-

mówek przyszło do odgrażania się, do korda, to ty, marszałku, cobyś miał mitygować, godzić, bronić nareszcie, jako poczciwy gospodarz, cóżeś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę robił, toś drugich panów zapraszał, ażeby byli świadkami, jak się Lubelczycy tęgo w kordy biją. A o cóż się bili? O głupstwo, aby wam, panowie, czas przyjemnie schodził. Krew szlachecka dla pańskiej zabawy niech płynie i t. d.

— Panowie—mówił jeszcze ksiądz Marek, wróciwszy po odśpiewaniu: Przed oczy twoje, Panie! po raz wtóry na ambonę—nierząd nas gubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z poczciwych rządzić nie chce. Król Sas, którego kochamy, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną na wieczną i będzie to, co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich waszych panów udawał się anioł (widzenie ks. Marka); zawsze ta sama odpowiedź: przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo! Był u Radziwiłła, wojewody wileńskiego, mówił, błagał: jedź do Warszawy, zajmij się rządem, cała Litwa twoja, ratuj koronę!... Aż płakał, tak się rozczulił: ja z tobą pójdę, a niech korona będzie cała. Ale tu nie idzie o ofiary z majątku, lub narażenie życia. Siedź w Warszawie i zajmuj się rządem. Ale książę odpowiedział na to: Panie Kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie pan Michał Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije. Udał się następnie anioł do wojewody kijowskiego. Pan obszernych włości i coby je chętnie dla kraju poświęcił, ale, *uczciwszy uszy*, jakże tu siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł przez kilka dni ciągle z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Czorsztynie, kiedy pani wojewodzina myśli, że mąż folwarki objeżdża. Nie pominął anioł i marszałka Mniszcha. Nie może! Kocha kraj, ale *świnia bura, rządząc* nie można mieć procesów, a jakże żyć

bez codziennych konferencyj z jurystami? A pan Wielopolski, krajczy koronny, kocha kraj, ale *bała bała*, jak zasiądę w Warszawie, kto będzie dyspozytorów co sesyi do roboty napędzał? A pan Krakowski? *Moja Panno*, niech-no się obmuruję w Białymstoku, to i o kraju pomyślę. A książę Sanguszko, starosta czerkaski? *Mopanie*, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje. Otóż taka wasza miłość—wołał ks. Marek — i dlatego tułacie się, żeby odzyskać, coście dobrowolnie stracili. Niechże to za naukę wam posłuży i waszym potomkom, płyńcie na desce, kiedy już wygodny okręt przez niedbalstwo wasze odbiegł od lądu.

Trudno o dosadniejszą charakterystykę ludzi, którzy mieli ciągle na ustach: kraj, ojczyzna! a w sercu grzeszne samolubstwo.

Przypatrzywszy się dobrze „Pamiątkom," nie widać w nich owej apeteozy „sarmatyzmu" XVIII-go stulecia, którą odkryła w pierwszem dziele Rzewuskiego krytyka współczesna. Tłum szlachty niższej robi wrażenie czerni służalczej, sprzedającej się za smaczny chleb bogaczom, a t. z. panowie są jedynie o tyle obywatelami i patryotami, o ile im te cnoty były potrzebne do poparcia własnych, często bardzo, nędznych interesów. Jedną tylko zaletę posiadają wszyscy, zarówno wielcy jak mali, mianowicie do broć, raczej poczciwość serca, stanowiącą zasadniczy rys natury polskiej wogóle. Karol Ryś odcina w pojedynku prawą rękę ubogiemu Scypionowi, ale potem czuwa przy łożu chorego, jak siostra miłosierdzia, i oddaje mu córkę wraz ze znacznym posagiem. Dygnitarze, sponiewierani przez księdza Marka publicznie, zżymają się, gdy jednak kapłan zstąpił z ambony, tłoczą się do niego i całują go w ramię. W bitwie staje zawsze jeden za drugiego.

Ta poczciwość sprawia, że czytelnik sympatyzuje z postaciami, występującemi w „Pamiątkach." Głupi są ci mościpanowie Soplicy, samolubni, nie-

zdolni do pracy obywatelskiej, niemożliwej bez karności i zaparcia się siebie, ale serdeczni. Ileż to razy groził Radziwiłł Panie Kochanku, że zniszczy śmiałka, który oparł się jego woli, a potem wygniewawszy się, nakrzyczawszy, odpuszcza mu winę, płacze i zapomina mu urazy.

„Pamiątki starego szlachcica“ postawiły Rzewuskiego odrazu w szeregu pierwszorzędnych beletrystów polskich. Autor ich nie kształcił się z piórem w ręku, jak znaczna część pisarzów, nie rozwijał się i dojrzewał, tworząc. Kiedy stanął przed krajem z pierwiosnkami swojego talentu, miał już po za sobą młodość, widział dużo świata i ludzi, myślał i rozmawiał dużo, słowem — był przetrawionym w ogniu życia. Niepokoje i burze lat wiosennych nie miotały jego duszą, wiodąc wyobraźnię na manowce. Ze spokojem artysty, który patrzy na wybrany przedmiot bez powziętej z góry tendencyi lub nienawiści, wydobył z mogił na światło dzienne szereg typów, lubując się ich rysunkiem. Wielu z nich znał osobiście, bądź w domu babki i rodziców, bądź w Krakowie, gdzie przebywał wśród licznego grona niedobitków zastygającej epoki.

Pisali przed nim powieści historyczne: Niemcewicze, Bernatowicze, Wężykowie, Budzyńscy, probowali sił w tym kierunku Gaszyński i Krasiński, ale wszystkich poprzedników Rzewuskiego natchnął nie geniusz narodu, spragniony pamiątek z przeszłości, jeno duch, który powiał nad całą Europą z dalekiego Zachodu. Niemcewicz, Wężyk, Bernatowicz i inni, chociaż czerpali także z bogatej skarbnicy dziejów polskich, przypominali kolorytem, kompozycyą i dykcyą zanadto wzory mistrza szkockiego, aby mogli przetrwać jego sławę.

Autor „Pamiątek“ nie naśladował nikogo. Przeniknąwszy do głębi epokę, na której konające blaski własnemi patrzył oczami, upodobawszy sobie w niej pewną grupę ludzi, którzy stanowili jedną całość,

„podkradł się“ pod ich myśli, uczucia, zabobony i przesądy, przyswoił sobie ich język i kazał im zmartwychpowstać. Ożyli rzeczywiście z łaski talentu Rzewuskiego owi Radziwiłłowie, Rejtany, Chodźkowie, Rysiowie, Borowscy, owi panowie i słudzy, wojownicy i awanturnicy z wadami swojemi i przymiotami. Czy wyglądali tak, jak ich autor przedstawił, rzecz obojętna, dość, że wywołali i wywołują dotąd zupełne złudzenie.

Trojdan z „Pojaty,“ lub Jan z Tęczyna Niemcewicza mogliby być równie dobrze: Francuzami, Anglikami lub Niemcami, ale Imci pan Seweryn Soplica, Radziwiłł Panie Kochanku, starosta Kaniowski i t. d., nie przestaną być szlachtą polską z XVIII-go stulecia, chociażby ich przystrojono w suknie chińskiego języka.

Sposób, w jaki Rzewuski odtworzył typy z czasów upadającej Rzeczypospolitej, jest jego osobistą własnością. On pierwszy starał się o zachowanie właściwego kolorytu i dykcyi, nie lekceważąc nawet drobiazgowych szczegółów. Dość postawić obok „Pamiątek“ „Dwóch Sieciechów“ Niemcewicza, osnutych także na tle stosunków i zwyczajów XVIII-go wieku, aby się przekonać, jak wielka różnica zachodzi między epigonami „Walter-Scotta“ a pierwszym oryginalnym historycznym beletrystą polskim. „Pamiętniki Paska,“ wydane w r. 1836, nie mogły być dla Rzewuskiego drogowskazem, gdyż wiadomo, że „Pamiętniki,“ chociaż później wydrukowane, powstały wcześniej.

Z wielką swobodą opowiada Imci pan Seweryn Soplica przygody własne, szkicując postacie inne szerokiemi, ale zawsze wyraźnemi, charakterystycznemi rysami. Nad „Pamiątkami“ wieje oprócz tego przyjemne ciepło. Czuć, że autor ukochał kreacye swoje miłością twórcy, że sprzyjał im nawet, kiedy z nich drwił. Nie ma w „Pamiątkach“ nic sztucznego, „robionego.“

„Pamiątki“ zjawiły się w porę właściwą, bo w chwili, kiedy społeczeństwo, zmęczone niepowodzeniem wysiłków, podjętych około r. 1830, wracało myślą w niedaleką przeszłość. Jakiekolwiek było to wczoraj, odbijało przecież korzystnie od ponurego dziś, odbierającego resztę nadziei.

Ostatnie lata istnienia b. Rzeczypospolitej znał kraj prawie jedynie ze sprawozdań stronnictwa, które czuło potrzebę reform, ale przeprowadzić ich nie umiało. Kto chciał pozyskać nazwę „inteligentnego,“ miotał przekleństwa na „zacofańców,“ „burzycieli porządku publicznego,“ nie rozumiejących ducha nowych czasów. Szlachcic z podgoloną czupryną, żyjący i pracujący po dawnemu, uchodził w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia za potwornego i szkodliwego wstecznika, który zawinił i przyśpieszył upadek kraju. „Sarmata“ był pośmiewiskiem nowatorów.

Ale i ten „sarmata“ szedł z krwi i kości swego narodu, więc wziął od niego jego wady i zalety. Ciemny i gardzący światłem Zachodu, nienawidzący króla „we fraczku,“ kochał ojczyznę równie gorąco, jak zwolennicy konstytucyi 3-go maja, był gościnny, hojny, nabożny i waleczny. Gdyby się był znalazł ktoś, coby umiał przemówić do jego zdrowego rozsądku i poczciwego serca, byłby stanął niezawodnie po stronie, która niosła zbawienie. Sztuki tej nie znał Karol Radziwiłł, ani żaden z panów ówczesnych, nie znał jej i Stanisław August, więcej Francuz niż Polak.

Chciwie rzucono się na gawędę Imci pana Seweryna Soplicy, nie szczędząc jego rodzicowi szczerych pochwał. Ówczesna krytyka literacka padła do nóg autorowi i biła mu pokłony, należące się jedynie geniuszowi. Michał Grąbowski nie posiadał się z radości po wyjściu „Pamiątek.“ Wołał on: „czego nie wyjawiał ani romantyzm, ani klasycyzm, ani literatura stanisławowska, tu dopiero odezwała się

żywa tradycya narodowa." Tamto były literatury, które starano się rozkrzewić w kraju; tutaj zdawało się, że oto naród swój byt, samego siebie objawić w literaturze usiłuje („Koresp. literacka," 1843 r."). Z równem uznaniem odezwał się o „Pamiątkach" Waleryan Wróblewski („Athenaeum" r. 1856), pierwszy, który zauważył pod opowiadaniem Soplicy ironiczny uśmiech autora. Powodzenie „Pamiątek" nie zmniejszyło się z biegiem czasu. Ukazały się one dotąd w dziesięciu wydaniach.

Mimo niezaprzeczonej wartości artystycznej wspomnień Imci pana Soplicy, której nie uszczupliło późniejsze prostowanie zawartych w nich błędów historycznych („Papiery Ambrożego Wejłły," Athenaeum), przeceniono jednak stanowisko „Pamiątek" w literaturze, gdyż były to tylko drobne sylwetki, rodzaj materyału do obrazu szerszych rozmiarów. Czuł to prawdopodobnie najlepiej sam autor, zabrał się bowiem zaraz po roku 1840 do napisania większej powieści, której urywki czytał w gronie przyjaciół w roku 1892 na kontraktach kijowskich. Liczne kłopoty gospodarskie i majątkowe oderwały Rzewuskiego od pracy Skończył „Listopada" w Petersburgu dopiero w r. 1845, i wydrukował go za namową Przecławskiego w „Tygodniku petersburskim," zanim go wydał w formacie książkowym, w trzech tomach.

Co Rzewuski naszkicował w „Pamiątkach," wycieniował w „Listopadzie" na dużem płótnie. Obiecał w przedmowie „wystawić wedle zdolności, jaką go Bóg obdarzył, epokę, zaczynającą się w drugiej połowie XVIII-go w., kiedy wyobrażenia francuskie, zaraziwszy wyższe części naszego społeczeństwa, wywłaszczały dawną cywilizacyę z wyobrażeń chrześciańskich rozwiniętą, a obok tego jałowe usiłowanie ostatnich obrońców starej narodowości" — i z nakreślonego zadania wywiązał się po mistrzowsku.

Wyprowadził z jednego pnia dwie latorośle, z których każda stała się, wskutek odmiennego wychowania, przedstawicielem przeciwnego obozu.

Pani Strawińska, z domu Massalska, urodziła mężowi, panu strażnikowi Wojciechowi, dwóch synów: Ludwika i Michała, i przeżywszy jeszcze obok niego lat kilka, rozwiodła się, aby wyjść powtórnie za mąż za hrabiego Mycielskiego, eleganckiego panicza z Wielkopolski, który przesiąkłszy za granicą cudzoziemczyzną, przebrał się we „frak niemiecki.“ Z rozporządzenia konsystorza został starszy syn przy matce; młodszego zaś zostawiono przy ojcu.

Rodzeni bracia poszli zupełnie innemi drogami. Młodszego wykierował pan Wojciech na „sarmatę“ dawnego autoramentu, starszego zaś wysłał hrabia Mycielski do Francyi, do szkoły rycerskiej, założonej przez króla Leszczyńskiego.

Pan strażnik Strawiński zaczął edukacyę swego syna Michała od tego, że ogolił mu głowę, a potem przyjął mu „dyrektora“ i kazał uczyć panicza katechizmu, czytania, pisania i początków łaciny, zalecając nadewszystko, aby nie oszczędzał batoga, bo: „sam Bóg przykazał, żeby dzieci znały karność, a szlachcic polski nie powinien być rozpieszczonym.“

Ten batog odgrywa w wychowaniu „sarmaty“ dużą rolę. Co chwila przypomina go pan ojciec, nawet wtedy, kiedy dorosłego młodzieńca oddaje na praktykę „jurystowską,“ do pana regenta Wojszwiłły.

Michał uczył się po odbyciu wstępnego kursu domowego u ojców Jezuitów łaciny z Alwara i wszystkiego, co umiał jego rodzic, ale nic nadto. Gdy skończył szkoły, gadał „po łacinie jak Jezuita, teologię moralną znał, jak kanonik katedralny, modlił się z rubryceli i ze wszystkiemi jej tajemnicami był spoufalony, po polsku i po łacinie pisał *expedite*, a nadewszystko umiał z ludźmi obcować, to jest wiedział, *cui honor*, *cui decus*, *cui vectigal*. Wszystkie odcienia grzeczności były mu tak wiadome, że

inaczej mówił do podkomorzego, inaczej do innego urzędnika, inaczej do szlachcica, niezaszczyconego urzędem."

Ta ostatnia umiejętność zachwyciła pana strażnika najwięcej. Brat bliźni Imci pana Soplicy cieszył się z tego wielce, że jego syn, acz „najmo żniejszym równy," nie będzie nigdy w kłopocie, gdy wypadnie mu obcować z „panami."

„Sarmata" XVIII w. nie byłby doskonałą odbitką swojego rodzica, gdyby nie znał prawa. Odsłużył więc Michał pewien czas w palestrze, a gdy zdobył sobie sławę zdolnego mecenasa, wrócił do domu, aby się zająć gospodarką.

Uczciwy, pobożny, w razie potrzeby waleczny, hojny i ofiarny, chociaż umiał cenić wartość grosza, zaciągnął się do „przyjaciół radziwiłłowskich", jak jego ojciec i dziad. Podobny we wszystkiem do zwykłej szlachty powiatowej, był bierny, jak on, i jak ona, nie wybiegał myślą i pragnieniami po za cele i interesa pospolite. W normalnych warunkach kraju byłby pożytecznym obywatelem, w epoce zaś przejściowej, burzliwej, musiał się stać bezwolnem narzędziem w rękach pana, którego przywykł uważać za ostatni wyraz rozumu i poczucia obywatelskiego.

Daleko świetniejsze wychowanie odebrał Ludwik Strawiński. Oddany przez ojczyma, który wyrobił pasierbowi kawalerstwo maltańskie, do szkoły rycerskiej w Lunewilu, nabył tego poloru, który dworzan francuskich z pomiędzy wszystkich wyróżniał. Gdy wyszedł z korpusu, walczył pod chorągwiami Francyi przeciw Prusakom, a odznaczywszy się w bitwie pod Minden, zwrócił na siebie uwagę marszałka de Broglie, który posłał go do Wersalu ze znamionami, zdobytemi pod Klosterkamp.

Piękny, dowcipny, wybornie tańcujący szlachcic polski, zwany *le beau comte polonais*, nie był obojętnym dla dam dworu wersalskiego. Protegowała

go sama margrabina de Pompadour, popierała go pani Geoffrin, kochała się w nim panna Gaussin. Obsypywany podarkami zalotnych kobiet, wyróżniany przez najmożniejszych i najuczeńszych, zaszczycany przyjaźnią Woltera i encyklopedystów, bawił się *le brave* i *beau Loulou* dopóty w Wersalu, dopóki się kochankom nie sprzykrzył. Wpadłszy w niełaskę lwic dworu francuskiego, zrozumiał, że trzeba opuścić kraj, nie mający ochoty utrzymywać dłużej kosztownego próżniaka. W Polsce zastał na tronie Stanisława Poniatowskiego, któremu kiedyś we Francyi pożyczył był 1,000 luidorów. Król, wypłacając się za grzeczność, mianował go starostą wieluńskim.

Dwóch tych rodzonych, a mimo to wcale do siebie niepodobnych braci, wysunął Rzewuski na czoło swojej „powieści." Każdy z nich jest ogniskiem grupy ludzi, stanowiących pewien odłam ówczesnego społeczeństwa.

Młodszego, Michała, otaczają Albeńczycy z Karolem Radziwiłłem i generałem Kunickim na czele. Ludwik przedstawia stronnictwo dworskie, rządowe.

Charakterystykę tych „partyj" wplótł autor w dyalog, który dwaj bracia prowadzą, jadąc do Nieświeża, na imieniny księcia Panie Kochanku.

Ludwik twierdzi, że „rozum musi otrzymać prawa swoje," a Michał odpowiada na to słowami nieboszczyka ojca: „że każdy naród ma swój rozum, dla niego tylko przydatny." Starosta wytyka szlachcie burzliwość, zarozumiałość, ciemnotę i pijaństwo, wojski zaś mniema, że wszystkie te wady równoważy poczciwość.

— I cóż z tej poczciwości — mówi Ludwik — z tego poświęcenia, bez zdrowych wyobrażeń politycznych.

— Bracie Ludwiku--broni się Michał — co mówisz, może być bardzo rozumnem, ale nie do mnie należy o tem sądzić.

Przedstawiciel „sarmatów" nie chce stanowczo

myśleć, bo to „nie należy do niego“ (od czego magnaci?); nowator przeciwnie, myśli dużo i sądzi dość często dobrze i trafnie, czego dowodem jego listy, pisane do księcia generała Ziem Podolskich i do hr. Bertranda Mycielskiego.

Radzi on między innemi p. Mycielskiemu, który służy w wojsku francuskiem, ażeby się ożenił z bogatą Kreolką, a potem przybył na jakiś czas do Warszawy: „nie uwierzysz — zapewnia — jaki miałbyś dla nas powab, raz, że kiedy się odezwiesz po polsku, to taką wymową, że nikt ciebie nie zrozumie, powtóre, że jesteś zupełnie zfrancuziały w każdem poruszeniu. A cóż dopiero, jak się dowiedzą, że masz dobra pod ekwatorem, przez murzynów uprawiane? Nie będą wiedzieli, na jakiem miejscu cię posadzić, bo tu *tylko zagraniczczyzna i pieniądze mają jakąś wartość.* Naród francuski jest najpierwszym w świecie narodem, tego nikt sumiennie nie zaprzeczy; a zkądże ta jego wyższość? Oto ztąd, że on jeden posiada stolicę, żyjącą z własnego funduszu umysłowego, inne zaś wszystkie karmią się pożyczonym od niej chlebem. W Warszawie szczególnie, im kto gorliwiej usiłuje uchodzić za patryotę, tem więcej małpuje „Francuza.“

I to, co starosta wieluński mówi o magnatach, o ich lenistwie i „nieobecności,“ o opozycyi dla samej opozycyi, o braku wyrobionej opinii publicznej, daloby się jeszcze dziś bez zmiany powtórzyć. Niezmiernie bystrym spostrzegaczem jest brat Michała. Jego listy i uwagi świadczą, że skorzystał wiele we Francyi w towarzystwie encyklopedystów i uczonych. „Ta biedna Polska stanęła przed jego oczami w całej swojej nagości; jest w niej coś przerażającego, jest-to jakiś stan rzeczy, trawiący dawne a świetne pamiątki, a gdzie upatrzyć nie można żadnej siły działawczej; jest-to anachronizm polityczny, a jego rozwiązania nikt przewidzieć nie może.“

Zdawałoby się, że człowiek, widzący tak jasno

i dobrze, powinien należeć do tych „sił działawczych,“ tem więcej, że posiada środki wpływania na wypadki kraju, bo stoi na czele gabinetu królewskiego. Tymczasem jest Ludwik rozumny, dowcipny, odważny, dopóki mu szczęście sprzyja, a staje się niedołężnym z chwilą, kiedy się fortuna od niego odwraca. Mówił dużo, drwił z innych, sam nic nie robiąc. Błyskotliwe życie swoje zakończył samobójstwem.

Bo ta jego świetność była tylko szychem, pod którym znajdowała się niemoc. „Słynę na wielkim świecie—pisze starosta do księcia generała Ziem Podolskich—z wesołości i jednostajności humoru, mają mnie wszyscy za jednego z ulubieńców fortuny, a gdyby mnie umiano przeniknąć prawdziwie, nie byłoby czego zazdrościć. Znalezionoby czczość, odczarowanie, przesyt wszystkiego. Co tylko przywabia swojemi ponęty, już jest dla mnie obnażone z szat swoich, a nagość tych rzeczy, za któremi się upędzamy, bez których nawet już żyć nie umiemy, jest obrzydliwą. Wszystko jest nicestwem i my sami jesteśmy nicestwem. Nie ma nic rzetelnego w żadnej zasadzie. Wiara, czy niedowiarstwo, religia, czy filozofia, wszystko to są igraszki słów, a ten rozum, którym się tak pysznimy, najczęściej na słowach poprzestaje. Każdy filozof chlubi się, że jest wyznawcą prawdy, ale co to jest prawda? jak się przekonać, że prawda jest prawdą? Czy jest na świecie jakaś prawda? i t. d.“

Czy są na świecie jakieś prawdy, czy ich niema—nie o to wolno pytać mężowi czynu. Kto chce coś zdziałać, musi w coś wierzyć. Puste rezonowanie zostawia się teoretykom i myślicielom z zawodu.

Starosta wieluński rezonował za wiele i dlatego nie przyczynił się niczem do zreformowania kraju, chociaż rozumiał potrzebę szybkich zmian.

Z jednej strony szlachcic poczciwy, prawy, ale ciemny i chodzący na pasku kaprysów i ambicyj

magnackich, z drugiej licha kopia mędrców francuskich, papląca, dowcipkująca, goniąca za użyciem i tytułami — oto społeczeństwo polskie z drugiej połowy XVIII stulecia, odmalowane w „Listopadzie“ Rzewuskiego. I musiało tak być, gdyby bowiem było inaczej, trudnoby zrozumieć upadek wielkiego niegdyś i walecznego narodu. Uparty aż do zaciekłości przesąd i rozpusta podały sobie ręce, aby zniszczyć wspólnemi siłami gmach, zbudowany przez cnotę i dzielność.

Nie tajno nikomu, po której stronie stała sympatya autora. Wychowaniec siostry Tadeusza Rejtana, syn nieprzyjaciela konstytucyi 3 maja, płaczący w piątym roku życia za kontusikiem, gdy mu go odbierano, nie ukrywa się wcale Rzewuski z nienawiścią do wszelkich nowatorstw. Już serdeczne ciepło, które wieje nad „Pamiątkami,“ odsłoniło jego miłość do dawnego porządku, a wstęp do „Listopada“ i liczne przypiski nie dopuszczają w tym względzie żadnej wątpliwości.

Mimo tej wyraźnej słabości Rzewuskiego do „sarmatyzmu“, nie zaznaczył jej w „Listopadzie“ nigdzie tak dobitnie, aby raziła. Z przedmiotowością artysty, dla którego nie istnieją sympatye i antypatye stronnicze, ze spokojem spostrzegacza, chwytającego wszystko, co się jego uwadze nasuwa, patrzył Rzewuski w przeszłość, upodobał sobie jeden jej odłam i ten odtworzył wiernie. Podkreślił zalety sarmatów, ale nie zapomniał o ich wadach, wytknął wady francuskich polaków, nie pomijając ich przymiotów. Autor „Listopada“ panował nad sobą do tego stopnia, że czasami zdaje się, jakoby potępiał butnych zuchów z podgolonemi czuprynami. Zależy to od sytuacyi, jaka wypada z przebiegu akcyi.

Sumiennie i zupełnie zgodnie z wymaganiami techniki artystycznej rozdzielił Rzewuski w „Listopadzie“ światła i cienie, starając się zawsze o pełny

obraz w granicach, wykreślonych w założeniu. Niesłusznie zarzucano mu swego czasu, że nie uwzględnił szlachty niezależnej i mieszczaństwa, nie żąda się bowiem od autora nigdy więcej nad to, co sam dać zamierzał. Autor „Listopada“ chciał odtworzyć walkę dwóch „partyj“ głównych i z zadania tego wywiązał się z niepospolitym talentem.

Wolno, stopniowo, z wprawą dobrego technika, rozwinął akcyę, dbały zawsze i wszędzie o właściwy koloryt. Nie poświęcił nigdzie sceny charakterystycznej dla posunięcia czynności. Gdzie było potrzeba, malował szeroko, zatrzymywał się przy drobiazgach, lubował się w szczegółach. Imieniny Karola Radziwiłła i zebrania na dworze królewskim należą do najlepszych scen zbiorowych w naszej beletrystyce.

Już w „Pamiątkach“ dowiódł Rzewuski niezwykłego daru spostrzegawczego. Postacie jego żyją, mówią swoim językiem, myślą i czują, stosownie do stopnia wykształcenia i usposobienia. Wykwintny Ludwik jest wszędzie giętkim dworakiem. Dyalogi, w których on występuje, są arcydziełem zręczności dyalektycznej.

Jednej tylko rzeczy nie znał Rzewuski i nie nauczył się jej nigdy. Nie rozumiał kobiety i lekceważył jej znaczenie. Tak w „Pamiątkach,“ jak w „Listopadzie,“ występuje głównie jeden typ: dziewczyna cicha, skromna — wyborny materyał na żonę i matkę. Typ to pożądany w życiu, ale w powieści zbyt blady, aby mógł podtrzymać czynność i rozbudzić ciekawość czytelnika. Taka Zosia Kunicka musiała ustąpić z widowni z chwilą, gdy wyszła za mąż, przez co straciła kompozycya „Listopada,“ gdyż rozpadła się na dwie części.

Jeden z krytyków Rzewuskiego (Waleryan Wróblewski) wyraził powątpiewanie, czyby autor „Pamiątek“ podołał epoce, w której „szlachta umiała być niezależną i niepodległą.“ Jakby w odpowiedzi na ten zarzut, sięgnął Rzewuski w swojej drugiej powie-

ści historycznej, w „Zamku Krakowskim,“ do wieku, przepełnionego postaciami samoistnemi.

Znane dzieje Samuela Zborowskiego są treścią „Zamku Krakowskiego.“ Młodzieniec z rodu magnackiego, skoligacony z pierwszemi domami Rzeczypospolitej, bogaty, przystojny, odważny, waleczny, oddaje głowę pod miecz kata, szlachta zaś „nie dobywa szabel,“ jak za czasów Radziwiłła Panie Kochanku. Stało się bowiem tylko zadość prawu, a narody silne szanują ustawy krajowe.

Do charakterystyki epoki posłużył się autor ubogim szlachcicem, ale jego Ezechiel Zdora, syn rządcy w dobrach Zborowskich, różni się wielce od Sopliców i innych „panów braci“ z „Pamiątek.“ Ojciec, stary skąpiec, okradający przez całe życie kasztelana krakowskiego, przeznaczył go na pastora protestanckiego, gdyż był dysydentem, jak jego pan. Ezechielkowi jednak smakowała więcej szabelka, niż książka, przeto uciekł ze szkół i zaciągnął się pod chorągiew pana Hieronima Ossolińskiego, który go za czyny wojenne pasem rycerskim obdarzył.

Wysoka godność syna nie zmiękczyła wcale twardego serca rodzica. Gdy Ezechiel wrócił z wyprawy, nie odmówił mu wprawdzie ojciec u siebie kąta i łyżki strawy, kieszeń jednak zamknął przed nim jeszcze szczelniej. Doszło do tego, że pasowany rycerz nie miał sobie za co kupić przyodziewku, że świecił łokciami i chodził w podartych butach.

Taka bieda sprzykrzyła się wkrótce panu Ezechielowi. Szlachcic XVIII stulecia byłby się uczepił klamki pańskiej i wycierał dopóty przedpokoje jaśnie wielmożnych lub wielmożnych, dopókiby coś z ich łaskawej ręki nie kapnęło. Nie tak młody Zdora. On powiedział sobie: Przecie mam konia, zbroję, koncerz i kopię — a oręż nietylko bronić, ale w potrzebie i żywić powinien, bo na cóżby go czyścić i pielęgnować, gdyby nim tylko dziewki wiejskie i dzieci żydowskie straszyć.

Jak pomyślał, tak uczynił. Niebawem zaczął się pan Ezechiel popisywać nocną porą w okolicach Kalnika. Nikogo nie zabijał, ale, jakie mógł, kontrybucye nakładał na tych, co przybywali na jarmarki do miasta, a za to dawał im protekcyę, eskortując ich na miejsce.

Podobny przemysł był w owych czasach uważany za zabawę szlachetną — dodaje dowcipny zawsze autor od siebie—i nie kalał honoru rycerskiego, jako naprzykład handlowanie łokciem lub miarką.

Te drobne zarobki, zdobywane przez Zdorę na drogach, nie dały mu dochodów, jakich się spodziewał. On marzył o większej sumie pieniędzy, aby mógł służącemu kupić konia i ruszyć z nim pospołu w świat na boje i trudy, jak przystało na rycerza. „Niech tylko wymoszczę kieszeń czerwieńcami i wsadzę Swiryda na porządną szkapę, aby mi wstydu nie przynosił—mawiał do siebie — wtedy zadrwię sobie ze starego sknery i jego ukrywanych starannie pieniędzy. Pójdę, gdzie mnie oczy poniosą, i nie zginę, bo dobrej szabli i odważnego serca ludzie zawsze potrzebują.“

Szczęście uśmiechnęło się niebawem do młodego śmiałka. Do Kalnika przybyło dwóch kozaków zaporozkich po haracz, który rządca Zborowskich dla miłego spokoju regularnie płacił. Ezechiel wyzwał jednego z nich na rozprawę rycerską, z zamiarem „nabycia“ w ten sposób konia dla swojego pachołka, a pięćset złotych dla siebie. Zabiwszy sahajdacznego w pojedynku, „nabył“ zwyczajem XVI w. jego broń i cały majątek, jaki się przy poległym znajdował. Posiadał więc teraz wszystko, do czego dążył: trochę grosza, prawdziwego giermka, doskonałą zbroję, dużo fantazyi, odwagi i chęci wykierowania się na pana.

Dokazywał właśnie wówczas na Zaporożu nowy hetman, zwany Samuchą. Sława jego imienia rozbrzmiewała szeroko. Drżeli przed nim Tatarzy

i Polacy, obawiał go się nawet sam padyszach. Kim był ten Samucha, nie wiedziano. Podawano tylko sobie z ust do ust jego czyny waleczne, przewyższające zuchwalstwem wszystko, co się dotąd działo na Siczy.

Namówiony przez drugiego kozaka, w którym poznał dawnego towarzysza broni, postanowił Zdora zapisać się w rejestra zaporozkie, aby doświadczyć szczęścia pod rozkazami słynnego atamana.

Po tym wstępie, który rzuca pełne światło na obyczaje i wyobrażenia uboższej szlachty XVI w., rozszerzają się ramy powieści. Autor wprowadza odrazu głównego bohatera i bohaterkę.

Zdora jedzie w towarzystwie pana Kazimierza Mroczka, noszącego w służbie kozackiej przezwisko Cyt-Detyny, na Ukrainę i spotyka wśród drogi księżniczkę siedmiogrodzką, która wraca z Kijowa na Węgry. Młodemu rycerzowi, spragnionemu „nabywania“ skarbów, aż oczy zaświeciły z radości. Nie słuchając przestróg towarzysza, wspina konia natychmiast ostrogami i rzuca się na bogate pojazdy cudzoziemki. Lecz z poza nich wysuwa się w tej samej chwili czarny rycerz. Niespodziewany obrońca niewiast odpiera atak. Zaledwie dotknął kopią przeciwnika, a pan Ezechiel leżał już na ziemi.

Tylko jeden rycerz owego czasu posiadał w ramieniu tak olbrzymią siłę, tylko jeden Samuel Zborowski ścinał mieczem głowy końskie i zwalczał w pojedynku równocześnie czterech napastników. Nieustraszony w boju, biegły w sztuce wojennej, jak niewielu z jego towarzyszów, niepohamowany w gniewie, a mimo to szczery w przyjaźni i hojny, posiadał wszystkie warunki na znakomitego męża, okrom rozwagi. Zapalczywy bez miary, ufny w siłę oręża, lekceważył prawo, mieniąc się wyższym od mądrości narodu.

On to był owym czarnym rycerzem, który pokonał Zdorę, on był i owym Samuchą, groźnym

hetmanem zaporozkim. Udając się do Polski, poznał Gryzeldę, synowicę Stefana Batorego, późniejszego króla Polski, zakochał się w niej i zapomniał o wielkich zamysłach, z któremi zdążał do kraju. Miał zamiar wyjednać u nowego monarchy utworzenie buławy kozackiej, aby powiększyć wojsko Rzeczypospolitej o pięćdziesiąt tysięcy szabel, ale amor, dotknąwszy różową rączką jego serca, wypłoszył z niego na czas pewien marzenia o sławie. Zamiast spieszyć do Krakowa, gdzie obierano właśnie pierwszego króla elekcyjnego, ciągnął za powozem pięknej Gryzeldy, aby być w razie potrzeby przy jej boku. Po drodze dokonał jeszcze czynu bohaterskiego, niezrozumiałego dla naszych czasów. Wyzwał równocześnie czterech najdzielniejszych wojowników tatarskich na rozprawę i odniósł zwycięztwo w obliczu zdumionego wojska.

Z chwilą, gdy Samuel Zborowski występuje, rozprzęga się kompozycya „Zamku Krakowskiego.“ Zręczniejszemu od Rzewuskiego technikowi artystycznemu posłużyłby romans Samuchy z Gryzeldą do nawiązania t. zw. intrygi, ale autor „Pamiątek“ i „Listopada“ nie umie wyzyskać miłości. Wprowadza on kobietę na to tylko, aby ją czemprędzej usunąć i wrócić do malowania scen charakterystycznych, w których jest mistrzem.

Odprowadziwszy księżniczkę siedmiogrodzką do granicy, udaje się Zborowski do Krakowa, gdzie smutnej pamięci Henryk Walezyusz wyszedł z urny wyborczej. Zdora i Gryzelda schodzą na drugi plan, na pierwszy zaś wysuwają się turnieje, zebrania szlachty, drobne epizody, pełne prawdy i plastyki, ale połączone z całością bardzo luźnem pasmem. Nieszczęśliwy wypadek Samuela z kasztelanem Wapowskim rozrywa jeszcze więcej jednolitość budowy. Zabójca wysłańca królewskiego tuła się między obcymi, a jego miejsce zajmują w powieści nowe postacie, naszkicowane mniej wprawną ręką od po-

przednich. Jan Zamoyski nie zadowalnia czytelnika. Daleko wyraźniej odtworzyła historya kanclerza króla Batorego.

Śmierć Zborowskiego jest najlepszą ilustracyą do wyobrażeń i cnót XVI w. Wszakżeż pod mieczem kata skończył syn wielkiego rodu, możny pan, rozgłośny rycerz. O ileż był ten warchoł więcej wart od takiego np. Radziwiłła panie Kochanku, wojującego głównie kielichem, lub owego starosty kaniowskiego, który posługiwał się nahajem, zamiast mieczem. A jednak nie „dobyła szlachta szabel,“ aby bronić przedstawiciela bogatego domu. Po stronie prawa stanęli nawet jego przyjaciele i towarzysze broni, jak Zdora i Mroczek, i krewni, jak Humiecki.

Istniało jeszcze wówczas w narodzie poczucie obywatelskie, silniejsze od łaski lub niełaski pańskiej, przedewszystkiem zaś od „smacznego chleba“ cześnika parnawskiego. To poczucie było tak powszechne, że kiędy Zborowskim wytoczono na sejmie warszawskim proces o zdradę stanu, nie zawahał się świadczyć przeciwko wichrzycielom, knowającym spiski z mocarstwami postronnemi ku zgubie Rzeczypospolitej, ich siostrzeniec, Piotr Choiński, późniejszy kasztelan przemętski.

W drugiej powieści Rzewuskiego braknie obywatela dawnej Polski. Zamoyski, który był niezawodnie wzorem do takiego typu, nie występuje w „Zamku Krakowskim“ dość plastycznie, aby mógł stanąć obok Samuela, reprezentanta rodzącej się anarchii, a Humiecki, uchwycony bardzo dobrze, wpływa zbyt mało na przebieg akcyi.

Jak w „Listopadzie,“ nie ma i w „Zamku Krakowskim“ postaci, któraby wcielała pierwiastki dodatnie epoki. Czynią to wprawdzie tu i owdzie figury podrzędne, ale wszystkich tych pionków pokrywa sobą Zborowski.

Sam bohater „Zamku Krakowskiego,“ chociaż

postawiony z samego początku dobrze, grzeszy przy końcu nieprawdopodobieństwem, a raczej niedostatecznem wycieniowaniem. Ów dumny, gwałtowny Samuel, urągający prawu i władzy królewskiej, ujęty przez służbę pani Wapowskiej i dostawiony do grodu, przyjmuje nietylko wyrok śmierci ze spokojem, bez szemrania, ale przebacza nawet Zamoyskiemu, szczęśliwemu rywalowi, który posiadł ukochaną przez niego Gryzeldę. Było tak w istocie, lecz czego historyk nie dopowiedział, to powinien był artysta dopełnić. Musiały być w charakterze warchoła XVI w., oprócz bezmiernej dumy i nie krępującej się niczem porywczości, jeszcze inne czynniki, kiedy poddał się z taką pokorą ustawom krajowym i nie odepchnął ręki, spuszczającej na jego szyję miecz kata. Źródła tej szlachetnej rezygnacyi nie wskazał Rzewuski.

Niedostateczność rysunku głównego bohatera wynagradzają postacie drugorzędne. Z wielką ścisłością wyrzeźbił autor Zdorę. I Swiryd, i Humiecki, i sahajdaczny kozacki są nawskróś prawdziwi.

Krytyk współczesny mógłby zarzucić „Zamkowi Krakowskiemu“ brak kolorytu epoki. Rzewuski nie zastosował rzeczywiście dykcyi do języka XVI stulecia i nie trzymał się ściśle podań historycznych; tłómaczy go jednak ta okoliczność, że wydoskonalenie techniki powieściopisarskiej w tym kierunku jest zdobyczą czasów najnowszych.

Daleko mniej, aniżeli w „Zamku krakowskim,“ krępował się Rzewuski historyą w trzeciej powieści, w „Adamie Śmigielskim.“ W utworze tym poprzestawiał dowolnie wypadki, ustalone przez naukę.

Kompozycya, wadliwa już w „Listopadzie“ i w „Zamku Krakowskim,“ nie wytrzymuje w „Adamie Śmigielskim“ nawet pobłażliwej krytyki. Autor zapełnił prawie połowę książki biografią bohatera, znanego żołnierza z czasów Augusta II i Stanisława Leszczyńskiego. Skłonny do starannego podmalowywania tła, poświęcił tej swojej słabości w „Śmigiel-

skim" tyle miejsca, że go dla samej fabuły niewiele pozostało.

Adam Śmigielski, szlachcic wielkopolski, dorobił się, jak wiadomo, szablą wysokiego stanowiska, zaszczytów i mienia. Syn oficyalisty wojewody Potockiego, ośmielił się rozkochać w córce swego patrona, w pięknej Zofii, której rękę w końcu osiągnął. Jak w „Listopadzie" i w „Zamku Krakowskim," nie jest i w „Śmigielskim" romans owym cementem, któryby pojedyncze części powieści w jedną zlepił całość. Zofia występuje rzadko, a nie przekracza nigdy granic, w których się obracają t. zw. dobrze wychowane panny, chociaż nie jest obojętną na afekt Adama. Nawet na krótko przed spełnieniem życzeń obojga, nie przestaje być szablonową córką, szanującą ponad wszystko wolę rodziców. Typ taki, powtarzający się ciągle u Rzewuskiego, nie zawiera w sobie materyału na kochankę i bohaterkę powieściową, gdyż nie występuje nigdy samodzielnie, zawsze tylko bierny i posłuszny.

Niezmiernie szybko słabł odtąd talent Rzewuskiego. Nieumiejętność autora „Pamiątek" w przeprowadzeniu jakiejkolwiek intrygi, przejawiła się najwidoczniej w „Zaporożcu" (1853), który nastąpił po „Rycerzu Lizdejce" (1851).

Z treści „Zaporożca" stworzyłby zręczny technik artystyczny powieść niezmiernie „ciekawą" — posiadała bowiem wszystko, „co podtrzymuje uwagę."

Łowczy Kierdej z czasów królów Sasów, ożenił się z księżniczką Maryą Sołomerecką, której serce należało do szlachcica ruskiego, Skoropackiego. Pobudzony przez panią Krajewską, piękną siostrę łowczego, a kochankę Augusta I, postanowił Skoropacki rozwieść Maryę, pewny zaś, że jego zamiarowi nie stanie nic na przeszkodzie, używa przedwcześnie praw małżonka. Owocem tego stosunku jest bohater powieści, Jakób Bokun, późniejszy Kierdej. Ale śmierć króla i upadek pani Krajewskiej obraca-

ją w niwecz zamiary i nadzieje Skoropackiego. Łowczyni umiera w połogu; mąż jej wyrabia sobie na dworze nowego monarchy stanowisko wpływowe — gwiazda Skoropackiego gaśnie razem ze znaczeniem jego protektorki.

Łowczy, doszedłszy do władzy, mści się na szczęśliwym współzawodniku. Przekupiwszy sąd, wykazuje mu nieprawdziwość szlachectwa, przez co pozbawia go przywilejów i majątku. Zrozpaczony Skoropacki udaje się na Sicz, gdzie dosługuje się po pewnym czasie atamaństwa koszowego.

Zostaje jego syn, zapisany w księgach jako prawy potomek łowczego, ukrywany starannie przez panią Krajewską, która nie może bratu zapomnieć, że ją kiedyś pozbawił posagu i skazał na nędzę. Tego chłopca szuka łowczy i nie może go znaleźć, choć dziecko Maryi chowa się przy jego boku. Gdy się nareszcie domyślił, kim jest ten urodziwy i dzielny Jakób Bokun, opatrzyli się i opiekunowie młodego Skoropackiego — i wysłali go na Zaporoże do ojca.

W osnowie tej jest wszystko, czego potrzeba do stworzenia powieści nietylko ciekawej, ale wprost „sensacyjnej,“ bo: niedozwolona miłość, owoc jej, istrygantka, pełno tajemnic, wykradanie, zemsta i t. d. Bernatowicz, zdolny naśladowca Walter-Scotta, byłby bajkę rozsnuwał stopniowo, utrzymując uwagę widza aż do końca w naprężeniu. Rzewuski zaś nawiązał wprawdzie węzeł bardzo dobrze, lecz już w rozdziałach wstępnych pozwolił się unieść swemu upodobaniu do drobiazgowej charakterystyki postaci drugorzędnych.

Jak w „Adamie Śmigielskim,“ zajmuje i w „Zaporożcu“ ekspozycya zbyt wielką część powieści. Nie ożywia wcale kompozycyi „pamiętnik“ atamana koszowego, wsunięty do akcyi, przerywanej bezustannie epizodami, nie wynikającemi z założenia. Sam bohater, Jakób, nie czyni nic. Porwany przez ko-

zaków ojca, uwięziony na Siczy, następnie przeniesiony do Warszawy pod skrzydła opiekuńcze pani Krajewskiej, która wróciła tymczasem do znaczenia, robi, co mu opiekunowie każą i wzdycha do swojej Helenki.

Znakomity rzeźbiarz mniejszych szkiców i wyborny malarz zbiorowych scen, nie potrafił wyzyskać materyału dramatycznego, który wystarczało uporządkować, aby „budził interes“ od pierwszej do ostatniej stronicy.

Przesiawszy całą spuściznę beletrystyczną Rzewuskiego przez sito krytyczne, zostaną na dnie tylko dwa dzieła pierwsze: „Pamiątki“ i „Listopad.“ Reszta, chociaż nie brak w nich błysków talentu pierwszorzędnego, utonie w morzu bibuły, zapisanej na użytek współczesnych.

Wszystko, co Rzewuski miał do powiedzenia, jako artysta, zawarł w opowiadaniach Imci Pana Seweryna Soplicy i w losach braci Strawińskich.

Główną jego siłę stanowi niepospolita łatwość w odtwarzaniu charakterów. Odtwarzali dawną szlachtę przed Rzewuskim różni, mniej lub więcej zdolni powieściopisarze, ale żaden z nich nie dorównał mu w chwytaniu rysów znamiennych. Doświadczyński był wcieleniem tendencyj Krasickiego, postacie Niemcewicza, Wężyka i Skarbka żyły w wyobraźni autorów, Bernatowicz poświęcał typy dla bajki. Pierwszy Rzewuski nie pominął nigdy rysu charakterystycznego, czy w czynie, czy w mowie, lub w otoczeniu swego bohatera. Umiał on z jednego typu szlacheckiego wykroić kilkanaście, kilkadziesiąt odcieni, z których każdy, aczkolwiek był podobny do drugiego, posiadał coś własnego, odrębnego.

Myślicieli, poetów, wojowników, polityków i t. d. nie wybierał autor „Pamiątek.“ Jego bohaterowie należą w znacznej części do pospólstwa umysłowego, ale w tych granicach był mistrzem. Cześnik parnawski jest szlachcicem, dorabiającym

się fortuny i urzędu w każdym ruchu, nawet wtedy, kiedy autor z niego dworuje. Tak samo pan Ezechiel Zdora, tak samo ojciec Adama Śmigielskiego i Bołsunowski, domniemany wuj Jakóba Bokuna, *alias* Kierdeja.

Najlepiej udają się Rzewuskiemu natury proste, nieco szorstkie, butne, żołnierskie, ufne w moc oręża lub nahaja. „Banda“ albeńska, zmartwychpowstała pod jego piórem razem z księciem Karolem. Przetrwa także z łaski strachu Imci pana Soplicy smutna pamięć starosty Kaniowskiego.

Bohaterowie Rzewuskiego posługują się zawsze językiem charakterystycznym. Dowcipny Borowski odzywa się dowcipnie, rubaszny Panie Kochanku rubasznie, uniżony cześnik parnawski pokornie. Surowy ojciec Strawińskich bezwzględnie, elegancki Ludwik gładko, a ksiądz Marek, kapłan obozowy, mówi, jak gdyby rąbał, nie oszczędzając nikogo, nawet najwyższych.

Ta poprawka techniki powieściopisarskiej jest wyłączną własnością Rzewuskiego, gdyż przed nim nie zwracano uwagi na charakterystyczność dykcyi.

Indywidualności głębszych, lotniejszej myśli lub gorętszego uczucia, niema w powieściach Rrzewuskiego, a jeżeli tu i owdzie błysną, nie sięga autor do tajników ich duszy i serca. Samuel Zborowski był niezawodnie nietylko warchołem, a Jan Zamoyski wyglądał w rzeczywistości zupełnie inaczej, aniżeli w „Zamku Krakowskim.“

Znakomity malarz charakterów męzkich, nie zna Rzewuski prawie wcale kobiet. Powtarza się w jego powieściach stale jeden typ: dziewczyny skromnej, cichej, biernej (Zosia w „Listopadzie,“ Zosia w „Adamie Śmigielskim,“ Gryzelda w „Zamku Krakowskim“).

Miłość, która jest treścią życia niewieściego, odgrywa w utworach Rzewuskiego rolę podrzędną — i dlatego braknie jego „romansom historycznym“

romansu, czyli „ciekawych“ powikłań i rozwikłań, bez których powieść, choćby najlepsza, nie może liczyć na powodzenie u przeciętnych czytelników.

Brak pierwiastku poetycznego, czyli „interesującej intrygi,“co na jedno wychodzi, sprawia, że „romanse historyczne“ Rzewuskiego są właściwie obrazami charakterystycznemi, malującemi zwyczaje i obyczaje pewnej epoki, a nie powieściami w rozumieniu pospolitem.

Chociaż autor „Listopada“ uwielbiał Walter-Scotta i znał prawdopodobnie „Pojatę“ Bernatowicza, mimo to nie chciał, czy nie umiał przyswoić sobie kompozycyi szkockiego majstra, gdyż kompozycya jest jego stroną najsłabszą. Wada ta nie mogła się przejawić w „Pamiątkach,“ tworzących szereg mniejszych sylwetek, spojonych wprawdzie z sobą, lecz tylko z woli autora, gdyż luźny układ pojedyńczych części nie wymagał łącznika. Ale już w „Listopadzie“ okazała się niezaradność Rzewuskiego wobec bogatszego materyału. Niema w tej powieści, zkądinąd znakomitej, owego ogniska, któreby skupiło rozstrzelone sceny, niema czy głównej postaci, czy wypadku, któryby był osią czynności. „Listopad“ rozpada się na dwie połowy: w pierwszej zwraca na siebie uwagę narzeczona młodszego Strawińskiego, w drugiej wysuwa się na pierwszy plan konfederacya barska.

Lecz wysokie zalety charakterystyki i scenizowania pokrywają w „Listopadzie“ kruchą budowę. Tak plastycznie i barwnie występują różne typy z czasów konającej Rzeczypospolitej, że zapomina się chętnie o szablonowym romansie i o luźnej kompozycyi.

Inaczej ma się rzecz w powieściach późniejszych. Wprawdzie przeniknął Rzewuski wszędzie istotę epoki, którą malował, ale nie odtworzył kolorytu już ani razu tak wiernie, jak w „Pamiątkach“ i w „Listopadzie.“ Ostatnich przedstawicieli niezale-

żnej Polski znał jeszcze, czy z obserwacyi osobistej, czy z żywej tradycyi, a wieki dawniejsze powinien był zbadać gruntownie, zaglądając do kronik i raptularzów. Nie uczynił tego, polegając jedynie na intuicyi artystycznej; nie radził się nawet dokładnie nauki, czego dowodem liczne błędy historyczne, popełnione w „Zamku krakowskim“ i w „Adamie Śmigielskim.“

W „Pamiątkach“ i w „Listopadzie“ nie potrzebował tworzyć, gdyż powtórzył tylko to, co albo sam własnemi widział oczami, albo też usłyszał od niedobitków czasów stanisławowskich. Bogactwo szczegółów charakterystychnych wynagrodziło wadliwość kompozycyi.

Tych szczegółów niema w „Zamku krakowskim“ i w utworach późniejszych, a budowa rozprzęga się coraz więcej, dochodząc w „Zaporożcu“ do chaotycznego bezładu.

Jak głuchym był Rzewuski na mowę serca, której zupełnie nie rozumiał, tak nie posiadał także poczucia piękna przyrody. Nie ma w jego dziełach ani jednego krajobrazu. Zajmowali go tylko ludzie.

Niepospolity dar chwytania znamiennych rysów człowieka łączył z wielką łatwością naracyjną. Opowiadał bez trudu, często dowcipnie. Nie widać w jego utworach artystycznych nigdzie „roboty.“

Przedmiotów współczesnych nie umiał sobie przyswajać, do czego się sam przyznaje. „Z wielkiem upodobaniem — mówi we wstępie do „Adama Śmigielskiego“—czytam romanse, wystawujące współczesną obyczajowość, ale ich liczby nigdy nie powiększę, bo nie umiem patrzeć na teraźniejszość, gdyż organ widzenia mojego umysłu jest takiej natury, że przedmiot, na który patrzy, powinien być nieco oddalony, żeby został odemnie schwyconym, i że jestem z rodzaju tych słabowidzących, co dla czytania zmuszeni są pismo od oczu przedzielać ja-

kąś przestrzenią, bez czego litery mieszają się, plączą, przed niemi tak, że ich rozpoznać nie umieją."

Jeżeli kto, to Rzewuski doznał bardzo szybko zmienności krytyki współczesnej, kapryśnej, jak łaska pańska. Powitany po wyjściu „Pamiątek" przeciągłym i powszechnym oklaskiem, postawiony odrazu na stanowisku pierwszorzędnem, a nawet przez niektórych (Michał Grabowski) na pierwszem, nazwany twórcą nowej szkoły („narodowej"), która miała nastąpić po pseudoklasycznej i romantycznej, rozchwytywany przez publiczność, spotkał się już po napisaniu „Listopada" z sądami, których się chyba nie spodziewał usłyszeć.

Jeszcze się „Listopad" nie ukazał w całości, bo „Tygodnik Petersburski" wydrukował zaledwo kilka wstępnych rozdziałów, kiedy się J. I. Kraszewski, niedawno gorący wielbiciel Rzewuskiego, odezwał w „Bibliotece Warszawskiej" (r. 1845) w sposób następny: „W „Tygodniku" poczęto drukować romans autora „Pamiątek Soplicy" p. t. „Listopad." Sądzić o nim z początkowych rozdziałów nie byłoby sprawiedliwie, ale to, cośmy czytali, daleko stoi nawet od Soplicy. Pełno jest sofizmatów i stylem objawia zupełną nieznajomość języka. Są tam tak dziwne słów rzędy, składnie i całe frazesy, a nawet przypadkowanie czasów, że się mimowoli człek uśmiecha, myśląc, jak też to być może, żeby talent nawet gramatyki nie nauczył, kiedy się kto sam uczyć nie chce. W innych utworach tegoż pisarza przekonać się łatwo, że talent nie uczy także historyi."

W późniejszym wieku, nawet dla prób nieudolnych, nadzwyczaj grzeczny Kraszewski umiał w młodości kąsać dotkliwie i nieprzyzwoicie, trudno bowiem nawać inaczej jego nietaktowne wystąpienie wobec drukującej się dopiero powieści.

Rzewuski miał sposobność przekonać się o prawdzie starego zdania, które twierdzi, że: kto mieczem wojuje, ten zginie od miecza. Nie oszczędzał

sam nikogo, przeto nie dawano i jemu pardonu. Wkrótce bowiem po oddaniu „Pamiątek“ na własność publiczną, wydał w Wilnie u Glüksberga (1841) książkę p. n. „Mieszaniny obyczajowe,“ które podpisał pseudonimem Jarosza Bejły. Dziełko to oburzyło na niego tysiące osób.

Pierwszy tom „Mieszanin“ zawiera piętnaście rozdziałów, z których każdy wypowiada społeczeństwu jakąś gorzką, a dość często okrutną prawdę. Samo motto, zaczerpnięte z przedmowy J I. Rousseau do „Nowej Heloizy,“ a położone przez Rzewuskiego na karcie tytułowej „Mieszanin,“ odsłania poglądy autora na stosunki kraju. *J'ai vu les moeurs de mon temps*—skarży się domniemany Jarosz Bejła za Rousseau'em — *et j'ai publié ces lettres; que n'ai-je vécu dans un siècle, ou je dusse les jeter au feu.*

Rzewuski czuł, na co się naraża, gdyż w rozdziale wstępnym, który wygłasza w formie dyalogu zapatrywania autora na zadanie pisarza, włożył w usta swego sobowtóra, zwanego „Angelem,“ słowa następujące: „Autor nie jest ani służalcem, ani niewolnikiem społeczeństwa, by nikczemnem pochlebstwem wpraszał się do łaskawych względów swoich czytelników. On jest urzędnikiem publicznym, on winien dopełnić swojego powołania, nie mając baczenia, jak mówi Statut: na wysokie i podłe stany, na dostojnościach siedzących, na bogatego, na ubogiego, na przyjaciela tutejszego albo gościa; nie z przyjaźni, nie z waśni, nie z bojaźni, nie za posady i dary, ani się bojąc kaźni, pomsty i pogróżek, nie czekając wynagrodzenia, ale samego Boga i Jego świętą sprawiedliwość pobożnie sprawując.“

Rozumiał Rzuwuski nadto dobrze posłannictwo pisarza, zapomniał tylko, że są społeczeństwa, które nie znoszą prawdy i oskarżeń, a do takich należą przedewszystkiem upadające.

Nie licząc się z gustami chwili obecnej, napadł bez miłosierdzia na t. zw. bałagółów, na owych de-

mokratów w kożuszku, wałęsających się po jarmarkach, mieszających się rozmyślnie z tłumem. „Baragoła hasa, podług Bejły, na szkapie, bo niema za co nabyć porządnego konia, chodzi w chałaciku, bo trzeba fraczynę oszczędzić, beczy wszeteczne i obraźliwe piosenki pod oknami możniejszych obywatelów, ażeby ci odczepnego jaki obiadek zafundowali, lub pożyczyli jaką dukacinę na wieczne nieoddanie. Bo coś biedak musi robić; pójść w służbę publiczną, jeśli cywilną, mało zdatny, a krnąbrny, nie zagrzeje kąta; jeśli w wojskową, ostrość karności z tej go odstrasza. W służbę zaś do jakiego panka lub półpanka wstyda się."

Nic dziwnego, że się powyższa charakterystyka nie mogła podobać młodzieży ukraińskiej, wołyńskiej i podolskiej, bawiącej się na jarmarkach berdyczowskich w społeczników *sui generis.* Arystokratyczny autor odmówił im nietylko zdrowych zasad, talentu i nauki, ale nawet lepszego wychowania. Radził im, aby zamiast puszczać w świat „wszeteczno-nudne piśmidła," wrócili do szkoły i pracowali nad sobą.

Nie lepiej przedstawiło się Rzewuskiemu ziemiaństwo, które poznał w czasie, kiedy urzędował jako marszałek. Kandydatów do różnych dygnitarstw powiatowych odmalował w rozdziale p. n. „Wybory" w kolorach jak najczarniejszych. Sami to karyerowicze i głupcy.

Płytkość i pretensyonalność młodych literatów ośmieszył w „Powieści dramatycznej" p. n. „Oryginały."

W artykule p. n. „Obmowy" uderzył wprost na całe społeczeństwo, zarzucając mu brak wyrobionej opinii publicznej. „Prawdą jest, że nigdzie człowiek prawdziwej wartości nie może sobie pochlebiać, aby mógł wszystkich dla siebie zhołdować, innych z zawiści, innych w końcu przez wstręt wrodzony, który ludzie źli czują do wszystkiego, co jest go-

dnem, światłem, dostojnem — ale większość zawsze zdrowo sądzi o ludziach, i pomimo indywidualnych pocisków, mąż znakomity zawsze jakieś sowite wynagrodzenia otrzyma. A u nas? „Obrani z sądu powszechnego o ludziach i o rzeczach, utraciliśmy najgłówniejszy warunek życia społecznego. Wyniesienie na urząd obywatelski nie jest w Polsce nawet dowodem szacunku publicznego, bo ledwo urzędnik wybrany rozpocznie swój zawód, a już na jego sławę miotają pociski ci sami, co za nim głosowali. A to wszystko ztąd wypływa, że nie opinia, ale traf ślepy i dziwaczny jest główną sprężyną naszych obrad."

Szanował kraj szkołę krzemieniecką, z której wyszedł zastęp ludzi pożytecznych. Rzewuski był w „Mieszaninach" („Obmowy") odmiennego zdania. „Bo kogóż wydał ów slawiony zakład?—pytał. Kogóż znajdziesz z szkoły krzemienieckiej, coby znał język łaciński, prawo, ekonomię polityczną, filozofię historyi, jakąkolwiek naukę moralną? Każdy z nich umie trzy pierwsze lekcye każdej nauki i szermować językiem. A jeżeli do tego nabierze wprawy do wynajdywania końcówek, w opisaniu bladego księżyca, powiewów wiatrów, pomroków i szkarłatów, zalegających lica panien, podających mu swoje sztambuchy, już ma siebie za wielkiego człowieka. Oświata obywateli, mieszkających po wsiach, pozostaje w stanie najnędzniejszym. Nie ma to znaczyć, aby nic nie umieli, ale posiadają właśnie tyle wiadomości, aby utworzyć społeczeństwo najzarozumialsze i najniedorzeczniejsze, jakie tylko być może."

„Uchodzimy za naród hojny i rozrzutny, a tymczasem jesteśmy chciwsi od najchciwszych („Mammona"), bo wiadomo, że marnotrawcy są daleko łakomsi od oszczędnych. U nas jest cześć Mammony, jakby wiarą powszechną. Już Fryderyk Pruski powiedział, że: nie ma podłości, którejby się Polak nie

dopuścił dla garści złota, co ją natychmiast po otrzymaniu za okno wyrzucić gotów."

Rzewuski nie zawahał się powtórzyć tej bolesnej obelgi, wywołanej ohydnem postępowaniem wielu rodzin w ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej.

Cokolwiek działo się współcześnie, nie zdawało się autorowi „Mieszanin" godnem uznania. Niegdyś bywało wszystko inaczej i lepiej. „W dawnym składzie naszego towarzystwa prawie każdy sarmata posiadał język łaciński, teologię moralną, prawo krajowe i historyę domową rodzin swojej prowincyi. Te żywioły dodatnie, wypiastowane w religii, praktycznie dopełnianej, dawały mu niewypowiedzianą skromność w obyczajach i łagodność w obcowaniu. Przy tej skromności, głównem wyrażeniu dusz pięknych, mając samopoznanie własnej godności, umieli ją uszanować u bliźnich. Ciągle się procesując, pijąc do upadłego na swych ucztach, w tak burzliwym stanie umysłu, nigdy się nie omijali z tą nałogową grzecznością, która jest najwyższą oznaką ukształcenia („Obmowy").

Tylko w szczątkach pozostałych familij historycznych („Szlachectwo") zachowują się dotąd i przyzwoitość w obcowaniu i podania towarzystw ukształconych; „Tam jeszcze znajdziesz pobożność, zdrowe wyobrażenia o powinnościach małżonka, ojca, obywatela, jakąś przyzwoitość w powierzchowności i w mowie, jakieś umiarkowanie w postępkach, nawet moralną roztropność w kierowaniu majątkiem i w wydatkach, a nadewszystko prawdziwe przywiązanie do kraju. Bo wszystko opiera się na podaniach familijnych."

Ale tych drogich zabytków czasów minionych coraz mniej, bo „ludzie, wprawdzie w pięknych domach mieszkający; ale którzy częstokroć dziada sweco ukazać nie mogą, obcy krwią naszym obyczajom, które im przypominają nikczemność ich początków,

radziby nasze pamiątki, nasze wyobrażenia, nasze nazwiska zagrzebać w zapomnieniu.“

W ten sposób przemówił Rzewuski do społeczeństwa, które powitało jego „Pamiątki“ szczerym i powszechnym oklaskiem. Był to policzek, tem dotkliwszy, że wymierzony ręką, która umiała uderzyć boleśnie.

Na razie zdziwiono się tylko. Bo czyż możliwe, aby jeden i ten sam autor wygłaszał sądy tak pozornie odmienne? Wszakżeż Imci pan Seweryn Soplica, chociaż nie wybiegał myślą po za szczupłe granice interesów radziwiłłowskich i własnych, wierzył przecież w dzielność swoich towarzyszów, nie wątpił o przyszołści kraju, unosił się nad cnotami nawet takich jegomościów, w których się historya niczego dodatniego dopatrzeć nie mogła, a Jarosz Bejła nie widział naokoło siebie nic, okrom głupoty, nikczemności i samolubstwa.

Chełpicie się, że posiadacie bogatą literaturę — prawił jeszcze Bejła—a ja wam powiadam, że „każda wielka i obfita literatura, raptownie zjawiona, jest cyprysem, zdobiącym grobowiec albo samego narodu, albo przynajmniej formy politycznej, która temu narodowi żywotność poetyczną zabezpieczała. Im więcej ciało polityczne będzie trupem, tem silniej literatura wzmagać się będzie, aż doszedłszy do pewnego kresu, nagle umilknie. Dopiero język, który w niej przemówił, skrystalizuje się w formie statecznej i stanie obok tylu innych, zasłużonych, lecz martwych.“

Być może, że „Rosya, najpotężniejszy naród słowiański, czuje się upokorzoną, spoglądając na literaturę ościenną,“ ale „właśnie pysznićby się powinna ze swojego niedostatku, bo rozrabia zanadto poezyę w swoim bycie, by ją miała oderwaną od siebie. Rozproszenie obłąkanego motłochu jednem spojrzeniem najwyższego władcy, dobycie dziewiczego Erywanu, obóz ruski, rozłożony u nóg tej góry,

zkąd po potopie Noe pierwsze przymierze zaprzysiągł z Panem natury, poddanie się szczątków Warny, przejście nieprzebytego Bałkanu, wspaniałomyślne przebaczenie naślednikowi Kabylów, dane mu u bramy przelękłej stolicy—oto są epizody wielkiej epopei panowania Najjaśniejszego Monarchy, a te epizody dzielnie przeniosą się na papier w odległej przyszłości, wtedy, kiedy naród utraci zdolność odnowienia ich w rzeczywistości.“

Gdy przeniknięto treść śmiałych, miejscami niesprawiedliwych oskarżeń Bejły, powstała w świecie literackim taka wrzawa, jakiej w Polsce dawno nie pamiętano. Oburzyły się przeciw autorowi prowincye zachodnio-południowe, podniosła się przeciwko niemu prawie cała szlachta wołyńska, podolska i ukraińska, obrażona tem, że zarzucał ludziom nowym „zabezpieczenie sobie starożytnego szlachectwa kłamliwemi dokumentami,“ nie godziła się na jego poglądy młodzież. Wychowańcy szkoły krzemienieckiej usiłowali Bejle dowieść, że zakład Czackiego wydał cały szereg mężów zasłużonych. W polemice, która powstała później z tego powodu (1845 — 49), brali udział: Gustaw hrabia Olizar, Karol Kaczkowski, J. I. Kraszewski i wielu innych. Gustaw hr. Olizar dał „Mieszaninom“ dowcipną odprawę w „Pomieszaniu Jarosza Bejły,“ a Tytus Szczeniowski nie oszczędzał Rzewuskiego w „Bigosie hultajskim.“ Feliks Zieliński odmówił Bejle w „Bibliotece Warszawskiej“ (1842) wykształcenia systematycznego, „odrodzenia naukowego,“ jak się wyraził, a inni („Przegląd Naukowy,“ 1843) oświadczyli, że nie warto się nawet takiemi elukubracyami poważnie zajmować.

Kto nie umiał piórem władać, starał się szkodzić autorowi językiem. Opowiadano sobie różne anegdotki o Bejle, oczerniano go, spotwarzano. Krążyły od dworu do dworu, od wsi do wsi różne obelżywe anegdotki, odnoszące się do prywatnego życia śmiałego pisarza, który nie miał względu ani na

„wysokie i podłe stany i na dostojnościach siedzących, ani na ubogich i bogatych krewnych i zachowałych."

Oprócz wprost dotkniętych, lub osobiście autorowi niechętnych, zwróciła się przeciwko niemu garstka młodzieży, która dostrzegła w „Mieszaninach" liczne ślady tego, co nazywała „wstecznictwem." Rzewuski nie postawił wprawdzie w pierwszym tonie żadnego programatu, ale rozrzucił w różnych artykułach mnóstwo uwag, które odsłoniły jego przekonania szlacheckie i katolickie.

Mówiąc np. o „baragołach," nie zawahał się twierdzić, że nawet zewnętrzny wygląd człowieka zależy od jego urodzenia, że „rysy twarzy, nadobne lub odrażające, bynajmniej nie są utworem arbitralnym lub przypadkowym przyrody." Nie dziwił się, że potomkowie rodów historycznych są przystojniejsi od „potomków szachrajów prawnych, dworskich, ekonomicznych, a szczególniej zaimprowizowanych dziedziców podejrzanego szlachectwa;" bo „piękność, pomimo wielu wyłączności, w powszechności swojej, odnosić się musi do stanu intelektualnego indywiduów (bargolstwo). Mniemał, że każde dobre nazwisko szlacheckie zasługuje na jakieś uważanie, bo początek dała mu dzielność znakomitego męża, i że „nic rzetelniejszego nad to, co się często powtarza w potocznej mowie: *dobrze urodzony, źle urodzony.* Są zapewne w tym względzie pewne wyłączności, ale wyłączność nie niszczy prawidła ogólnego, owszem, udowadnia je. Jednem słowem — kończy — co tylko jest w narodzie najgodniejszem, jest zawsze przedstawionem żywotnie przez tych, co noszą najpiękniejsze tego narodu nazwiska" (Szlachectwo).

W artykule p. n. „Wolne myślenie w religii" wystąpił przeciw dowolnemu tłómaczeniu zasad i wiary i przeciw niezależności nauki. Bo umiejętności wszelkie od Boga pochodzą i „nic rzetelniejszego nad to, co powiedział Bakon, że religia jest aroma-

tem, chroniącym wiedzę od zgnilizny. Kto się unosił nad odłączeniem nauki od religii, nad tem, jak to mówiono w zeszłym wieku, sekularyzowaniem nauki, nie widział w swojem zaślepienieniu, że jej zadawano cios śmiertelny, i że gdyby nie jakaś reakcya Chrystyanizmu w czasie więcej do nas zbliżonym, a która codziennie zyskuje w przestrzeni, te nauki, z których się tak pysznimy, już w tym ruchu wstecznym, co go im nadał wiek XVIII-ty, byłyby może znikły, tak jak te, które kwitnęły niegdyś w Bagdadzie i Kordubie, chociaż myślano, że są nieśmiertelne."

Wbrew twierdzeniu Rzewuskiego, domagała się młodzież właśnie rozdzielenia nauki od wiary i zwrócenia baczniejszej uwagi na „stany podłe," na „ciemny motłoch," nie posiadający ani nazwisk pięknych, ani tradycyj rodzinnych. Filozofia Hegla i demokracya Europy zachodniej nie przeszły u nas bez śladu. Nowe doktryny przyjęły się oczywiście nasamprzód między młodzieżą, która lubiła po wszystkie czasy reformy i nieznosiła nigdy „powag." Ale postępowcy nieliczni i niezasobni jeszcze w środki, występowali publicznie dość skromnie i nieśmiało. Tu i owdzie odezwał się ktoś z sądem ostrzejszym, lub wydrwił „wstecznika" satyrycznym wierszykiem.

Nie brakło autorowi „Mieszanin" i gorących zwolenników. Należał do nich głównie Michał Grabowski, stały przyjaciel Rzewuskiego. Poznał on w Bejle „człowieka z geniuszem, nauką, rozumem, silną i oświeconą wiarą, z gorliwością istotną o do- o ziomków, ale śmiałą, nie oszczędną, prawie na- ętną."

...ielbiciele Rzewuskiego, do których, oprócz ...ego, należeli z początku: Hołowiński i J. I. ... rozgościli się po roku 1841 w „Tygo- ...rsburskim" Przecławskiego i utworzyli ... zachowawcze. Zasady głównych współ- ...w „Tygodnika" wyznawali, oprócz wy-

mienionych autorów: Ludwik Sztyrmer, ks. Stanisław Chołoniewski i ks. Placyd Jankowski. Całe to grono wypisało na sztandarze swoim hasła katolickie i szlacheckie.

Wrzawa, którą wywołał pierwszy tom „Mieszanin,“ nie powstrzymała Rzewuskiego od ogłoszenia drugiego tomu tej samej mniej więcej treści.

Druga część „Mieszanin Obyczajowych“ Jarosza Bejly, wydana w r. 1843 (Wilno, u Glücksberga), składa się z dziesięciu rozdziałów, w których autor nie dodał do dawniejszych piętnastu nic nowego, uzasadniając tylko obszerniej to, co przed dwoma laty wypowiedział. W pierwszym tomie zadowolił się w sprawach stronnictwa uwagami luźnemi, w drugim przyznał się wyraźnie i stanowczo do przekonań religijnych i szlacheckich.

Niechęć swoją do t. zw. nauki niezależnej zawarł Rzewuski już we wstępie, który poświęcił odpowiedzi na krytykę, umieszczoną w „Bibliotece Warszawskiej“ z powodu pierwszego tomu „Mieszanin.“ Szermierz, podpisany inicyałami *F. Z.*, zarzucił Bejle, że „nie odrodził się w nauce.“

Odrodzić się w nauce? pyta Rzewuski. Cóż to jest za dziwo? Jeśli to ma oznaczać, że nie umiem dosyć, abym mógł udzielać publiczności swoich uwag, nie mam nic przeciw temu; lecz jeśli „odrodzenie przez naukę ma znaczyć, że tylko nauka daje prawo do przemawiania, to niechże się p. F. Z. odemnie dowie, że „choć cenię ludzi uczonych, w nauce ludzkiej, samej w sobie, niewielką ufność pokładam.“

Człowiek—mówił Rzewuski dalej—odradza się przez chrzest w Chrystusie, bo umiera dla świata, bo będzie odtąd wielbił to, co dotąd potępiał, a potępiał, co dotąd wielbił. Jest to istne odrodzenie, a nie wydoskonalenie, bo odmienia całe jestestwo jednostki. Odrodził się naród rzymski przez chrześciaństwo, bo wszystkie swoje nałogi odmienił i sumienie jego zupełnie innym językiem przemówiło. Zemsta, dawniej

cnota, została występkiem, przebaczenie uraz przymiotem wielkim, obowiązkiem przykazanym. Rozkosze cielesne, dotąd jeżeli nie chwalone, to przynajmniej uważane za rzecz obojętną, zostały wywołane jako zguba rodu ludzkiego. Ubóstwo, dotąd wzgardzone, nagle podniesione do zaszczytów cnoty. Igrzyska gladyatorskie, dotąd uważane za szlachetną zabawkę—potępione.

Religia odradza człowieka, lecz czyż dokonywa tego jakakolwiek nauka? Że się wykryła jakaś nowa metoda naukowa, że się objawił jakiś wprzódy nieznany systemat filozoficzny, że się jakieś myśli naukowe albo rozszerzyły, albo zboczyły—ma-ż to być odrodzeniem? Ludzkość tym sposobem ciągleby się odradzała.

Niewłaściwość wyrazów — mniema Rzewuski— jest zawsze dowodem jakiegoś skażenia w myśli; kogo nikt nie rozumie, ten też sam siebie nie rozumie. „Ztąd nic jaśniejszego nad język religii, nic zaś ciemniejszego nad język filozofii, odłączonej od religii.“ Żadna świecka nauka, wydobyta z obszarów intelektualności ludzkiej, odrodzić człowieka nie może, bo nie jest zdolną owładnąć całkowitością jego jestestwa, a wydoskonala tylko ten żywioł umysłowy, z którym zostaje w przyrodzonem powinowactwie. Każdy człowiek obowiązany mieć religię, bo tem samem, że jest obowiązany do jakichś postępków, musi mieć przewodnika, który doprowadzi go nieomylnie do spełnienia tychże postępków.

Tym przewodnikiem może być tylko religia. „Chcieć, aby nauka, dla małej tylko liczby ludzi dostępna, kierowała przeznaczeniem całego rodu ludzkiego, cóż jest innego, jako *absurdum*?“

Gdyby nauka — zauważa Rzewuski — zamiast, czem jest wistocie, ozdobą życia społecznego, mogła zostać jego podstawą, zawsze zostałoby ważne pytanie do rozwiązania: jaka mianowicie nauka? Śniadecki chciał, aby matematyka kierowała człowiekiem,

niektórzy filozofowie znowu odrzucają matematykę, twierdząc, iż ona wysusza serce, inni wyłączne oświecenie człowieka oddają naukom przyrodzonym, jeszcze inni literaturze pięknej. Każdy ceni najwyżej naukę, którą przyrodzoną dążnością swoją najlepiej zgłębił, a tymczasem śmieje się społeczeństwo z tych próżności uczonych i postępuje bez samopoznania swojej dążności, o które nawet mało się troszczy, do celu, co mu go przeznaczył Ten, o którym wyrzekł prawdziwy mędrzec: *et tradidit mundum disputationibus eorum.*

Religia jedna kieruje społeczeństwem—powtarza Rzewuski — bo ona jedna do tego posiada wszelkie warunki, bo chociaż rzeczy, ktore nam objawia, częstokroć przechodzą nasze pojęcia, sposób, w jakim je ojbawia, bez względu na zdolności umysłowe tego lub owego jej wyznawcy, robią je dla każdego dostępnemi. Prawo, wszystkich obowiązujące, musi być przez każdego dostatecznie pojęte, a im więcej jest pojęte, tem jest skuteczniejsze. „W filozofii przeciwnie się dzieje, najwięksi jej mistrzowie częstokroć jak namjniej są zrozumiani przez swoich adeptów i ledwo książkę wydadzą, natychmiast mnożą się książki, żeby myśl tego niby pierwotworu wytłómaczyć. Prawdy naukowe nie są bezwględne; każda nauka ma pewną sumę prawd warunkowych, jakoby ogniwa wielkiego łańcucha. Uczeni mogą powiększać ich ilość i rzeczywiście je zwiększają, ale prawda naukowa nie może być przeniesiona po za właściwe jej obręby; bo zasada, która w jednej nauce jest niezaprzeczoną prawdą, przeniesiona do innego szeregu wyobrażeń, czyli poprostu do innej nauki, może być falszem. Nawet w tejże samej nauce, nowy postęp, a nawet zapatrywanie się z jakiegoś nowego stanowiska, wprzódy niespostrzeżonego, może prawdę dotąd niezaprzeczoną zniżyć, lub nawet zupełnie usunąć, okazując jej niewłaściwość. Bo każda nauka, będąc objawieniem, ale wypracowaniem, żadnej

prawdy niezależnej okazać nie może. *Absolutum* filozoficzne jest to mniej lub więcej logicznie rozwinięte *absurdum.*"

Mimo tak wyraźnego zaprzeczenia pierwszorzędnego stanowiska nauki, nie odmawiał jej Rzewuski wielkiego znaczenia. Nazwał fiilozofię „nauką wielką, pożyteczną, niezbędną dla rodu ludzkiego," ale odmówił jej tego wpływu, jaki jej przypisuje po wszystkie czasy młodzież, formująca stronnictwa postępowe.

Poglądy swoje na ustrój społeczny wypowiedział Rzewuski w artykule p. n. „Arystokracya." Twierdził, że państwo, jakiekolwiekby ono było, nie może istnieć bez władzy porządkującej i rozkazującej, a „udzielność demokratyczna byłaby takiej natury, ze wszyscyby w niej rozkazywali, a niktby nie był do posłuszeństwa obowiązany, albo wszyscyby rozkazywali, a znowu wszyscy spełniali ten rozkaz." Nie ma zaś potrzeby zbijania podobnej niedorzeczności, kiedy „intuicya przekonywa nas przed wszelkiem rozumowaniem, że przy równości powszechnej posłuszeństwa być nie może, że rozkazujący musi być koniecznie wyższym od tego, któremu daje rozkazy. Wszakże mądrość narodów już wyrzekła ten niezbity pewnik: *par super parem non habet potestatem.*"

Każdy więc rząd — wierzy Rzewuski — jakabykolwiek była jego natura, nie może być inny, tylko arystokratyczny. „Demokracya zaś, nie mogąc być udzielnością, tylko przypuszczeniem, nie mogąc być rządem, nawet przypuszczeniem — czemże będzie w odnoszeniu politycznem? Oto *absurdum* i nic więcej."

Nie mogło się podobać licznym zawsze w Polsce wyznawcom demokracyi w teoryi, gdy im Rzewuski powiedział, że „pole argumentacyjne nie jest dla nich właściwe, a... dom poprawy jedyną odpowiedzią, na jaką zasługują, tem więcej, że w ich

wyobrażeniach, oprócz samolubstwa, nic upatrzeć nie można."

Robił więc Rzewuski wszystko, aby się pozbyć popularności, którą mu „Pamiątki" w kraju zjednały. Skutków tej niezręczności doznał niebawem.

Drugi tom „Mieszanin" przyjęto w prowincyach południowo-zachodnich milczeniem, gdyż replika Gustawa hr. Olizara p. n. „Recydywa Jarosza Bejły" nie zasługuje na trwalszą pamięć. Za to wystąpił w Królestwie „Przegląd naukowy" pospołu z „Biblioteką Warszawską" dość ostro przeciw Rzewuskiemu. Pierwszy nazwał zasady, wygłoszone przez Bejłę, „zgniłemi i wstecznemi," w drugiej posłużył się Feliks Zieliński zwykłym w polemikach między postępowcami a zachowawcami argumentem, bo zarzucił jego poglądom brak podstawy naukowej.

Skutki swojej śmiałości odczuł Rzewuski zaraz po wydrukowaniu „Listopada." Pominąwszy wyżej zacytowane odezwanie się J. I. Kraszewskiego, usiłowano zohydzić autora tej wybornej powieści przed jego własnem stronnictwem. Kraszewski, daleki zawsze ortodoksyą od Rzewuskiego, wystosował list do ks. Stanisława Choloniewskiego, w którym zwrócił uwagę gorliwego kapłana na niedostateczną pobożność generała Kunickiego. Że artysta-pisarz wpadł na taki pomysł, nie przynosi mu wcale zaszczytu, gdyż jeżeli kto, to powinien był chyba Kraszewski znać różnicę między zadaniem belletrysty a teologa. Było rzeczą autora „Listopada" odtworzyć typy z XVIII-go stulecia w tej formie, w jakiej je tradycya potomnym przekazała. Gdyby był pobożność zewnętrzną naszych przodków wypełnił głębszą treścią, naraziłby się na słuszny zarzut nieprawdopodobieństwa. Trudno przypuścić, aby Kraszewski nie wiedział o tej elementarnej regule techniki powieściopisarskiej, a jednak nie zawahał się ugodzić podstępnie niemiłego przeciwnika.

Ks. Choloniewski wpadł rzeczywiście w pulap-

kę. W odpowiedzi, danej Kraszewskiemu, nazwał pobożność generała „nabożeństwem babki kruchcianej“ i oświadczył, że „ciężką wyrządza krzywdę religii Chrystusuwej, kto nie dozwala rozumowi przystępu do świątyni pańskiej.“ Potępienie, rzucone przez szanowanego w kraju kapłana na naczelnika stronnictwa zachowawczo-katolickiego, nie mogło przejść bez wrażenia.

Ktoś inny byłby się przeraził, byłby się tłómaczył, ale Rzewuski nie należał do ludzi bojaźliwego usposobienia. Obdarzony niepospolitą odwagą cywilną, mówiący zawsze to, w co wierzył, postąpił sobie najwłaściwiej, bo w polemice, którą Eleonora Ziemięcka pomieściła w „Pielgrzymie“ (1846 r.), odmówił ks. Chołoniewskiemu prawa przemawiania w sprawach artystycznych, nie mających nic wspólnego z teologią.

Śmielej i bezwzględniej zaczęli teraz występować młodzi postępowcy, zgrupowani dokoła „Gwiazdy.“ Antoni Sowa Żeligowski, Zenon Fisz, Antoni Marcinkowski (Albert Gryf), starszy od nich Jakób Jurkiewicz (Benedykt Dołęga), Karol Kaczkowski i Józef Percell utworzyli stronnictwo, które miało walczyć przeciw zachowawcom w imię niezależnej nauki i zasad demokratycznych. Najzdolniejszy z pomiędzy nich Albert Gryf, wygłosił już w pierwszych numerach „Gwiazdy“ hymn pochwalny na cześć filozofii, swobodnego rozumowania, Trentowskiego i ludu. Ten sam Gryf wojował przez pewien czas bardzo zręcznie z naczelnikami obozu konserwatywnego, zajmując się oczywiście tylko Rzewuskim, którego dzieła „pobudzały go zawsze najwięcej do myślenia.“

Z takim zapałem i ogniem stanęli gwiaździarze do boju, iż zdawało się, że pokonają wkrótce „Tygodnik petersburski.“ Tymczasem złożyli ich dowódcy broń ku ogólnemu zdziwieniu. Albert Gryf, przezwawszy się Antonim Nowosielskim, „nawrócił

się“ w kilka lat potem, wykazawszy nicość, a nawet szkodliwość nauki niezależnej. To samo uczynił Zenon Fisz i inni. Jedyny Jurkiewicz nie sprzeniewierzył się hasłom „Gwiazdy,“ ale jego skromny głos ważył tak mało, rozbrzmiewał tak niedaleko, że nie mógł podtrzymać sprawy, w którą zdolniejsi od niego już wierzyć przestali.

„Opozycya — mówi Piotr Chmielowski, którego nikt nie posądzi o sympatye dla zachowawców — zamanifestowawszy swoje *veto* na przekonania kółka konserwatystów, nie miała dosyć spójności ani wśród członków swoich, ani nawet w każdym z nich oddzielnie. Postępowcy pragnęli ulepszeń we wszystkich stosunkach społecznych, ale nie umieli sformułować swych żądań w całości, a co więcej, w niektórych punktach byli chwiejni i widocznie przebywali jeszcze okres walk wewnętrznych z samymi sobą. Filozofia Trentowskiego, którą z początku powitali chórem uwielbienia, powoli ulegała krytyce niektórych samoistniejszych umysłów, i nie mogła naturalnie zgromadzić pod swoim sztandarem rozproszonych po labiryntach umysłowych braci. Religia chrześciańska, w której się wszyscy wychowali, stanowiła zawsze tło ich myśli, ale pod rozmaitemi kształtami się im przedstawiała. Jedni, trwając przy dogmatach i praktyce, chcieli tylko ostro występować przeciwko hierarchii duchownej i potępiać jej nadużycia, drudzy, praktyki religijne za zbyt rutyniczne poczytując, pragnęli wielbić Boga „w duchu i prawdzie“, inni nareszcie nie życzyli sobie walki w kwestyach religijnych wogóle, lecz dążyli do zastosowania ideału chrześciańskiego w życiu. Gdy do pierwotnych wpływów wychowania przyłączyło się następnie, po lutowej rewolucyi paryzkiej, działanie reakcyi, umysły najgwałtowniejsze przed kilku laty, które nagłośniej w imię filozofii bezpośredniej występowały, naprzód zakazały sobie przemawiać publicznie, a potem z zu-

pełnie przeciwnemi dały się słyszeć przekonaniami" („Nasi Powieściopisarze", rozdział o Rzewuskim).

„Opozycya—kończy Chmielowski—nie wytrzymała próby czasu, nie miała więc widocznie silnego gruntu w swojem społeczeństwie, i pod parciem wpływów otoczenia musiała uledz, spaliwszy kilka świetnych fajerwerków myślowych."

Między postępowcami owego czasu nie było ani jednego pisarza, któryby mógł stanąć obok Rzewuskiego i zmierzyć się z nim skutecznie. „Nieuk", któremu odmawiano prawa do przemawiania w sprawach nauki, widział przecież i wiedział więcej, aniżeli wszyscy Gwiaździarze, wzięci razem, a „fuszer", nie umiejący przypadkować, zostawił po sobie kilka dzieł, które starczą za sto powieści Kraszewskiego. Pogodził się w końcu i Kraszewski z „Tygodnikiem Petersburskim", gdy się przekonał, że wdał się w walkę niebezpieczną. „Koterya Tygodnikowa", jak Chmielowski nazywa stronnictwo zachowawcze, ostała się na polu walki i wchłonęła w siebie wszystkie żywioły oporne.

Niechętni pomawiali Rzewuskiego, że „zasady, które stanowią osnowę jego powieści, nie są jego zasadami, lecz że posługuje się niemi jedynie w celach artystycznych." Insynuacyę tę odparł autor „Listopada" w liście do Michała Grabowskiego, umieszczonym na wstępie „Wędrówek umysłowych" (1851 r.).

Krytycy, przyznający moim utworom wiele zalet—odpowiada Rzewuski,—powinni wiedzieć, że dobroć utworu zostaje w ścisłym stosunku z wiarą, jaką twórca w dzieło swoje włożył. „Gdyż, jak człowiek, nie mający wiary w cokolwiekbądź, nie może odznaczyć swego pióra niczem znamienitem, tak też prawdziwa piękność jego pism musi koniecznie odnosić się do stopnia, na jakim stanęła jego wiara w to, o czem drugich usiłuje przekonać. Sztuka, która jest tylko sztuką, siły twórczej nie posiada.

I największy kunsztmistrz, pędzla naprzykład, jeśli jest ateuszem, nigdy nie żdoła na płótnie wystawić obrazu religijnego, jak wielki jaki mistrz szkoły włoskiej, który szczerze w to wierzył, co pragnął wystawić. Bo kunszt o tyle jest żywotnym, o ile jest środkiem do uprzedmiotowania przekonań tego, który go używa. Inaczej go pojąć nie umiem, gdyż wszystkie inne jego warunki są drugorzędne, poddanie zaś jego pod prawidła naukowe, bynajmniej nie zastąpi tego źródła życiodawczego."

Tylko zła wola, lub znana w Polsce mania różnych domniemywań, mogła posądzać Rzewuskiego o obłudę. W jakimże bowiem celu miałby kłamać? Niezależny majątkowo, nie potrzebował pracować dla chleba, naginając się do cudzych zapatrywań; dumny nad miarę, despotyczny, drwił sobie z popularności, którą mógł tańszym nabyć kosztem. Wystarczało pisać sylwetki w rodzaju „Pamiątek", lub powieści, jak „Listopad", aby go wielbiono i kochano. Uznany zaraz po pierwszym występie autorskim, stawiony przez życzliwych i nieżyczliwych w rzędzie talentów pierwszorzędnych, byłby poszedł niezawodnie drogą, którą mu głos powszechny wskazał, gdyby był tworzył jedynie dla sławy.

A przecież nie szczędzono Rzewuskiemu tego nieszlachetnego zarzutu kilkakrotnie, gdyż wracał do niego często z goryczą. W przedmowie, wystosowanej do Leona Trypolskiego na wstępie „Teofrasta Polskiego (1851 r.), powtarza: „To, co kiedykolwiek napisałem, temu wierzę, a z moich wierzeń nigdy kikomu i niczemu najmniejszego ustępstwa nie zrobiłem. Wylałem siebie całkowicie w moich pismach, i własnej natury nie pokryłem nigdy sztuką. Kto się odważa stanąć przed publicznością z pismem w ręku, powinien wiedzieć, że powołanie pisarza jest zanadto dostojne, żeby się plamiło bezsumiennością, dla nabycia chwilowej wziętości. Nie ubiegałem się nigdy za popularnością, bo nie mogłem takiego gwał-

u zadać mojej naturze, żeby... aż szacować tych, co ją u nas rozdają. Od lat kilkunastu widzę tyle płaskości, uwieńczonych najdziwaczniejszym entuzyazmem naszej publiczności, że, prawdziwie, gdyby mnie zaczęto chwalić, może czułbym siebie upokorzonym, i bezwątpienia straciłbym odwagę wziąć pióro do ręki, bo między chwalącym a chwalonym musi być jakaś styczność umysłowa."

Trudno mówić wyraźniej. Cała buta karmazyna, gardzącego uznaniem motłochu, „trzody", jak Rzewuski zwykł był nazywać „szarą mierność", odezwała się w słowach powyższych. Taki człowiek nie mógł „zadawać gwałtu swojej naturze", choćby dlatego, że nie chciał, że „nie lubił chodzić po bitym gościńcu, a tem mniej zbierać kreski dla opinij, które z przekonania poślubił."

Rzewuski nie posiadał zdawkowej skromności miernot, które pokrywają swoją nicość udaną pokorą. Pisał o sobie: geniuszem nie jestem, ale i tuzinkowym autorem nie byłem nigdy. *Nur die Lumpen sind bescheiden* — wołał kiedyś Goethe, a Alfred de Musset miał tyle „arogancyi", że twierdził: *Mon verre n'est pas grand, mais je bois dans mon verre.*

W co Rzewuski wierzył, czego pragnął, dokąd dążył? Odpowiedź na te pytania nie zajmie wiele miejsca. Był on najzdolniejszym przedstawicielem reakcyi, która wykwitła z przechwałek encyklopedystów i z gwałtów rewolucyi francuskiej; był zachowawcą w rodzaju de Maistre'a i Bonalda, przeszczepionym na grunt polski. Co zachód dawniej przetrawił, podążając dalej, to przyjęło się nad Wisłą dopiero po r. 1840, panowało do r. 1850, a dogorywało aż do r. 1860 mniej więcej. Rzewuski nie błysnął, jak meteor, lecz wyszedł z chwili dziejowej, z potrzeb swojej epoki, i dlatego wracać musi zawsze do niego każdy, kto chce odtworzyć ducha, który wiał nad Polską między r. 1850 a 1860.

Jak reakcyoniści zachodu pierwszej połowy bieżącego stulecia, lekceważył i Rzewuski przedewszystkiem rozum ludzki. Nie rozum, lecz objawienie uważał za źródło wiedzy. Albowiem Bóg, tworząc świat — twierdzi w „Głosie na puszczy“ — stworzył nietylko pewną sumę materyi, ale także pewną sumę intelektualności, która nie może się powiększać w czasie, jak i materya nie rośnie, lecz zostaje zawsze w tych samych rozmiarach.

Prawda istnieje od wieków. Dał ją Bóg człowiekowi razem z materyą. Rzeczą i zadaniem nauki odszukać tę prawdę, wcieloną w prawa natury, zrozumieć ją i pokazać. Przeto mylą się, którzy mniemają, że nauka tworzy. Ona nie tworzy nic, jeno poznaje to, co istnieje, wymyślając jedynie określenie, nazwisko.

Każda nauka jest objawieniem i ma tylko wtedy wartość rzeczywistą, gdy z tego źródła płynie; gdyby bowiem nie pochodziła od Boga, nie dawałaby rękojmi prawdy. Wszakże widzimy ciągle powstające twierdzenia filozoficzne, wyznawane w swoim czasie fanatycznie, a przecież przemijające rychło. Autorowie tych teoryj wierzą niby w swoje systematy, tę wiarę wmawiają w innych, potępiają wszystkich, którzy się jej opierają, a nie posiadają sami środków do sprawdzenia owej rzekomej prawdy.

Do prawdy nie dochodzi się za pomocą zdolności umysłowych („Wędrówki umysłowe“). Prawda absolutna może być tylko objawioną, i dlatego trzeba w nią wierzyć, a wierzyć intuicyjnie, bez rozumowania. Wiadomo, że jedynie prawda objawiona tworzy męczenników i wyznawców, którzy dla niej dobro osobiste poświęcają. Żaden szermierz językowy ani życia, ani nawet majątku nie przyniósł w ofierze prawdzie, nabytej przez dysputę, bo żaden człowiek nie uwierzy zupełnie innemu człowiekowi, choćby w nim jak największą pokładał ufność.

Danie prawdy rzeczywistej nie uskutecznia się trybem rozprawczym, przekonywającym, ale trybem *rozkazującym*. A czy człowiek, nie przynoszący wyższej sankcyi, ma prawo od równego sobie wymagać zaofiarowania dobrowolnego, dla jakiejbądź zdobyczy intelektualnej? („Wędrówki umysłowe").

Z takiego wychodząc założenia, musiał Rzewuski uznać za prawdziwą tylko tę cywilizacyę, którą „pobudziła idea religijna." („Mieszaniny"). Wszelkie religie, chociażby najbłędniejsze, zawierają w sobie zawsze daleko więcej prawdy, aniżeli najmędrsza nauka. Ta prawda, spoczywająca w religiach, wytwarza właśnie stan społeczny narodów i ich cywilizacyę („Mieszaniny").

Wyznawca prawdy *rozkazującej* nie mógł uznawać dysput teologicznych. Poszedł on w tym względzie dalej od samych duchownych, bo kiedy ks. Choloniewski w owej odpowiedzi, przesłanej Kraszewskiemu, pouczał, że „ciężką krzywdę wyrządza religii Chrystusowej, kto nie dozwala rozumowi przystępu do świątyni Pańskiej", że „Jezus Chrystus przyniósł nie na to naukę Kościoła z nieba na ziemię, żeby przygasić pochodnię rozumu, lecz aby ją mocniej rozpłomienić"—opierał się Rzewuski stanowczo wszelkiemu rozumowaniu w rzeczach wiary. „Filozofia jest tylko nauką — twierdził w „Mieszaninach"—i podlega wszystkim warunkom nauki, ale dogmat jest więcej niż nauka i *przyjmuje się bezwarunkowo!* Jeżeli są rozumowania w teologii, nie są one jej żywotną i konieczną częścią, lecz raczej skutkiem natury intelektualnej, lubiącej w każdym przedmiocie używać swojej zdolności. Ale ten skutek jest wypadkowy, bo teologia w najżywotniejszej swojej części nietylko że nie potrzebuje rozumowania, ale je wprost odpiera. Rozumowanie jest zawsze powodem jedynie ludzkim, wiara zaś, przez którą się dogmat przyjmuje, będąc darem bezpośrednim Stwórcy,

nie jest przekonaniem, na powodach ludzkich opartem, ale podległością ufną i pokorną.“

Rzewuski nie pochwala Ojców Kościoła IV w., którzy, zamiast „wydobywać z zasad wiary wskazówki moralności praktycznej“, usiłowali przekonywać mniej wiernych za pomocą dysputy świeckiej, pragnąc uprzystępnić na drodze przyrodzonej to, co tylko „wiarą pochwycone być może“; gani wszystkich, którzy wprowadzali filozofię pogańską do wykładu rzeczy chrześciańskich.

Objawienie jest więc, podług Rzewuskiego, głównem źródłem prawdy, nauki, cywilizacyi. Tej matce wszelkiego światła pomagają: intuicya, doświadczenie, rozumowanie i podanie. Z początku łaskawszy na doświadczenie i rozumowanie, przyznający nauce pewne zasługi, oddalał się naczelnik zachowawców z każdym rokiem więcej od „zdolności przyrodzonych“, przechylając się do intuicyi, a głównie do tradycyi.

Tak zwane podanie, czyli tradycya, ma u Rzewuskiego bardzo rozległe znaczenie. Ogarnia ono cały obszar prawd, zdobytych przez naród w ciągu wielu wieków, przechodzących z pokolenia na pokolenie. Jest to skarbnica mądrości narodowej; pomieścić w niej można zapomniane później: doświadczenie i rozumowanie. „Podanie łączy jedynie teraźniejszość z przeszłością („Łaska i przeznaczenie“, wstęp), i dlatego powinno być troskliwie pielęgnowane. Bo łatwo dowieść, że myśl ludzka wtedy tylko świadczy o przyrodzonym pochodzie ludzkości, kiedy opiera się na jakiemś podaniu, inaczej robi skoki, często zadziwiające, ale bez żadnego dla niej pożytku. Obyczaje, prawa, nauki, kunszta, narodowości nie są czem innem, tylko szeregiem im właściwych podań. O tem zapomniały umysły, które przywłaszczyły sobie kierunek dzisiejszej cywilizacyi. Zdołały przerwać nić podań narodowych, mniemając,

że postęp ludzkości może być pobudzony myślą indywidualną, nie wiążącą się z przeszłością."

Tylko tradycya narodowa zasługuje na uwzględnienie. Rzewuski nie wierzy ani w potęgę jednostki, choćby najgenialniejszej, ani w rozum powszechny, czyli ogólno-ludzki. „Człowiek i ludzkość są rzeczy oderwane („Wędrówki umysłowe"), nie mające i nie mogące mieć żadnej rzeczywistości. Nie możemy sobie wyobrazić człowieka samego w sobie. Jako istota pojedyncza, muszą się koniecznie z nią kojarzyć jakieś przeszłości i dopiero wtedy tworzy się w naszym umyśle jego obraz." Ludzkość zaś jest rzeczą oderwaną, nie posiadającą żadnej rzeczywistości, przeto powinna spoczywać w krainie fantastycznej, utworzonej przez marzenia szkolne („Teofrast Polski").

Rzeczywistością, faktem, jest tylko naród, a stróżem podań pewnego narodu są jego rody rządzące, czyli arystokracya, która wciela najplastyczniej tradycye społeczeństwa. Co wykwita z istoty narodu, bywa prawdą, wszystko zaś inne, przeniesione z obczyzny, zasługuje na potępienie. Bo każdy naród posiada swoje odrębne cele, upodobania i potrzeby, do których stosować się muszą jego zwyczaje, obyczaje, prawa i urządzenia społeczne.

Tak zaciekły arystokrata i patryota nie mógł sprzyjać liberalizmowi, demokracyi i reformatorom Zachodu. Po cóż konstytucya, po cóż owa urzędowa gadanina, która nawet wymowy nie zdołała wyrobić, nie mówiąc już o czynach? Ludzie prawią, że trzeba wyrabiać przedstawicieli narodu. Jest to niedorzeczność, bo każdy naród ma najgodniejszą reprezentacyę w swoich rodach arystokratycznych. A demokracya? Rzewuski stawia ją na równi z komunizmem, nie szczędząc jej najdotkliwszych obelg. „Literatami — podpalaczami" nazwał postępowców krajów południowo zachodnich, którzy zwracali uwagę na sieroctwo ludu. Zwolenników w końcu marzy-

nek i eksperymentów cudzoziemskich przyrównywał do dziwaka, któryby usiłował przyswoić sobie konstytucyę fizyczną innego człowieka.

Rzewuski nie należał do ludzi, cofających się w połowie drogi. Wbrew wyobrażeniom czasów nowszych, a w myśl dawniejszych, potępił pracę mieszczańską, mianowicie przemysł, który czyni wynalazkiem ...przeklętego ojca Chama.

Zwolennik teoryi: de Maistre'a, Bonalda, Lammenais'ego i innych od samego początku, wyrażał się zrazu nieco oględniej. Jeszcze w „Mieszaninach" przyznawał nauce niezależnej pewne zasługi, nie odmawiając jej racyi istnienia. Ale z każdym rokiem oddalał się coraz więcej od wszelkiej wiedzy świeckiej, stając się po dziesięcioletniej pracy publicznej zaciekłym „wstecznikiem." Już około r. 1850 nie taił się wcale z nienawiścią swoją do filozofii wogóle, a po szczególe racyonalnej. „Śmierci żywiołem i zwiastunem jest wszelkie rozumowanie—wołał— bo zjawia się tylko wtedy, kiedy natchnienie ginie. Filozofia nie stworzyła nigdy nic praktycznie dobrego dla społeczeństw, a osłabiała po wszystkie czasy wiarę w to, co było rzeczywiście dobrem i żywotnem. Ma ona wstręt do czynu, stawia zapory natchnieniu, które jedno może odmłodnić zestarzałe ciało polityczne; jest ona pozornie uczonem nicestwem i dlatego kwitnie jedynie w narodach zgrzybiałych tak, jak pedogra dręczy zużyte ciała starców. Filozofia XIX stulecia jest zbiorowiskiem formułek i frazesów bez ducha, bez treści i siły dodatniej. Racyonalizm zabija odwagę fizyczną i moralną i t. d."

Do zasad powyższych, które nie mogły podobać się żywiołom młodszym, prącym zawsze naprzód, aż się nie przekonają, że rozum i siły ludzkie zawodzą, dodał Rzewuski pogardę dla owych czasów, w których żył. Nic pewniejszego nad to — twierdził („Teofrast Polski") — że okres teraźniejszy jest okresem krytycznym. Ztąd ów brak wybitnych

indywidualności, którcby czy w polityce, czy na wojnie, w administracyi, kunszcie i literaturze jakieś nadzwyczajne sprawiły wrażenie. W epokach przejściowych przemaga racyonalizm, a ten łamie, „rozrzedza“ charaktery. Wiara wywołuje czyny, a racyonalizm rozprawy i rozkłady, gdyż potępia zapał, entuzyazm i tę świętą niewiadomość, która dalej i jaśniej widzi, niż wszystkie nauki metodyczne. Tylko czyny „robią wrażenie“ w społeczeństwach, okres zaś, płodny w rozumowania, ubogi w czyny, skazuje narody na poziomość.

Żyjemy w wieku—skarży się—ciągle paplącym o potędze umysłu, a mimo to wcale nie usposobionym do silnych wytężeń umysłowych, w wieku, w którym wszystkie zaszczyty prawdziwej nauki przyswoiły sobie jakieś formuły. Przyjdzie czas, że te liczmany wymiecione zostaną, ale dziś, przy niedostatku rzeczywistej monety, one jakkolwiek je zastępują.

Byłby niesprawiedliwym, ktoby nie przyznał Rzewuskiemu w wielu razach słuszności. Widzi on niejednokrotnie bardzo dobrze i daleko, ale brak porządku w jego dziełach publicystycznych i naukowych utrudnia przeciętnemu czytelnictwu łatwe ogarnięcie jego poglądów. Wiadomo, że Rzewuski nie odebrał wykształcenia systematycznego, że nie rozwijał się stopniowo, wolno, przywykając do ścisłego myślenia i wyrażania się. Przechodząc z rąk jednego guwernera pod opiekę drugiego, nie miał sposobności do należytego wygimnastykowania umysłu, bez czego trudno być pisarzem polemicznym, który powinien bić przeciwnika logiką i argumentem, a nie twierdzeniem *ex cathedra*. Podróżował wprawdzie później dużo, widział, czytał i nauczył się wiele, lecz praca w latach dojrzalszych zapełnia rzadko szczerbę, zostawioną przez niedostateczne wychowanie w pierwszej młodości.

Brak porządku i ścisłości obniża wartość dzieł

polemicznych Rzewuskiego. Autor „Mieszanin“, „Teofrasta“, „Wędrówek“ i „Próbek historycznych“, nie umie wysnuwać z założenia pasma następników, któreby stanowiły z poprzednikami jedną całość. Przeskakuje z przedmiotu na przedmiot, odbiega od treści głównej, poświęcając ją dla epizodów. Co mu w danej chwili przyszło na myśl, to utrwalał na papierze natychmiast, bez względu na to, czy luźna uwaga należała do rzeczy, lub też rozrywała łańcuch wniosków.

Tych wniosków jest wogóle bardzo mało w dziełach rozumowanych Rzewuskiego. Mając wstręt do określeń i argumentacyi, zadawalniał się on twierdzeniami kategorycznemi, nie racząc ich uzasadniać. Przemawiał zawsze, jak teolog, a w sposób tak despotyczny nie przekonywa się umysłów, pozbawionych wiary objawionej.

Sama zresztą stanowczość i jaskrawość jego poglądów oddalała go coraz więcej od społeczeństwa, którego chciał być przewodnikiem. Polska nie jest krajem zdecydowanych stronnictw, namiętnie wyznawanych przekonań i wyraźnych haseł. „Szara mierność“, godzenie jednych prądów z drugiemi, zacieranie zbyt ostrych różnic między programatami, miało nad Wisłą zawsze więcej powodzenia, aniżeli fanatyzm w jakimkolwiek kierunku. Zarówno zachowawcy, jak postępowcy, jeśli działają podług ściśle określonego programatu, panują u nas nad szczupłą ilością zwolenników. Znakomita większość tak zwanej inteligencyi trzyma się pośrodku, obawiając się wszelkich „gwałtowności.“ Ztąd owo dziwne zjawisko, spotykane jedynie w Polsce, a świadczące, że największą liczbę czytelników posiadają czasopisma bezbarwne lub informacyjne, przepływające zręcznie między obozem zachowawczym i postępowym. Organa ludzi, pracujących dla idei, nie pokrywają nigdy kosztów najskromniejszego wydawnictwa, pod-

czas kiedy bibuła kupiecka przynosi procenty aptekarskie.

Rzewuski był fanatykiem konserwatywnym, więc łudził się, gdy mniemał, że zawładnie większością społeczeństwa. Mimo prądu chwili, który sprzyjał jego zapatrywaniom i dążnościom, nie był on nigdy popularnym. Nawet ci, którzy wierzyli, jak on, nie klaskali mu głośno. Wszakże-ż potępił ks. Chołoniewski jego nienawiść do rozumowania, chociaż Rzewuski był ze stanowiska teologicznego bliższym prawdy od swego towarzysza w sukience duchownej. Cokolwiek bowiem dałoby się przeciw temu powiedzieć, prawdą zostanie, że wiara nie znosi dysputowania. Jest to jej treścią, jej istotą.

Dopóki Rzewuski pisał osobne dzieła, nie natknął się na opór powszechny. Książkę można kupić, lub pominąć, jak się komuś podoba. Gdy jednak, przeniósłszy się w r. 1851 do Warszawy, założył w „grodzie syrenim“ „Dziennik Warszawski“ i zaczął ze szpalt gazety głosić coraz jaskrawsze doktryny konserwatywne, przekonał się rychło, że Królestwo nie posiada dostatecznego materyału na wytworzenie stronnictwa wyraźnie zachowawczego. Jego artykuł p. n. „Cywilizacya i religia“ podkopał byt „Dziennika.“ Główne niezadowolenie wywołały poglądy polityczne pisarza, mieszkającego długie lata w Petersburgu. Wielbiciel „podania narodowego“ wzgardził tem podaniem i dlatego odtrącono go demonstracyjnie. Kilkuset prenumeratorów odesłało redakcyi numera czasopisma z artykułem Rzewuskiego. Nawet wyznawcy filozofii katolickiej, krzewiący zasady swoje za pomocą „Pamiętnika religijno-moralnego“ (Ziemięcka, Tyszyński, Jakubowicz), przerazili się fanatyzmem naczelnego kierownika „Dziennika.“

Rzewuski odczuł głęboko to osamotnienie, które mu zatruło starość. Im więcej oddalał się od „podań“ społeczeństwa, tem namiętniej wyrażał swoją dla niego pogardę. W r. 1855 pisał: Jesteśmy

pogrążeni w jakiejś niemocy intellektualnej, która się ciągle wzmaga, a to nas doprowadzi do... stanu barbarzyństwa, bo nie chcemy na nią przyjąć lekarstwa żadnego. Póki nie przyznamy się do tej gorzkiej prawdy, póty nie staniemy na równi z ościennemi narodami, bo kto uznaje swoje nicestwo, już tem samem wielki krok robi do bytu. Zarozumiałość nigdy do czegoś dobrego nie doprowadziła. Im bezczelniejsze pochlebstwo jakiś piśmidlarz nam sypnie, tem większej nabywa u nas wziętości; tym sposobem coraz głębiej zanurzamy się w ciemnocie, której skutki już zanadto są widoczne.

Wycofawszy się z życia publicznego, opuścił Rzewuski w r. 1857 Warszawę i osiadł w Cudnowie, gdzie starał się zapomnieć o tem, że był niedawno naczelnikiem stronnictwa. Dni swoich dokonał w r. 1866 w dniu 28 lutego.

Cokolwiekbądź możnaby zarzucić Rzewuskiemu, wątpliwości nie ulega, że był on nietylko autorem „Pamiątek“ i „Listopada“—utworów, którym należy się w literaturze polskiej pamięć trwała a zaszczytna — nietylko beletrystą pierwszorzędnym, ale także publicystą w szerokim stylu, umysłem rozległym i śmiałym, pisarzem niepospolitego talentu i niezwykłej u nas odwagi cywilnej. Pisma jego wprawiły w ruch całe pokolenie, rozpaczające po szeregu dotkliwych zawodów na różnych polach między r. 1840 a 1860. Historyk owej epoki reakcyjnej musi Rzewuskiemu wyznaczyć stanowisko naczelne, albowiem szedł on przodem swojego stronnictwa, jako nieustraszony w boju z przeciwnikami wódz i szermierz. Nieco więcej porządku w myśleniu, więcej argumentacyi i miłości dla społeczeństwa, a nie byłby skonał samotny i zgorzkniały.

V.

Prawie takiem samem powodzeniem, jak Rzewuski, cieszyli się przez pewien czas Michał Grabowski (ur. 1805 r. † 1863) i Ignacy Chodźko (ur. 1794 † 1861).

Michał Grabowski, poeta, estetyk i krytyk, osnuł na tle dziejów Ukrainy z czasów koliszczyzny dwie powieści: „Koliszczyzna i Stepy“ 1837 i „Stannica Hulajpolska.“ W r. 1845 wydał „Trujkury,“ w r. 1856 „Pana starostę Kaniowskiego,“ posługując się pseudonimem Edwarda Tarszy.

Więcej od niego na niwie belletrystycznej znany Ignacy Chodźko rozpoczął zawód powieściopisarski od drobnych szkiców („Domek mojego dziadka,“ „Boruny,“ „Śmierć mojego dziadka,“ „Samowar“ i t. d.). Jak Rzewuski, wielbił i on, „dawne dobre czasy,“ a kochał je szczerze, bez owego uśmiechu ironicznego, który nie schodził nigdy z ust i pióra autora „Listopada.“

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia „wchodząc po długiem oddaleniu do domku, — woła Chodźko na wstępie pierwszej seryi „Obrazów litewskich,“ — w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? Czyjeż oko nie zalało się łzą miłego rozrzewnienia na wspomnienie osób, których w tych samych już nie ogląda izbach, a które go tu nie-

gdyś z pieszczotą tuliły do serca? Komuż nie będzie słodsza jagoda z tegoż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z którego, gdy był dzieckiem, piastunka lub stary dziadulek go karmił? Któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych, a obecnych sercu i pamięci obydwóch? Jakże mu drogim i szanownym będzie ten pomnik błogiej przeszłości."

W tym tonie bezkrytycznych zachwytów opowiada Ignacy Chodźko niegłośne wypadki cichego życia pana Macieja Widmonta, „skarbnika od pradziadów."

Miał pan skarbnik swoje wspomnienia i lubił je opowiadać, — ale cóż ciekawego mogło być w biografii skromnego ziemianina, który nie odznaczał się ani wyższemi zdolnościami, ani temperamentem, ani nawet zamiłowaniem do spraw publicznych, lub choćby tylko do burd i do awantur? Orał, siał i sprzątał; spał, budził się, modlił, jadł, pił i układał się na spoczynek. Jeden rok miał urodzajny, w drugim zima wymroziła mu drzewa i pszczoły, w trzecim oznajmiły znaki na niebie wojnę okropną. W młodości jeździł na sejmiki i trzymał zawsze stronę pana marszałka, swojego sąsiada i przyjaciela; nakoniec liczył, jak z rejestru, dzieje festów, kaznodziei i plebanów parafialnego kościołka...

Oto wszystko. Pan skarbnik rósł, kwitł i wiądł, jak roślina, więc spadł z drzewa życia jak ona, gdy dojrzał. Czując, iż zbliża się do kresu wędrówki ziemskiej, kazał ekonomowi znieść ze śpichrza trumnę i ułożył się w niej bez obawy. Otoczony gronem przyjaciół i służby, zgasł wolno, bez cierpień i żalu.

W życiu tak bezbarwnem ważyły oczywiście bardzo wiele zebrania sąsiedzkie, święta uroczyste i t. p. drobiazgi. Wymieniając potrawy wielkano-

cne, zużył Chodźko takie mnóstwo wykrzykników, że starczyłyby one do utworzenia sceny najdramatyczniejszej. „Tu, na środku, baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpierają go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonem jajem, zwyczajnem, wielkanocnem, włóczebnem; dalej indyk utuczony, który sam jeden w całym domu przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudopacholskich stołów święconych. Cóż mówić o półgęskach, ozorach, cietrzewiach, zdolnych najgruntowniej stępiony obudzić apetyt? Na obu końcach stołu siadły szerokie, przysadziste, jakby tej śpiżarni gospodynie, dwie okrutne baby; ach! bez nich, cóżby całe święcone znaczyło? i t. d."

Twierdzi Chodźko („Dom. moj. dziad."), że patryarchalne cnoty i proste obyczaje pana skarbnika „tem interesowniejszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy wielą opisów zbytków i wspaniałości naszych naddziadów, wystawień ich cnót publicznych i obywatelskich, ich niespokojnych rozruchów, nie mamy prawie pierworysów (typów) wygasłego już pokolenia owej niższej i uboższej szlachty, w której skromnych zagrodach przechowywały się śród powszechnego częstokroć zepsucia, jakoby w tajonym schowie, bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerość, chrześciańska gorliwa pobożność i czystość sumienia."

Główny rozgłos zawdzięcza Chodźko znanym powszechnie „Pamiętnikom Kwestarza" (1851 roku). Szlachcic, Michał Ławrynowicz, poróżniwszy się z wojewodą, u którego był w służbie, przywdział habit bernardyński, a ponieważ „wypolerował się na dworze wielkiego pana, przeto wyznaczyli mu konfratrowie urząd zbierania jałmużny."

Z godnością kwestarza, zwłaszcza bernardyńskiego, łączy się przymiot dowcipu, rubasznego hu-

moru. I brat Michał Chodźki usiłuje bawić „dobrodziejów,“ ale mu się to rzadko udaje. Najgłośniej śmieją się goście starosty, gdy nazwał jakiegoś prawnika, który przegrał sprawę swojego klienta, kauzyperdą *(causam perdere)*. Trochę to za mało, jak na „bernacha“ dawnego autoramentu. Taką postać byłby Rzewuski wybornie wyzyskał.

I brat Michał wielbi oczywiście „dobre czasy,“ unosząc się nad ich pobożnością i gościnnością. Wszędzie, gdziekolwiek przybył, zasypywano go datkami, a gdy się tu i owdzie mąż okazał skąpym, pamiętała żona o żołądkach mnichów. „Farmazońpstwo“ nie zagnieździło się jeszcze w kraju.

Szanowano w Polsce habit, ale była to cześć *sui generis*. Oto zjechali się np. dygnitarze zakonu do Nieświeża na kapitułę, aby wybrać na trzy następne lata gwardyanów i innych dostojników. Zaledwo zaczęli radzić, gdy ukazał się między nimi książę Radziwiłł Panie Kochanku, który jako syndyk klasztoru, posiadał prawo do zasiadania na sesyach kapituły. Nie pytając ani o *vota*, ani o *consilia* definitorów i jubilatów, rozporządził posadami *ad velle sui*.

— Waść, panie kochanku — rzekł do kustosza mińskiego — będziesz tu u mnie w Nieświeżu gwardyanem, bo teraźniejszy ksiądz Humilian już postarzał i ociężał; na nic nieprzydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku, na obławę, a on ani razu nie poszedł. Waść będziesz gwardyanem w Bucławiu, waść w Wilnie kustoszem... i tak dalej, jak z rejestru.

Więc *Patres* zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak literalnie do woli swojej stosować każe.

Książę na to powstał z krzesła, ukłonił się niziutko, mówiąc: *mea culpa*, a wyszedłszy z refektarza, zabrał wszystkie klucze od kanafarza, pozamykał śpiżarnie, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rądle powywracać, a sam udał się do zamku,

Wiedział Panie Kochanku, w jaki sposób poskromić bunt „bernachów,“ znanych z dobrego apetytu. Mnichy przerażone, że umrą śmiercią głodową, przestały „pomrukiwać“ przeciwko samowoli księcia. Wybrali, kogo im wskazał i wrócili do swoich siedzib.

Tak samo, jak habit zakonny i niezależność obrad kapituły, „szanowano“ w owych „dobrych czasach“ nietykalność sejmików i sejmów. Opowiadał już Imci pan Seweryn Soplica przez dowcipne usta Rzewuskiego, w jaki sposób osiągano jednomyślność na sądach, które rozpatrywały sprawy magnatów—kilka zaś scen z „Pamiętników Kwestarza“ ilustruje jaskrawo zebrania publiczne, zwoływane w celu wyboru posłów.

Do miasteczka Usacza, w powiecie dziśnieńskim, w dzisiejszej gubernii Mińskiej, zjechała się szlachta z województwa Połockiego. Stronnictwo rządowe, zostające pod dowództwem wojewody, postawiło dwóch kandydatów, nieznanych w okolicy, ale popieranych przez „partyę królewską;“ szlachta niezależna prowadziła na poselstwo podkomorzego Sielickiego i pana Reuta. I jedni i drudzy stanęli na miejscu, uzbrojeni w mnóstwo butelek, beczek i antałków, aby było czem zagrzać „panów braci“ do jednomyślności. „Pan brat,“ który obywał się w domu barszczem i kaszą gryczaną, ciągnął z ochotą na sejmik, bo tam napije się wybornego krupniczku, miodu, ba, nawet wina—i będzie udawał przez kilka dni „równego wszystkim,“ dopóki go dokonane wybory nie pozbawią chwilowego znaczenia.

Nadciągnęli przyjaciele wojewody z kilkuset szablami, nie zapomnieli o szerpentynach zwolennicy podkomorzego. Wprawdzie nie powinno się przy wyborach używać broni, ale od czegóż karabela? Zardzewiałaby, gdyby jej od czasu do czasu nie wydobyto z pochwy. Ktoby tam radził, zastanawiał się nad przymiotami lub stronami ujemnemi kandy-

datów? Rzeczą magnata myśleć, a pana brata bić, kiedy i kogo miodo i bigosodawca każe. Po której stronie więcej szabel, tam *victoria*. Dobro kraju, *salus Reipublicae*? Furda! Byle pan brat nie stracił przywilejów i miał sposobność pożywić się i ubawić od czasu do czasu, to cóż go zresztą może obchodzić? Do wysokich szkół nie uczęszczał, rozprawiać i dowodzić nie umie. Nauczył go rodzic machać pałaszem, lekceważyć sobie łeb rozpłatany, przeciętą gębę, złamane żebro, więc daje, co posiada, co umie.

Zebranie miało się odbyć w kościele. Sunie poważny wojewoda na czele dygnitarzów i urzędników do świątyni Pańskiej, ale przystępu do niej bronią zwolennicy podkomorzego. Zatarasowali drzwi i nie chcą nikogo wpuścić do wnętrza. Niczem dla nich powaga najwyższej władzy wojewódzkiej. Więc prezes sejmiku musi zakraść się do kościoła tylnemi drzwiami, przez zakrystyę.

Dotarł do swojego miejsca, zagaił zebranie, lecz słowa jego toną w przeraźliwej wrzawie. Nikt nie słucha, jeden wrzeszczy przez drugiego, gorętsi czekają, rychło dowódcy stronictw dadzą znak do bitwy. Co tu długo gadać! Najlepiej dobyć szabel, a kto kogo pobije, ten wyśle posłów do stolicy.

Wtem odezwała się trąbka pocztowa. Do kościoła wszedł pan Sulistrowski, pisarz wielki litewski, kandydat rządowy. Przywiózł on z Warszawy własnoręczny list od króla. Korona prosi województwo, aby dało głosy swoje pp. Sulistrowskiemu i Brzostowskiemu. Na to pan Sielicki:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana, uważam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli.

Słusznie. Nawet król nie powinien wpływać na wybory. Prawo to przysługuje jedynie sumieniu.

I znów wrzawa między obradującymi. Byłoby

przyszło niezawodnie do rozlewu krwi, gdyby ktoś nie był przypomniał, że pieczenie i krupniczek czekają na panów braci. Wojewoda odroczył zebranie; szlachta pobiegła do pełnych mis i kubków.

Butny podkomorzy, który, salwując respekt, należący się pismu Najjaśniejszego Pana, nie chciał odstąpić od prerogatyw szlacheckich, dopóki szło o jego skórę, zmiękł natychmiast, gdy mu pan Sulistrowski pokazał drugie pismo, powołujące go na opróżnioną kasztelanię.

Nie tak więc jasne i pobożne były owe „dobre czasy,“ jak wielbicielele ich pragnęliby wmówić w czytelników. Działy się w nich różne rzeczy, tak samo jak dziś, i dziać się będą do końca istnienia rodu ludzkiego. Pominąwszy jednak „sens moralny“ scen powyższych, nadają się one, biorąc je ze stanowiska artystycznego, do żywych, barwnych obrazów, co zależy oczywiście tylko od stopnia i rodzaju talentu autora. Chodźko nie posiada owej werwy, bez której nie odczuwa się i nie odtwarza — co na jedno wychodzi — ludzi i scen burzliwszych. W pismach jego przeważa ton gawędziarza, opowiadającego bez sił i bez staranności drobne wypadki pospolitego życia. Jego dowcipy nie rozśmieszają, jego łzy nie roztkliwiają.

Gawędziarzowi wolno daleko więcej, niż noweliście albo powieściopisarzowi, gdyż nie żąda się od niego ścisłego uwzględnienia zasad techniki artystycznej; wszakże i luźne obrazy powinny się odznaczać jakąś spoistością i jednolitością. Wprawdzie jest w „Pamiętnikach Kwestarza“ postać brata Michała łącznikiem między pojedynczemi rozdziałami, lecz części te nie stanowią całości, ani bowiem wyczerpują głównego charakteru, oświetlając go z różnych stron, ani nie dają pełnego poglądu na ówczesne stosunki, choćby tylko zakonu Bernardynów. Braciszek jeździ od wsi do wsi, od miasta do mia-

sta, prosząc o dary dla swojego klasztoru. W takiej podróży, obejmującej zarówno domy możnych, jak uboższych, musiał widzieć i słyszeć wiele rzeczy, któreby się późniejszemu historykowi cywilizacyi polskiej mogły przydać. Zamiast malować zwyczaje i obyczaje różnych sfer towarzyskich, ogranicza się kwestarz tylko na powtórzeniu w formie suchego, leniwo wlokącego się opowiadania przygód z kilku popasów, oceniając ludzi stosownie do tego, czy pomnażają chętnie jego gromadkę baranów, albo też zamykają przed nim wrota. Za mało inteligencyi i dowcipu posiada brat Michał Chodźki, dlatego widzi i słyszy niewiele.

Gdyby „Podania" i „Obrazy" były zaczątkiem, pierwszą próbą historycznej powieści polskiej, należałoby zwrócić uwagę na odrobinę kolorytu miejscowego, jaka się w nich niezawodnie znajduje, oraz na kilka scen i postaci lepszych; ponieważ jednak autor „Kwestarza" miał w „Pojacie" Bernatowicza wzór dobrej kompozycyi, a od Rzewuskiego mógł się nauczyć charakterystyki ludzi i zwyczajów, trudno mu przyznać stanowisko, jakie mu jego wydawcy i pobłażliwi czytelnicy wyznaczyli. Postawiony obok znanego autora „Pamiątek" i „Listopada," nie wytrzymuje nawet najłaskawszego porównania. Jedna tylko wspólna cecha łączy tych dwóch tak odmiennego talentu pisarzów: miłość do przeszłości, a nienawiść do czasów nowszych, czyli do wszystkiego, co się postępem zowie.

Głębszy i wszechstronniejszy Rzewuski, wypowiadał swoje przekonania w osobnych rozprawach, w całym szeregu dzieł rozumowanych. Na taki zbytek nie starczyło skromnego Chodźkę. Były „szubrawiec," biorący ze wsi czynny udział w pracach współtowarzyszów wileńskich, karcących z butą młodości „wszelaki obskurantyzm," nawrócił się, jak cały legion innych, i piorunował w późniejszym wieku przeciw postępowi. Zapatrywania swoje zamknął

Chodźko w „Próbach Nowego Dykcyonarza,“ w rozdziale, umieszczonym pod literą *P*.

Wiadomo—mówi tam Chodźko—że kiedy jaka nowa idea i za nią dążność wyroi się na świecie w głowach ludzkich, wnet Lucyper w piekle składa wielki sanchedryn, t. j. piekielny parlament i wzywa do zasiadania w nim wszystkich emisaryuszów swoich ze wszystkich kątów naszej ziemi. Zdają oni sprawę ze swych czynności i obrotów na świecie; wyjmują nawet na tę chwilę ze smoły naszych sławnych filozofów i przypuszczają ich do swego grona; wszakże *cum voce consultativa* tylko. Debatują potem bardzo głęboko i wymownie wszelkie wpływy i skutki nowej idei na ród ludzki i wynajdują środki wspomagania jej lub niweczenia, stosownie do potrzeb państwa piekielnego. Sesye te są wielce interesujące i pełne nauki razem, bo debatują na nich nie prawa, ale zasady praw, t. j. idee i pomysły, z których potem ludzie na swoich parlamentach tworzą prawa.

Niedawno — opowiada Chodźko — zwołano w piekle nadzwyczajny *mittyng* wszystkich dyabłów, a to z przyczyny, że wszelkie raporta emisaryuszów z naszych stron doniosły Jego Lucyperskiej Mości o nadzwyczajnym ruchu na świecie i w naszym kraju, wywołanym tem jednem słowem — *postęp*.

„Wszyscy — pisał emisaryusz północnej Europy — grają tu jak w żmurki, łapiąc po omacku ten *postęp* i nie wiedząc, gdzie go złapać? Narody zachodnie znalazły go na giełdzie, gdzieśmy je tryumfalnie wprowadzili; znajdują go w rewolwerach, sztucerach, armatach gwintowanych i coraz doskonalszych narzędziach do zabijania siebie samych; w moralnym względzie widzą go w suchym i rachunkowym racyonalizmie, na co my (dyabli) także chętnie godzimy się. Słowem, pracujemy tam, jak możemy, i praca nasza nie jest jałową; ale tu na północy nie możemy sobie dać rady. Wprawdzie nie tracimy na-

dziei, że i tu uderzą w naśladownictwo. Wszakże i w tem objawiają się niepomyślne prognostyki. Autorowie, poeci, niech cię tam kaci porwą, w których największe mieliśmy zaufanie, zawodzą nas haniebnie. Uwzięli się od niejakiego czasu dowodzić, że postęp może się zgodzić z religią, z cnotą, z narodowością własną bez naśladownictwa obczyzny. Jeden z nich, bijący szczególniej w taki ton, natchniony widać od któregoś z archaniołów z nieba, rzekł niedawno: Bóg szczęście daje, a szatan przyrzeka. Wolałbym, żeby mnie w ucho palnął, bo odrazu i sluchaczy i czytelników odepchnął od nas tak, że teraz każdy nasz projekcik, choćby najpiękniej w humanitarność, w filantropię, w filozofię utylitarną owinięty, rozwijają aż do jądra i naturalnie w konsekwencyi znajdują, że ta piękna obiecanka od nas pochodzi, więc tem skwapliwiej po prawdziwe szczęście garną się do Boga. Gdy więc postęp na tak fatalną dla nas i antipiekielną drogę ich zaprowadzi, cała północ Europy zbuntowaną i straconą będzie dla naszego panowania. Żądamy zatem nowej instrukcyi od Waszej Lucyperskiej Mości."

Właśnie dla ułożenia tej instrukcyi dla emisaryuszów piekła, działających w krajach północnych, zawołał Lucyper sanchedryn, na ktory wydobyto nawet Woltera z kotła. Nie bardzo dowcipnie powtórzył Chodźko *debata* doradców księcia ciemności, i dość niejasną wymyślił receptę; treść jej wszakże zwraca się przeciw postępowi, stawiając go na równi z podstępem. Wszystkim, których olśniewają teorye postępowe, radzi autor nie zapomnieć czterowiersza A. E. Odyńca:

Zbawco świata, Boży Synu!
Pogromco piekieł zastępu!
Broń nas od takiego czynu,
I od takiego postępu.

Mniema Chmielowski w studyum o Rzewuskim („Nasi powieściopisarze“), że postępowcy, zgromadzeni dokoła „Gwiazdy,“ aczkolwiek ustąpili z pola walki, przyczynili się do „zdyskredytowania jednostronnego, a raczej krańcowego kierunku konserwatywnego.“ Powód do tego twierdzenia daje mu rosnąca po r. 1850 niepopularność autora „Mieszanin.“ Rzewuski schodził rzeczywiście ze stanowiska uznanego naczelnika stronnictwa, zepchnięty przez społeczeństwo, które nie znosiło nigdy krańcowości, przenosząc nad wszelką wyrazistość kontury zatarte, lecz sam programat zachowaczy nietylko, że nie stracił po założeniu „Dziennika Warszawskiego“ nic na znaczeniu, ale zdobywał sobie z każdym dniem coraz większą ilość zwolenników. Autorowie, jeszcze niedawno postępowi, a nawet główni szermierze „niezależnej nauki,“ wyrzekali się przeszłości polemicznej, przewyższając gorliwością starszych konserwatystów. Ideały postępowe zbladły niezmiernie szybko, gdy je życie praktyczne we właściwem ustawiło świetle. Po r. 1850 nie mówiono już ani o emancypacyi kobiet, która narobiła w dziesięcioleciu poprzedniem dużo wrzawy, ani o bezwzlędnem zrównaniu stanów. Skrajna demokracya nie miała u nas tak samo powodzenia, jak skrajna arystokracya. Przestano słuchać Rzewuskiego, ale i chłopomani stracili swoich wielbicieli.

Duch reakcyi wiał wówczas nad całą Europą. Różnych teoretyków i marzycieli socyologicznych przekonał rok 1846 i 1848, że w stosunkach z t. zw. „młodszą bracią“ nie zaszkodzi nigdy ostrożność, że nie wolno powoływać do samodzielnych rządów warstw, których dłuższe doświadczenie nie nauczyło powstrzymywania brutalnych instynktów i namiętności ludzkich. Beletryści zachodu, którzy apoteozowali przed r. 1848 „kochany ludek,“ widząc w nim tylko same zalety, same rysy dodatnie, przerzucili się po akcyi politycznej w drugą ostateczność, ma-

lując odtąd chłopów w barwach czarnych. I w Galicyi miano sposobność (1843 r.) przypatrzeć się zblizka rządom ciemnych mas, które druzgotały po drodze wszystko, nie krępując się niczem, nawet uczuciem wdzięczności. Wiadomo, że Zygmunt Kaczkowski popierał w młodości swojej działalność demokratów lwowskich, co go jednak nie obroniło przed gwałtownością motłochu. Chłopi związali go razem z ojcem i oddali w ręce władz austryackich. Trzymany przez dwa lata w więzieniu, miał czas do kontemplacyi i do wyleczenia się z marzeń młodzieńczych. Gdy mu wrócono wolność, nie był już demokratą.

Zawiodła i „niezależna nauka,“ z którą Rzewuski tak gorąco wojował. Wprawdzie zapomniano już w Europie o mądrości autorów z czasów restauracyi francuskiej, bo zagłuszyli ją nowi prorocy, ale w Polsce nie wiedziano wówczas jeszcze nic o obietnicach pozytywizmu, materyalizmu i metody eksperymentalnej. Nad Wisłą przeżuwano dopiero po r. 1850 idee reakcyjne, rozpowszechniane głównie przez „koteryę tygodnikową.“ Filozofia „niezależna,“ w imię której kruszono przez czas krótki kopie, nie zajmowała nikogo. Przedniego jej przedstawiciela, w Niemczech mieszkającego Trentowskiego, pozbawiono głosu. Raz tylko odezwał się myśliciel polski między r. 1850 a 1860 w czasopiśmie krajowem, lecz doznał takiego przyjęcia, że go odeszła ochota do dalszej propagandy. W przedmowie do „Panteonu“ maluje rozżalony filozof stan ówczesny Polski w sposób następujący: „Naród zwrócił się lewo w tył i pędzi szybko, by kolej żelazna ku XIII w.; prześcignął wnet pod tym względem zachód, który przecież stawiał potężny i w końcu zwycięzki opór: że stał się coś nakształt Hiszpanii północnej. Ustały u nas przeglądy, światłu, umiejętności i postępowi poświęcone. Na miejscu ich królowały pisma w duchu i kierunku *średniowiecznym*, który wężową mądrością umiał nas

wyprowadzić w las. Rzucano klątwy na filozofię, poniewierano rozum ludzki i umiejętność niepodległą, potwarzono, a nawet prześladowano uprawiaczów i przyjaciół światła.“

„Umiejętność niepodległa“ ustąpiła rzeczywiście miejsca filozofii i nauce, przesiąkłej zasadami katolickiemi. Ks. Gaume i ks. Guillois pokonali Trentowskiego i jego zwolenników. Historya powszechna Cezarego Cantu, przełożona na język polski, znajdowała się w każdym oświeceńszym domu.

Obrzydziwszy sobie teraźniejszość i niedaleką przeszłość, zwróciło się społeczeństwo do wieków dawniejszych. Wszystko, co przypominało czasy „dawne, dobre,“ pochłaniano chciwie. Nawet tak mierne gawędy, jak Ignacego Chodźki, witano hucznemi oklaskami. Wszakżeż opowiadały o „pobożności i o prostocie obyczajów“ pokoleń minionych. Poeci wysławiali szlacheckość i religijność (Wincenty Pol: „Sejmik w Sądowej Wiszni,“ „Senatorska Zgoda,“ „Mohort,“ „Czarna krówka,“ „Wit Stwosz“), beletryści odtwarzali obyczaje dziadów i pradziadów, historycy wydobywali na wierzch szczegóły nieznane. Znienawidzony Rzewuski zwyciężył. Idee jego panowały najwszechstronniej wówczas, kiedy jego samego przestano uznawać.

W takiej chwili pojawiły się powieści historyczne Kaczkowskiego. Była to chwila najodpowiedniejsza dla utworów, osnutych na tle przeszłości, najgłówniejszy z powodów natychmiastowego powodzenia autora „Bitwy o Chorążankę.“ Czem był Rzewuski dla poprzedniego dziesięciolecia, tem stał się teraz Kaczkowski.

Zygmunt Kaczkowski (ur. w r. 1826 w Bereźnicy, w Sanockiem) przeszedł różne stopnie rozwoju, zanim się zaciągnął pod sztandar wielbicielów czasów minionych. Już w wyższych klasach gimnazyum przemyślskiego, gdzie kształcił się pospołu z Kornelem Ujejskim, odznaczał się zdolnościami nie-

pospolitemi. Za napisanie dowcipnej satyry na profesorów-niemców zmuszony opuścić szkoły, udał się w r. 1842 na wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, a w dwa lata potem przeszedł na fakultet prawny, którego nie ukończył, gdyż nie lubił nauki systematycznej. Osadzony przez ojca bardzo wcześnie w majątku dziedzicznym, jeździł często do Lwowa, żyjąc głównie w kołach literackich. Bywał chętnie na zebraniach zarządu zakładu Ossolińskich, słuchając z zamiłowaniem rozmów uczonych. Do braci literackiej przystał już w r. 1845, w tym bowiem czasie drukował „Dziennik mód Paryzkich," redagowany przez Bielowskiego, jego pierwsze próby pisarskie. Zastanawiał się wówczas dziewiętnastoletni autor nad „Moralnemi chorobami," nad „Gorączką dowcipową" i „Parafianizmem," klecił drobniejsze powiastki („Tuz") i odzywał się mową bogów („O czem marzyć").

W chwili, kiedy się Kaczkowski zaciągnął do szeregu pracowników publicznych, wierzyła młodzież gorąco w potęgę ludu i domagała się dla niego stanowiska współrzędnego. Młodzi reformatorowie mniemali, że można chłopa zmienić odrazu w obywatela, świadomego obowiązków względem kraju. Za nic ważyli sobie tradycyę i robotę przeszłości, za nic szkołę polityczną i społeczną, którą warstwy rządzące odbywały od wielu wieków. Wystarczało według nich dać „młodszej braci" wolność i własność, aby zajęła przynależne jej stanowisko.

Tak sądził i Kaczkowski. Wrażliwy, ulegający więcej wyobraźni niż rozumowi, przyjął bez zastrzeżeń programat demokracyi galicyjskiej. Rok 1846 i dwuletnie więzienie w Sanoku i we Lwowie wyleczyły go z tej mrzonki. Gdyby nie wypadki wiedeńskie w r. 1848, po których nastąpiła amnestya dla wszystkich skompromitowanych, byłby zawisnął na szubienicy, gdyż taki na niego zapadł wyrok. Później, w lat pięć, po owych zachwytach demokra-

tycznych, w powiastce „Kato“ nazwał Kaczkowski wiarę młodości swojej wyznaniem „młodzieży szalonej, zarozumiałej i głupiej.“

Więc kiedy go „Cęntralna Rada Narodowa“ mianowala organizatorem konnej gwardyi narodowej w Sanockiem, to chociaż nie odmówił współudziału w pracach publicznych, patrzył już trzeźwiej na zapał pewnych warstw społecznych, nie dzieląc wcale złudzeń stronnictwa postępowego. Znacznie później, bo w r. 1862, odezwał się w tej sprawie: „Gdzieindziej walka mogła równie wielkie, jak i korzystne odnieść zwycięztwo; atoli co do naszej prowincyi, każdemu trzeźwiejszemu oku musiało się już wkrótce okazać, że w jej granicach tylko ta jedna idea, która natenczas była dojrzała do całowzięcia, tylko idea usamowolnienia wiejskiego ludu mogła z istotnym pożytkiem wejść w życie; wszystkie zaś inne, wśród niespodzianej wolności, wyrodzonej zbyt prędko w nieświadomą swych celów swawolę, zaczęły coraz mniej odpowiednie rzeczywistym warunkom, co gorsza! coraz mniej odpowiednie naszym rodzimym potrzebom, przybierać dążności i kształty. Nie bezczynny w tej porze, lecz nie dzielący tego konwulsyjnego zapału, który nas tylko z zewnątrz ogarniał, a wewnątrz żadnej nie miał podstawy, spostrzegałem z boleścią, żeśmy się nietylko w dążeniach ogólnych dali porwać prądom nam obcym, ale co więcej, że w naszych szczegółowych czynnościach brak znajomości tych niezliczonych doświadczeń, jakie na nas nasza ośmiowiekowa przeszłość przelała, niemal na każdym kroku uczuwać się dawał.“

Słowa powyższe świadczą, że Kaczkowski ochłonął bardzo prędko, że patrzył trzeźwo na stosunki kraju już wówczas, kiedy się inni jeszcze łudzili.

Zajęty różnemi pracami politycznemi, nie zapominał Kaczkowski o literaturze. Czytał ciągle dużo; w czasopismach lwowskich, jak w „Pamiętniku literackim“ Szlachtowskiego i w innych, umieszczał

wiersze, powiastki i liczne artykuły. W głośnym sporze, jaki się wywiązał między „Czasem“ i „Gazetą Lwowską“ z jednej strony a zarządem zakładu Ossolińskich z drugiej, brał czynny udział. Zajmowała go w owych czasach bardzo żywo historya konfederacyi barskiej. Pragnąc zaznajomić się dokładnie z przedmiotem, który sobie upodobał, badał bardzo starannie bogaty materyał rękopiśmienny, znajdujący się w bibliotece Ossolińskich. Tym jego studyom uczonym zawdzięcza literatura polska pośrednio szereg znanych powieści historycznych.

Żaden z dawniejszych autorów nie spowodował tyle wrzawy w kraju, ile Kaczkowski po ukazaniu się „Bitwy o Chorążankę“ (r. 1851). Ani Mickiewicz, ani Słowacki, Kraszewski lub Rzewuski, nie wprawili w ruch tyle piór krytycznych, nie pobudzili tylu fachowych znawców do dysput i ocen literackich. Uczeni i dziennikarze, poeci, korespondenci nawet potrącali o pierwszy historyczny utwór Kaczkowskiego, unosząc się nad „arcydziełem.“ Niczem było powodzenie „Pamiątek Soplicy“ obok rozgłosu „Bitwy o Chorążankę.“

Myliłby się, ktoby szukał w „Bitwie“ głębszego pomysłu, bogactwa charakterów, misternie przeprowadzonej intrygi, lub świetnej kompozycyi. Szlachcic z Przemyślskiego, starościc niezabitowski, przybył w Sanockie w konkury do panny Błońskiej, posażnej chorążanki sanockiej, nie troszcząc się o to, że o rękę dziewczyny starał się szlachcic z Sanockiego, młody pan Żurowski z Rączany. Sanoczanie wspominali z przekąsem oddawna o Przemyślanach, więc kiedy się niemiły intruz zjawił, postanowiono go wykurzyć.

Właśnie onego czasu, kiedy Niezabitowski zajechał do dworu bereszczańskiego, zjechało się także do chorążego kilkunastu Sanoczan, jak to u niego *zwyczajnie* stół pełen gości, w stajniach dyle aż trze-

szczą pod końmi, ale pod gościnnemi, a w izbie czeladniej aż napchano sługusów, ale sąsiedzkich.

Siedzi sobie Niezabitowski koło panny, jak przybił; wąsa pokręca, czuprynę gładzi, w tył wyloty zarzuca, a ustami coś szepcze, że aż się panna rozpływa, lecz Sanoczanie tymczasem, krzepiąc się w wielkiej sali starem winem, knują zdradę na niego. Ot, przyszło Deręgowskiemu, co był wzrostem tak wysoki, że kiedy z równym sobie Edmundem Chojnackim wziął się za ręce, to pomiędzy nimi fura siana przejechać mogła — przyszło mu na myśl, aby Niezabitowskiego spoić i ośmieszyć. Przemyślanin, wezwany do rozprawy na kielichy, zasiadł natychmiast do roboty z owym Deręgowskim i byłby może wyszedł zwycięzko z tego spotkania, gdyby Sanoczanie nie byli użyli podstępu. Kazali mu pić z „obrączkowego," którego zwyczajów nie znał Przemyślanin, a gdy i to nie pomogło, dali mu niezwykle mocnego wina, zwanego *petercymentem.* Ten płyn iście ognisty pokonał ostatecznie Niezabitowskiego. Starościc zwalił się z nóg, jak trup, a niegościnni Sanoczanie zanieśli go rozebranego do komnat niewieścich, gdzie go rozłożyli na podłodze. Byłby Przemyślanin może przespał do rana między białogłowami, gdyby nie drugi figiel jednego z panów braci.

Młody Hubczyc, rozgniewany na pannę Buchowską za arbuza, którego mu dała, postanowił wyzyskać sposobność i zemścić się na dumnej pannie. Więc podczas kiedy inni dźwigali starościca, on schwycił żabę i wsunął ją pod kołdrę dziewczyny. Kobiety pobudziły się, powstała wrzawa w całym dworze, zbiegowisko i sprawka wydała się. Wynikł z tego nazajutrz pojedynek między Niezabitowskim i Żurowskim, z którego obydwaj wynieśli kilka ran. Przemyślanin opuścił niegościnne Sanockie, a konkurent miejscowy ostał się przy pannie.

Nic więcej. Kilku szlachciców popiło się, pobiło, narobiło trochę huczku i rozjechało się do do-

ków. Niema w tej powiastce ani ciekawej fabuły, ani szerszego pomysłu, ani głębszej treści. Obrazek to rodzajowy z przeszłego stulecia, nowella, jakbyśmy się dziś wyrazili, odłam powieściowy, wyczerpujący tylko jeden moment obyczajowy owych czasów. A jednak poruszyła „Bitwa o Chorążankę“ nawet starych, zapomnianych już klasyków, nawet Kajetana Koźmiana i Franciszka Wężyka.

Nie ulega wątpliwości, że gust chwili, zwracający się z tęsknotą ku przeszłości i pochłaniający namiętnie wszystko, co tę przeszłość przypominało, przyczynił się w pewnej części do powodzenia „Bitwy o Chorążankę;“ albowiem połowy dokonał, kto umiał podsłuchać pragnień i marzeń współczesnych, wszakże i najwięcej „popularny“ utwór musi okrom powyższego wabika posiadać warunki inne, jeżeli się nie chce zadowolnić uznaniem przeciętnych czytelników. Kaczkowski dał publiczności, czego się właśnie domagała, ale dał w formie tak żywej i barwnej, że znawcy poznali w nim odrazu majstra. Kilkoma pociągami pióra, kilku zwrotami naszkicował ludzi i sytuacye. Niema między gośćmi chorążego sanockiego ani jednego manekina. Występują wszyscy plastycznie, chociaż mają niewiele sposobności do odsłonięcia swych natur, bo czynność ich nie przekracza ram pospolitej u dawnej szlachty pijatyki i jednego pojedynku.

Gdy żaba pobudziła kobiety, powyskakiwały przerażone białogłowy z pościeli, krzycząc i lamentując. Tymczasem Niezabitowski, którego wzięto na ręce, zataczał się po izbie i wołał:

— Ho, ho, ho! Nie ze mną na kieliszki! Siedmiu takich przepiję, dziesięciu pognębię, całą ziemią przekąszę!

Całą ziemią chciał pijany szlachcic przekąsić, jak inni dzwonkiem śledzia, lub bułeczką, obłożoną kawiorem. Trzy te słowa rzucają dostateczne światło na bezbrzeżną butę rycerstwa polskiego, rozswa-

wolonego powolnością królów i niedołęztwem machiny rządowej.

W ten sposób charakteryznje Kaczkowski kilkunastu ziemian. Jeden błysk i człowiek gotowy.

I drugi utwór historyczny wielbionego odtąd autora, („Kasztelanice Lubaczewscy“ 1851), nie zasługuje jeszcze na nazwę powieści. Opowiada w nim Kaczkowski dzieje dwóch braci Rześciańskich, Krzysztofa i Kaspra, synów kasztelana. Starszy, szlachcic jak wielu innych, dobry do korda i do kielicha; młodszy, dziwak, bo nad pijatyki i bijatyki przenosił muzykę i książki ku wielkiemu zmartwieniu pana Krzysztofa, który mawiał, że „matka, gdy była przy nadziei z Kasprem, musiała się chyba zapatrzeć w jakiego szewca, kiedy tak podła dusza weszła w szlachetne ciało.“ Pierwszy wojował, drugi kochał się w córce Ossolińskiego, a gdy mu pannę ktoś możniejszy zabrał, ruszył w świat i włóczył się przez lat wiele za morzami i górami.

„Kasztelanice Lubaczewscy“ nie odznaczają się jaką jednolitością kompozycyi, jak „Bitwa o Chorążankę,“ gdyż budowę rozrywa historya dwóch braci, prowadzona równolegle, podczas kiedy w „Bitwie“ konkury Niezabitowskiego, które stanowią całą jej treść, zestrzeliły akcyę w jedno ognisko.

Pierwszym większym utworem historycznym Kaczkowskiego, któremu przysługuje miano powieści, jest „Murdelio,“ drukowany w „Gazecie Warszawskiej“ (1852 — 53). Pojedyńcze charaktery, sceny i rysy, wyzyskane wybornie w poprzednich drobiazgach, zebrał tu autor i połączył w jeden obraz, na szerokich rozpięty ramach. Na przód sceny wysunął dwie postacie, które streszczają w sobie wady i zalety dwóch odłamów szlachty polskiej XVIII stulecia. Murdelio, raczej Piotrowicz, herbu Murdelio, pan bogaty, wspaniałego zamku i pięćdziesięciu wsi dziedzic, ma być przedstawicielem możnych warchołów, Ślaski zaś, pieczętujący się klejnotem Nieczuja,

syn skarbnika zakroczymskiego, jest typem szlachcica miernej fortuny.

Nie pokazał Kaczkowski Murdeliona na arenie publicznej. Bogaty pan nie bierze udziału w sprawach Rzeczypospolitej, nie wojuje, nie stoi na czele żadnej partyi. Myśli tylko o sobie, o swoich interesach i zachciankach, dla których poświęca wszystko: dobro własne i cudze. Na drodze jego stanęła kobieta. Musi ją posiąść zupełnie, choćby na jeden dzień przed śmiercią.

Murdelio chował się za granicą. Znał Anglię, Francyę, Włochy i Niemcy, mówił wszystkiemi językami płynnie, znał się doskonale na sztuczkach rycerskich owego czasu, szalenie odważny i w niczem niepohamowany. Gdy czego pożądał, musiał osiągnąć, choćby kosztem wielkich ofiar.

Typ to dość pospolity w epoce, w której szlachta polska dobiegła szczytu rozkiełznania i rozzuchwalenia. O dzielność męzką, o siłę fizyczną i o lekceważenie życia, nie było trudno w narodzie, który rósł na koniu i z szablą w garści. Dobrze pić nauczyli się także wszyscy od panowania Sasów. Murdelio pił, jak beczka dziurawa, bił się, jak dzikie zwierzę, gdy mu głód dokucza, ale nie miał nigdy żadnego zastanowienia, jak wielu do niego podobnych, ufających jedynie w moc szabli i dukata.

Gdy wrócił z dalekiego świata do domu, zastał u siebie wszystko w największym nieładzie: ziemia leżała odłogiem, na łąkach pasło się cudze bydło, folwarki były w dzierżawach albo zastawach, chociaż nikt nie wiedział, kto je powypuszczał, a kto tenuty odbierał. Postanowiwszy skręcić kark temu nieładowi, udał się do sądów, lecz przegrał wszystkie sprawy. Więc przekonawszy się, że w Polsce trzeba sobie radzić inaczej, niż w krajach, uznających powagę władzy, wziął trochę drobnej szlachty na kuchnię i lafę, uzbroił pięćdziesięciu kozaków, niby dyabłów — i dalejże z tymi sędziami wymierzać

sobie samemu sprawiedliwość. Przyjeżdżał do każdego dzierżawcy lub zastawnika i pytał: na ile lat masz kontrakt? ile lat trzymasz? ile lat ci pozostaje? To wyrozumiawszy, mówił: tyle a tyle ci się jeszcze należy, masz, ruszaj do licha! Był taki, co wziął pieniądze i poszedł, który zaś nie chciał i malował sobie jakieś pretensye, tego za łeb, na wóz z żoną, dziećmi i bagażami — i kozacy odstawili za granicę.

Przyprowadziwszy w ten sposób do ładu zaniedbany przez służbę majątek, przemyśliwał nad tem, jakby się zabawić. Król ma wojsko, może się bić, kiedy mu się podoba, kraje zdobywać, ludzi gubić albo z prochu podnosić—czemużby on, pan polski, który sobie drwił z króla, nie szanując jego sądów, nie miałby się zabawić w króla? Przez kilka dni wertował mapy i szukał na nich jakiego kraju, któryby mu przypadł do gustu. Lecz przyszło mu na myśl, że na co mu szukać kraju gdzieś daleko, kiedy kraj jest dokoła niego. Zbierze sobie trzystu lub więcej kozaków, weźmie drugie tyle szlachty na jurgielt i wieś po wsi będzie póty najeżdżał i zabierał, póki sobie „kraju“ nie „nabędzie.“ I kto wie, czyby się nie był wykierował na jakiego głośnego rokoszanina, gdyby sobie przypadkiem nie był przypomniał, że miał w okolicy stryja i siostrę, i że nieboszczyk ojciec zakazał mu na łożu śmiertelnem, aby się z tą kuzynką nie żenił. Jak to, jemu czegoś zakazywano? Aż mu się duszno zrobiło na samą myśl, że ma jakiś zakaz na karku. Właśnie, że sobie ojciec tego nie życzył, zawiąże stosunki z domem stryja i będzie się starał o Piotrowiczównę. Ten kaprys pozbawił go spokoju na całe życie.

Gdyby stary Piotrowicz był uległ żądaniu możnego krewniaka, byłby sobie Murdelio sprzykrzył niezawodnie bardzo prędko rozkosze miłości; ale stryj żądał od synowca rehabilitacyi. Nabroiłeś już tyle—mówił—nakrzywdziłeś tyle braci szlachty, że trzeba, abyś się najsamprzód poprawił i pozyskał imię sza-

nownego obywatela. Wysługiwał się tedy rozhukany młokos starcowi, udając skruchę i pokorę, wkrótce jednak zbrzydła mu komedya, więc porwał pannę i osadził ją w swoim zamku. Zrobił się z tego powodu huczek w całym powiecie. Szlachta, oburzona postępowaniem zuchwałego magnąta, odgrażała mu się powszechną krucyatą. Murdelio, opuszczony nawet przez służbę, uciekł za granicę, zkąd, gdy wrócił po latach dziesięciu, zastał ukochaną dawno po ślubie ze stolnikiem Strzegockim. Nagła śmierć męża Piotrowiczównej zbliżyła go znów do celu jego marzeń młodzieńczych. Ale na przeszkodzie stała przeszłość. Odpokutuj za grzechy, mówiono mu, a zobaczymy. Murdelio przywdział habit zakonny, udając się po raz wtóry w pokorę, którą sobie po raz wtóry sprzykrzył. I znów porwał wdowę, jak niegdyś pannę, i zamknął się z nią w swoim zamku. Napadnięty przez szlachtę, pobudzoną przez ojca stolnikowej, wrócił do klasztoru, gdzie dokonał burzliwego a bezpożytecznego żywota.

Murdelio był materyałem bogatym i wdzięcznym. Mógł z niego wykwitnąć wielki wojownik, przesławny wódz, nieustraszony w boju, lub mąż czynu, a zmarniał, jak mnóstwo do niego podobnych, jak setki magnatów, uznających nad sobą tylko jednego pana: zaspokojenie żądz osobistych.

Nie tak gwałtownego usposobienia jest drugi bohater „Murdeliona“—pan Marcin Nieczuja, chociaż i on rwie się przy lada sposobności do korda i pije do upadłego, gdy mu towarzysze bębenka podbiją. Obraża go lada słówko, gniewa żart, do pogróżek pobudza krzywe spojrzenie. Na popasie strzela bez namysłu do żołnierzy austryackich, wyrzuca opierających się przez okno na bruk ulicy, wali w łeb, kto się pod rękę nawinie. Gdyby był posiadał nie jedną tylko wioskę, lecz pięćdziesiąt, jak Piotrowicz, możeby sobie, jak on, pohulał.

I pana skarbnikowicza nie zawiódł Kaczkowski

na pole pracy publicznej. Nieczuja kocha się w córce stolnikowej Strzegockiej, w pięknej Zosi. Konkury o wnuczkę Piotrowicza stanowią główną treść powieści.

Około tych dwóch postaci zgromadził autor kilkanaście figur drugorzędnych, między któremi naczelne miejsce należy się staremu Piotrowiczowi, ojcu stolnikowej.

Bohaterów „Murdeliona“ nie łączy jeden wspólny cel. Znaczna ich część występuje epizodycznie, nie oddziaływając wcale na czynność, która mogłaby się bez nich bardzo dobrze obyć. Służą oni tylko do ilustracyi tła. Jak Rzewuskiemu, udają się i Kaczkowskiemu te postacie drugorzędne najlepiej.

Zręczniejszy technik byłby z treści „Murdeliona“ wysnuł powieść bardzo „ciekawą“ w rozumieniu pospolitem, zawiera ona bowiem w sobie wszystkie warunki, potrzebne do zbudowania utworu nietylko zajmującego, ale nawet „sensacyjnego“. Potężna miłość Murdeliona, trwająca długie lata, tłómacząca się tylko tem, że w szlachcicu polskim znajdowała się przymieszka krwi południowej, hiszpańskiej — gwałtowność jego charakteru, a w końcu tajemniczość, która później kochanka pani Strzegockiej otacza, wystarczyłyby nawet miernemu autorowi francuskiemu do utrzymania uwagi czytelnika od początku do końca w naprężeniu. Dodawszy do powyższych momentów romans Nieczui z Zosią, można było z materyału „Murdeliona“ ułożyć czynność nawskróś dramatyczną. Ale kompozycya była dotąd i jest słabą stroną beletrystów polskich tak historycznych, jak społecznych. I Rzewuski lekceważył budowę, nie mówiąc już o Chodźce.

Kaczkowski nie powiązał wypadków w ten sposób, aby tworzyły jednę całość, dopełniając się wzajemnie. Zrazu rozwija się akcya stopniowo, sytuacye rosną i mnożą się prawidłowo, lecz już od połowy

dzieła pomaga sobie autor zbyt długiemi scenami epizodycznemi. Całą np. przeszłość Murdeliona, nadającą się wybornie do obrazów efektownych, włożył w jego usta. Murdelio opowiada bardzo dobrze, wszakże daleko plastyczniej wystąpiłby ten potężny charakter, gdyby mu autor był pozwolił działać. I o wykradzeniu pani Strzegockiej przez Murdeliona dowiaduje się czytelnik od autora, zamiast widzieć, jak się to stało. Dwa razy tylko działa sam Murdelio i to zawsze przez krótką chwilę, mianowicie: gdy chwyta za kord, aby „nauczyć moresu" czupurnego szlachcica Urbańskiego, i wtedy, kiedy sobie ze sztyletem w ręce toruje drogę przez tłum szlachty, która go w jego zamku napadła

Wadliwość kompozycyi, powtarzającą się we wszystkich powieściach Kaczkowskiego, wynagradza świetna charakterystyka tak ludzi, jak obyczajów. Sam Nieczuja jest w „Murdelionie" zamało szlachcicem owego czasu. Mówi zadużo, lamentuje zanadto, odgraża się zbyt często, a nie popiera słów czynami. Za to wytrzymują wszystkie postacie drugorzędne najwybredniejszą krytykę. Dziadek Zosi należy bezwątpienia do najlepiej odtworzonych charakterów beletrystyki polskiej wogóle. Starzec, ożywiający się tylko pod wpływem miodu lub wina, opowiada świetnie, prawdziwy w każdym ruchu. Głuchy i niedołężny cieleśnie, potrafi być energicznym i przekonywającym, gdy broni honoru swego domu. Kaczkowski operuje bardzo zręcznie szczegółami zewnętrznemi, których nie pomija. Żadna właściwość, żadna odrębność charakterystyczna nie ujdzie jego bystremu oku. Widzi on najmniejszy drobiazg i umie go wyzyskać. Dziadek, ucierający nos w wylot kontusika Zosi i chowający tę oryginalną chustkę za pas, wraża się na zawsze w pamięć czytelnika. Niemniej plastycznie występuje węgrzynek Nieczui, butny sługa szlachecki, stający za panem swoim w każdej potrzebie z gołą szablą. To samo odnosi się do reszty

figur, naszkicowanych od ręki, jakby mimochodem, a przecież odrazu wyraźnych.

Wszystkie te postacie poruszają się na tle, podmalowanem starannie i zabarwionem z niepospolitą znajomością kolorytu czasu. Widać na każdej stronicy, że Kaczkowski zabrał się do powieści historycznych dopiero po gruntownem zbadaniu epoki, że przewertował stosy materyału rękopiśmiennego, zanim napisał „Bitwę o Chorążankę". Właśnie ta troska o zachowanie kolorytu, nawet w drobiazgach, jest przednią zaletą autora „Murdeliona", gdyż tajemnicę charakterystyki posiadał także Rzewuski.

Przymioty powyższe, w połączeniu z naracyą przyjemną i zawsze poprawną, wyznaczają „Murdelionowi" zaszczytne miejsce w rzędzie najlepszych powieści polskich. Utwór ten starczy Kaczkowskiemu za pomnik niespożyty.

Po wyjściu „Bitwy o Chorążankę" i dalszych powieści Kaczkowskiego posypały się liczne krytyki. Głos zabierali powołani i niepowołani, a prawie wszyscy godzili się na to, że autor „Murdeliona" przewyższył Rzewuskiego. Wszelkie porównanie chroma, a chroma tem więcej, gdy ciągnie się równoległą między pisarzami talentu pierwszorzędnego. Tylko epigonów można stawiać obok mistrzów, aby się przekonać, o ile się do wzorów zbliżyli, lub od nich oddalili.

Był Rzewuski beletrystą historycznym tak samo, jak Kaczkowski; szli obadwaj przodem swego czasu i posiadali wiele zalet wspólnych, jakoteż stron ujemnych, ale każdy z nich wniósł do literatury coś własnego. Jeden i drugi nie umiał komponować, a znali się świetnie na charakterystyce, wszakże kiedy autor „Listopada" uwzględniał stronę obyczajową XVIII wieku tylko o tyle, o ile mu ona była potrzebną do uwydatnienia tej lub owej postaci, kładł Kaczkowski główny nacisk właśnie na koloryt epoki. Opisy zwyczajów i obyczajów, narad, zabaw, pijatyk,

zaślubin, dysput i t. d. zajmują u niego daleko więcej miejsca, aniżeli u Rzewuskiego. Cobyśmy dziś nazwali scenami rodzajowemi, maluje Kaczkowski z takiem zamiłowaniem, że pod tą górą szczegółów ginie dość często nić przewodnia, rwie się fabuła na strzępy, a oblicze polityczne kraju zaciera się zupełnie, Autor „Murdeliona“ odtwarza przeważnie stronę obyczajową XVIII stulecia, autor zaś „Listopada" usiłuje dać pełny obraz życia publicznego. Pierwszy jest dokładniejszym, drugi głębszym. Co Chodźko zamierzał, a czemu nie dorósł, tego dokonał Kaczkowski. Przeto pytali krytycy współcześni niewłaściwie: kto większy, Rzewuski, czy Kaczkowski? która powieść lepsza, „Listopad“ albo „Murdelio“? Są oni obadwaj autorami pierwszorzędnymi, a dzieła ich, z chwili kulminacyjnej ich twórczości, zasługują na równą pamięć. Każde z nich jest w swoim rodzaju dziełem znakomitem.

Tak samo, jak w powieściach Rzewuskiego, należą i w utworach historycznych Kaczkowskiego wszystkie typy, znajdujące się na pierwszym planie, do stanu szlacheckiego. Nawet węgrzynek Nieczui, imć pan Mighaza, idzie z krwi rycerskiej. Ta szlachta przedstawia się w „Bitwie", w „Kasztelanicach“, w „Mężu szalonym“, w „Murdelionie“, w całym wogóle cyklu obrazków i obrazów, których głównym aktorem jest pan skarbnikowicz, daleko mniej dodatnio, niż w „Pamiątkach“ i w „Listopadzie“. Jest jedna scena w „Kasztelanicach Lubaczewskich“, która rzuca pełne a jaskrawe światło na rządzącą warstwę b. rzeczypospolitej.

Pan Krzysztof Brześciański werbował ochotników do konfederacyi barskiej. Werbunek udał się doskonale. Piętnastu szlachty siedziało w winiarni za stołem, i wypiwszy raz, drugi i dziesiąty zdrowie hetmanów, pokrzykiwali sobie wesoło. Wtem wpadł do izby brat Krzysztofa, kasztelanic Kacper, i sko-

czywszy do jednego z młodszych, do cześnikowicza Osuchowskiego, krzyknął:

— Ty, szaraku! Ty śmiałeś na mnie knować spiski? Dobyj szabli, bo cię tu zaraz rozsiekam!

(Osuchowski zażartował sobie z Brześciańskiego, pisząc w jego imieniu listy miłosne do jakiejś garderobiany).

— Czego waszmość żądasz odemnie? — zapytał Osuchowski, udając, że się niczego nie domyśla.

— Dobyj szabli, pogański synu, bo cię na miazgę potłukę — wołał kasztelanic, rwąc się do młokosa.

— Co się to stało? — pytał brat napadającego.

— Co się stało, to stało—odpowiedział tenże — ja wam sprawy zdawać nie będę. Puśćcie mnie, bo chociażeście pijani i tylu was jest, jednak, jak się porwę, to was wszystkich potłukę, bo i takeście więcej nie warci, jakeście tu wszyscy owsiani i juchtowi i szaraczkowi! Niech was jasne pioruny spalą wraz z Osuchowskim.

— Hola, hola, mospanie, nie nagle! — odezwało się kilkanaście głosów pijanych. — A cóż to ty sam za jeden, żebyś się zdziwiał nad nami! Jaki mi karmazyn.

— Za drzwi z nim, za drzwi! — krzyknął Załęski, podstoli dropicki, który się z kasztelanicem o kawałek ziemi oddawna po sądach wodził.

— Za drzwi! — wtórowali szaraczki.

— Za pozwoleniem, milion dyabłów, mości panowie — odezwał się Krzysztof — ja mojemu bratu krzywdy uczynić nie dam.

— Za pozwoleniem — dodał Błoński — ja z kasztelanicami.

— I ja także — dodał Górski — i ja, i ja — wołali Balowie, Karszniccy, Wisłoccy i inni.

I poszła zaraz w kąt cała konfederacya, a wszyscy, pomieszawszy się, na nowo zaczęli się dzielić, krzycząc i grożąc, ci z Brześciańskimi, owi z Osu-

chowskim, i tak się rozstąpili na dwie strony izby Brześciańscy od pieca, Osuchowscy od frontu, że pomiędzy nimi był kawał wolnego miejsca, właśnie jak gdyby pomiędzy dwoma wojskami, mającemi uderzyć na siebie. Hałas i krzyczenie wzmagało się coraz bardziej i już poczęto nie przebierać pomiędzy słowami i miotać je na siebie, już poczęły wychodzić na jaw dawne, zapomniane urazy, jedni zabierali się do szerpentyn, a kilku nawet, porwawszy stołki, poodłamywali od nich nogi i opory, i Bóg wie, do czegoby przyjść nie mogło, gdyby pan Błoński nie był wystąpił przed front swojej partyi i rzekł:

— Za pozwoleniem, panowie bracia! Wybić się, to nie sztuka, potrafimy my to każdego czasu, ale tu właśnie idzie o to, ażeby rzecz pierwej wyrozumieć i przyprowadzić do zgody, a dopiero wtenczas...

— Nie ma zgody! — przerwał Załęski.

— Nie masz zgody! — powtórzyli inni.

— Za pozwoleniem, będzie zgoda — huknął pan Błoński. — O co idzie panu Brześciańskiemu! Niechaj wystąpi i niechaj powie.

— Nie masz zgody...

— Za pozwoleniem...

— My za Osuchowskim...

— My za Brześciańskim...

I tak się rzecz wywracała przez godzinę, śród którego to czasu parę razy tak się sprzeczka podniosła, że o mało do tuzów nie przyszło. Jednak po kilku oracyach zgodzono się na to, że wybrano dwóch arbitrów i superarbitra, którzy mieli wywindykować okoliczności i rzecz osądzić.

Po zagodzeniu sporu zaczęto pić *de noviter repertis*. Chciano przez to niby ochotę i braterskie związanie się silniej umocnić, chciano pozagładzać [illegible]stkie dawne urazy, jakoż i przy kielichu to naj[illegible]niej. W tym też celu Błoński zaraz podnosi [illegible]do góry i woła:

— Wiwat, niech żyje zgoda! Za zdrowie pana kasztelanica i pana Osuchowskiego! W ręce twoje, panie Załęski!

Załęski, aczkolwiek miał niedobre z Brześciańskim procesy i dawną do tej familii inwidyę, chciał przecie tym razem o tem zapomnieć, bo u Polaka serce dobre *in fundamento*, trzeba go tylko umieć zażywać. Mimo to wstał i rzekł:

— A jakże mnie pić zdrowie kasztelaniców, kiedy my zawsze z sobą, jak pies z jeżem.

— Twoja to wina, panie podstoli — rzekł Krzysztof — nie ja poczynałem proces.

— Ale kontynuowałeś.

— Bom był na to wyzwany, a wżdy i robak się wije, kiedy go chcą podeptać.

— Prawda, ale bo prawda jest po mnie. Klinek ów ziemi mój, z dziada pradziada.

— Mój klinek! — zawołał Krzysztof, tupając nogą o ziemię — i ani ćwierć łokcia go nie ustąpię. Z gardła sobie wydrzeć nic nie dam, choćby żelazem, a nie dopiero procesem.

— A obaczymy! Wygram ci ja na prawie, a nie oddasz, to Załęski znajdzie u siebie i kawałek żelaza.

— Co ty mi, poganinie, grozisz żelazem? — huknął Krzysztof, a w tem Błoński:

— Mościpanowie! Wstyd jest i hańba wieczysta, aby szlachtą, posesyonaci i, dzięki Bogu, na gotówce siedzący, żarli się z sobą, jakby zwierzęta o kęs ziemi, który i sto tynfów nie wart.

— Hola, hola, a dokądże to waszmość zmierzasz? — zawołał Krzysztof. — Cicero nie przez to był wielkim mówcą, że gładko mówił, jeno, że rozumnie, a nie raził niczyjego honoru.

— Jeżeli Boga kochacie, pogódźcie się — prosił pan Błoński.

Ale Załęski znów na to:

— A jakże będzie z klinkiem?

— Klinek mój, powiedziałem i nie odmienię — zawołał Krzysztof Brześciański.

— Mój klinek, do stu tysięcy Tatarów.

— Jeżeli mi się poważysz tylko jednym pługiem tam zajechać, to i ciebie, i pług i chłopów na sztuki posiekam, a choćbym miał i całą wieś spalić, krzywdy sobie uczynić nie dam.

— Co ty mnie będziesz grozić siekaniem! — krzyknął Załęski. — Cóż ty myślisz, że ja ci się dam siekać! Jutro zaraz jadę z pługami i orzę.

— Ma racyę pan podstoli. Niech orze! — wołali hurmem przyjaciele Załęskiego.

— Co ma racyę! — huknął kasztelanic. — Tak, szaraki. To oraniny wam się chce na cudzych gruntach? Niech was wszyscy dyabli wezmą, pogańskie syny, z waszą konfederacyą! Chybabym głupi był z chamami konfederować. Gdzie moja szabla? Jabym z was żadnego gołą ręką nie dotknął! Gdzie moja szabla? Pokażę ja wam, jak to orać na moich gruntach. Już was lepiej pooram.

Czapkę znalazłszy i szablę, wyrzucił karczmarzowi kieskę z pieniędzmi i leciał ku drzwiom.

— Krzysztofie, umityguj się — wołali spokojniejsi.

— Puśćcie mnie! Róbcie sobie, co chcecie. Głowy sobie pourywajcie. Ja się nie podejmuję nad wami komendy. Ja wam pokażę, jak macie orać po moim gruncie, szaraki! hołota!

I wyleciał precz z szynku.

Tak skończyła się konfederacya sanocka. Kłótnia o kawałek ziemi położyła koniec zapałom, uczuciom i obowiązkom obywatelskim. Wszędzie i zawsze pilnuje przeciętny szlachcic Kaczkowskiego przedewszystkiem interesów osobistych, własnych lub bezpośredniego chlebodawcy swojego, a powoduje się sympatyami, przywidzeniami i kaprysami. Niezmiernie u niego mało rozumu politycznego i poczuwania się do wspólności z niedolą ogólną. Jak imćpan

Soplica Rzewuskiego, tak ogarniają i bohaterowie nieczujowscy zaledwo sprawy powiatu, choć mniemali, że samo urodzenie powołało ich do rządzenia krajem, do rozstrzygania o losach rzeczypospolitej.

Kłótliwi i niezgodni, zuchwali i pyszni bez miary, sądzą, że noszą na to broń przy boku, aby jej ciągle dobywać na brata. Słowo „honor“ nie schodzi z ich ust, lecz honorem zowią najpospolitszą drażliwość. Niech ktoś na kogoś drugiego krzywo spojrzy, niech się przez zapomnienie dopuści jakiejś nieformalności, niech z siebie przy kieliszku wina wyrzuci słowo gorętsze, nieopatrzne, jużci musi łba nadstawiać i krew się leje. Ale na polach bitew było tych junaków widocznie bardzo niewielu przy końcu XVIII stulecia, bo nie wziętoby ich i nie skrępowano, jak baranów. Przecież bić się umieli, choć rozwagą nie grzeszyli.

Czasem odezwie się wśród niesfornego krzyku bohaterów Kaczkowskiego głos rozumniejszy, a wtedy przemówi, jak ów młody Pieniążek („Mąż Szalony”):

— „Smutna to rzecz jest mościpanowie, smutna i wzruszająca serce aż do dna, że dzisiejszemi czasy w tej Polsce naszej, jeżeli jest ogień, to tylko do kłótni, fantazya do burd i zajazdów ochota do kielicha, a broń gotowa do rozlewu krwi bratniej. Smutna to jest i opłakana, powiadam, bo kto ma oczy, ten widzi, kto ma uszy, ten słyszy, kto ma serce, ten czuje, do czego taki zwrot narodowego geniuszu starożytny ten naród prowadzi, i jakie kary w niebie są zapisane dla tych, którzy odziedziczywszy po ojcach bohaterskiego ducha i broń zwycięzką od wieków, tę oboją spuściznę plugawią w domowych kłótniach i obrzydliwej rozpuście“.

Bohaterem nazywają mościpanowie sanoccy każdego, kto potrafi wypić kilka garncy wina. Prawie wszyscy dzielniejsi ziemianie tego zakątka są bibułami w nieznanym nam już dziś stylu. Niezabitowski,

pojedynkując się na kufle z Deręgowskim, gdy sobie uprzykrzył kubki największe, położył się z adwersarzem pod czop antałka i ssał bez wytchnienia. Murdelio wzbudził głównie tem podziw skarbnikowicza, że pił jak beczka bez dna i t. d.

Wracał skarbnikowicz („Murdelio“) z Tarnowa, wioząc z sobą trzy beczki wina, które kupił u Węgrów; ale na połowie drogi zastąpił mu Konopka, niedawno zwerbowany przyjaciel, i zabrał go do siebie. Aby gospodarzowi jego przystojną gościnę odwetować, pojechał z nim Nieczuja do Tarnowa, pospołu z panami Urbańskim i Załęskim, i jak się zabrali do owych beczek, tak wypili dwie przez jedną noc. Bo pan Urbański, wzrostem nie duży, ale tuszą potężny, mógł tyle pić, ile chciał, a kiedy mu się w głowie zaczęło cokolwiek kręcić, to tylko choćby nawet przez okienko zachlipnął trochę powietrza, już się i wytrzeźwił i mógł pić *de noviter*, jak gdyby był naczczo, a pan Załęski palił kubek półgarncowy jednym oddechem.

Jechali więc dalej z ostatnią beczką, lecz i tej nie dowieźli do domu, bo zatrzymawszy się w Krośnie na popasie, zabrali się do niej we dwójkę panowie Urbański i Załęski, a gdy im przybył niespodzianie do pomocy trzeci bibuła w osobie pana Deręgowskiego, wysączyli ją do dna.

Scena ta należy do lepszych w powieściach Kaczkowskiego, a zakończenie jej przypomina uśmiech ironiczny autora „Pamiątek.“

Kiedy trzej towarzysze byli już dobrze podchmieleni, przypomniał sobie Deręgowski, że go w Sanoku Niemcy pytali o pasport.

— Usiadłszy sobie przed bramą gospody—opowiada stolnik—czekam, póki pachołek koni nie popasie, aż tu nagle słyszę gwar jakiś w sieni. Przybiegam, patrzę, aż tu jakiś z niemiecka ubrany pyta mego sługę o pasport.

— O pasport! —zawołali panowie Urbański i Załęski żałosnym głosem przy beczce.

— O pasport! Ja do niego, co zacz? a on i mnie o pasport. — Ja tutejszy, mospanie, ale ty co za jeden? A on z krzykiem: Ty, co za jeden? Hej, jak porwę gwintówkę z mojego woza... poszedł, jakby go nigdy nie było.

— O pasport go pytali, mój Boże — zawołali znów obadwa od beczki.

— O pasport, jak mi Bóg miły — odpowiedział Deręgowski ze łzami.

— O pasport go pytali!—odezwał się Załęski— w ręce twoje, panie stolniku.

— O pasport, w ręce twoje, podstoli.

I tak tym pasportem przegradzając kufle, płakali, a pili bez miłosierdzia, a kiedy beczka zadzwoniła, Deręgowski, powstawszy i zacisnąwszy zęby, kopnął nogą w dno, które wyleciało w ten moment, a on sobie nalał pełen garniec lagru i zjadł go. A ujrzawszy, że tamci obadwaj posnęli, zalani łzami i winem, obrócił się do Nieczui i rzekł:

— A jako tę utracicie, już wam o innej nie myśleć — powiedział ksiądz Skarga Pawęski, a ja to powtarzam i dodaję, że jakom ten lagier zjadł, tak i całą beczkę zjem, kiedy zechcę, a bez pasportu pojadę i na kraj świata, a oni i kufla nie wypiją i z pasportami już jeździć będą aż do sądnego dnia. Bądź wasze zdrów.

To rzekłszy, siadł i pojechał.

I książę Panie Kochanku i starosta Kaniowski mogliby pozazdrościć Sanoczanom dobrego spustu i szerokiego gardła. Nie ma w tym względzie różnicy między szlachtą Rzewuskiego a Kaczkowskiego. I Litwini i Mazurowie i Galicyanie, wszyscy piją świetnie. Uczyć się od siebie tej sztuki nie potrzebują. Przewyższyli ich chyba jedni Łęczycanie.

Nieodrodni bracia przy kuflu, nie są jednak szlachcice Kaczkowskiego podobni we wszystkiem do

panów braci Rzewuskiego. Autor „Pamiątek“ i „Listopada“ zna przeważnie albo panów, albo szlachtę ubogą, z której się rekrutowali dworzanie magnaccy. „Hołotka“ ta wychodziła z czasem na ludzi, ale zawsze tylko po klamce wielmoża, której nie puszczała nawet wtedy, kiedy dobrze w pierze porosła. Synowie podstarościch, organistów, koniuszych i t. d. „znali oczywiście mores“ przed jaśnie wielmożnym lub jaśnie oświeconym, gdyż bez jego łaski zostaliby do śmierci w tłumie, spostrzeżeni i wydobyci na jaw na dni kilka, jedynie podczas wyborów. Między senatorami a ciżbą mościpanów służebnych znajdowała się warstwa pośrednia, którą Rzewuski pominął, a Chodźko zaledwo potrącił. Byli to nietylko *bene nati*, ale i *possessionati* ziemianie, siedzący na wioskach lub częściach dziedzicznych, noszący głowę dumniej od chodaczków. Z tej sfery czerpał głównie Kaczkowski, i dlatego dokonał, co Chodźko zamierzał, a nie potrafił.

Prawie wszyscy bohaterowie nieczujowscy „dziedziczą“, a jeżeli siedzą na dzierżawach, lub trzymają folwarki magnackie w zastawie, nie zależą przecież od łaski pańskiej, bo posiadają trzosy, nabite groszem. Żaden z nich nie służy, nie ma też między nimi tak obrzydliwych pochlebców, jak na dworze Radziwiłła, Panie Kochanku. Ma się rozumieć, że i w tej sferze znaczył majątek dużo, jak wszędzie i po wszystkie czasy, bo już Filip Macedoński mawiał, że osieł, objuczony złotem, przedostanie się przez każdy mur. „Ale to rzeczy najzwyczajniejsze—prawi Nieczuja—że materyalne korzyści wpływ mają wielki na najbujniejsze nawet umysły. Szlachta była butną, to prawda, ale wojewoda miał wielkie na tę butę lekarstwo, posiadał bowiem dzierżawy do rozdania, których nie żałował uboższym, i gotowe w skarbcu grosiwo, które snadnie przechodziło do *rąk* szlachty na wieczne nieoddanie, i stadko koni *i bydła, i rozlicznych* dostatków nie mało, z których

tylko okrucha mogła stanowić fortunę dla takiego szlachcica, który tylko lichą siewał owsinę, a tej jeszcze często nie zbierał, bo pod śniegiem umarzła. Zresztą bywało to po wszystkie czasy w Rzeczypospolitej, że przy zamożnych żywili się chudobni, a jużci nieprzyjaźnią do tego nie dochodzili" („Kasztelanice Lubaczewscy").

Więc czapkowali i szlachcice Kaczkowskiego jaśnie wielmożnym, chociaż nie tak nizko i pokornie, jak panowie bracia Rzewuskiego, lecz gdy ich który z senatorów lub senatorowiczów podrażnił, dotknął, umieli stanąć okoniem. Za drzwi chcą wypchnąć Sanoczanie kasztelanica Brześciańskiego, gdy im wydziwia od hołoty, a wojewodę Ossolińskiego byliby bez mała rozsiekali.

Wybrał się wojewoda Ossoliński do kościoła, wybrał się kasztelan Malicki („Mąż Szalony"), każdy z licznym *antiquo more* orszakiem. I stało się na nieszczęście tak właśnie, że kiedy pan kasztelan dojeżdżał do bramy kościoła, wojewoda pokazał się na rynku. Dworzanie kasztelańscy, obaczywszy orszak wojewodziński, wielkim pędem tuż, tuż dojeżdżający do bramy, kiedy już sami wjechali w bramę i naleźli się pomiędzy kościołem a murem, na onej drodze, prowadzącej naokoło przez schody kościelne, żeby to despekt zrobić wojewodzińskim i choć raz prym odnieść nad nimi, kazali masztalerzom jechać noga za nogą. Wtem wpada z hukiem i trzaskiem w bramę kareta wojewodzińska.

— Z drogi tam, z drogi! — wołają zaraz wojewodzińscy.

Ale kasztelańscy noga za nogą. Zaczęły sobie obiedwie partye niebawem przymawiać. Zniecierpliwiony wojewoda wyskoczył z karety i zawołał:

— Mości panowie! A co to? Napadają mnie na mojem własnem śmieciu. Panie Malicki! Każ jegomość ustąpić tej hołocie.

Zaledwie padło z ust wojewody słowo obelży-

we, zrobił się huczek nie na żarty. Sam kasztelan krzyknął:

— Panowie bracia, za łeb was biorą; wiem, co to znaczy, wolność całej szlachty naszej jest *in periculo.*

Zaraz ci skoczą jedni na drugich z szablami, i taki się zrobił tumult i rąbanina, że aż lud zaczął wybiegać z kościoła. Zaledwo z duszą uciekli wojewodzińcy za bramę zamku. A kasztelańscy, zgromadziwszy dokoła siebie całą szlachtę, która się znajdowała w mieście, nawoływali do ukarania wojewody, do zburzenia zamku.

— Nie jestem ja ludożercą — mówił pan Górski z Lutowisk — ani krwi bratniej łakomy, ale bądź co bądź jest, grubo uchybił i zawsze uchybiał nasz wojewoda! Bo co to, mospanie? My tu z dziada pradziada, my tutejsi, to nasza ziemia jest, a on co? Przecie powinien jakiś respekt znać dla nas. Ossolińscy nic nie są lepszego od Górskich, Urbańskich, Balów i innych. My tu senatorów nie znamy. My wszyscy szlachta, a ani krzesło, ani buława, ani nawet korona szlachectwa nie poprawi. Więc powinien mieć respekt dla nas: równiśmy mu, bośmy taka dobra szlachta, jak on, lepsiśmy odeń, bośmy tutejsi; a kiedy tego nie wie, to go trzeba raz koniecznie nauczyć.

Na tak śmiałą mowę nie odważyłby się żaden z panów braci Rzewuskiego.

Jeszcze daleko wyraźniej określił Nieczuja stanowisko szlachty do t. z. arystokracyi.

— Rozumiem ja to dobrze—mówi on („Murdelio")—że który szlachcic własną pracą i czynem sam się wyniesie nad innych, ten godzien tego, aby go wszyscy wynieśli. Głupiby był Nieczuja, gdyby się równał Stefanowi Czarnieckiemu, głupi Piotrowicz, gdyby się miał za jedno z Zamoyskim Janem, głupi Fredro, gdyby się kładł obok kasztelana lwowskiego. *Dlatego* też i senator dzisiejszy lepszy od niesenato-

ra, bo pracuje więcej i na większym warsztacie dla kraju, ale żeby syn jego był czemś lepszy odemnie, tego mi nikt nie dowiedzie.

Nie szlachcic z XVIII stulecia, lecz demokrata współczesny nie mógłby się rozumniej wyrazić od Nieczui. Zdaje się jednak, że w powyższem twierdzeniu odnalazłoby się więcej mądrości autora, niż skarbnikowicza, który do „legistów“ nie należał. Wszakże, cokolwiek dałoby się filozofii pana Marcina zarzucić, prawdą zostanie, że szlachta Kaczkowskiego, chociaż uznawała przewagę i znaczenie majątku i stanowiska, nie kłaniała się panom tak nizko, z taką pokorą, jak szaraczki Rzewuskiego. Oddawała, co się komu należało, ale i o własnej nie zapominała godności. Ceniła niezależność swą do tego stopnia, że trzymała się zdala od wszelkiej służby prywatnej. Panowie bracia Rzewuskiego wstępowali chętnie do palestry, gdyż zawód prawnika należał w wieku XVIII do najzyskowniejszych, szlachta zaś Kaczkowskiego nietylko, że nie rwała się za kratki, ale lekceważyła sobie nawet wszelakich „kauzyperdów.“ Skarbnikowicz namyślał się długo, zanim zasiadł w szynku za jednym stołem z „palestrancikami“, których już „z ojca od serca nie lubił.“ „Bo to naród nieszlachecki i na szachrajstwie tylko chowany. W chłopskiej chatce, albo pod warsztatem gdzie się to rodzi, od czyszczenia bucików poczyna, szlachcie bakę świeci i tumani całe życie, a nakoniec i herb się zkądsiś tam bierze i szabelka przy boku i dziedzictwo nie małe, a już fuma potem i pogarda dla drugich, że w kąt i szlachcic od Bolesławów i senator mu za nic“ („Murdelio“). Więc nie miał ochoty siadać z nimi za stołem i bratać się z tym, co „tak dobrze jak szewc, jak krawiec albo inny lud rzemieślniczy, za robotę grosz bierze na rękę.“

Oficyaliści magnaccy Rzewuskiego nie wstydzili się bynajmniej „brać grosza na rękę“ za pracę; przeciwnie, brali chętnie nawet zapłatę niezasłużoną, bo

przymawiali się przy każdej sposobności do łaski pańskiej.

JW. Józef Malicki, wówczas podkomorzy sanocki („Gniazdo Nieczujów"), zjechawszy do Lwowa, kazał odszukać małego skarbnikowicza, który tam był w szkołach, z zamiarem umieszczenia go w swojej kancelaryi. Każdy szlachcic Rzewuskiego byłby za taki fawor padł do nóg jaśnie wielmożnego, ale mały Nieczuja „przeląkł się służby, jak żyd pałasza", a ojciec aż szumiał z gniewu, że jego syna ktoś śmiał posądzić o chęć wycierania przedpokojów magnackich. „Jeszczeby tego nie stało — wołał skarbnik — żeby moje dzieci wycierały kąty u sanockich komorników. Jacy mi dygnitarze! Jeszcze żaden Nieczuja nie skrobał piórek za stołem i nie żył z wyderkafów po ziemstwach i grodach—i ty nie będziesz! Miecz masz w herbie z dziada pradziada i to jest twoje rzemiosło." Zaś do pana Malickiego napisał taki list, że się podkomorzemu odechciało raz na zawsze werbować synów szlacheckich do kancelaryj grodzkich.

Miecz masz w herbie z dziada pradziada i to twoje rzemiosło! Słowa te określają dostatecznie szlachtę Kaczkowskiego. Są to potomkowie dawnego rycerstwa, sami rycerze i niezależni majątkowo ziemianie. Jako ludzie zamożniejsi, różnią się od hołyszów Rzewuskiego większą ogładą, staranniejszem wychowaniem domowem, a nawet wykształceniem. Nie głęboka wprawdzie ta ich nauka i nie szeroka, ale zawsze bogatsza, niż u Imci pana Soplicy. I tak, mówi np. młody Nieczuja nietylko po łacinie, ale i po francusku, i posługuje się w towarzystwie żargonem eleganta owych czasów. Kiedy mu pani Strzegocka przedstawia Zosię („Murdelio"), pali bez namysłu:

— Wielce sobie szacuję ten dzień szczęśliwy, *który* mi przynosi honor poznania dam tak znakomi*tych parantelą,* jako też wdzięcznych urodą i wycho-

waniem; chwila ta atoli tem mi pamiętniejszą snać będzie dlatego, iż mi daje prawo, a nie wątpię, że łaskawe pozwolenie, nazywania się odtąd waszmość panien po modnemu kuzynem, a po staremu honorowym kawalerem i uniżonym ich sługą.

Na to Zosia.

— Nie mniej i nas też kontentuje poznać w waszmość panu naszej blizkiej familii kuzyna, a oraz kawalera cnót pięknych, odziedziczonych po ojcach.

A Nieczuja znów do Zosi:

— Z którego to szczęśliwego korzystając momentu, nie mogę nie wyrazić mojego ukontentowania, którego doznam, drużbując niebawem tak wdzięcznie dobranej parze, jaką waszmość panna uformujesz z swoim pięknym narzeczonym, a moim przyjacielem, panem Konopką.

Tak składnie nie wyraziłby się żaden z podrzędniejszych „przyjaciół“ domu Radziwiłłowskiego.

Tylko w rzeczach wiary i w stosunku do stanów niższych, nie różnią się sanoczanie niczem od Litwinów. Jak Imci pan Soplica, jest i skarbnikowicz religiantem starej daty: modli się pilnie, pości regularnie, wykonywa skrupulatnie wszystkie przepisy kościelne i nie wdaje się w żadne dysputy.

— Co tam będziecie się spierać o prawdy — mówi jeden z jego towarzyszów („Murdelio“) — których obadwa nie rozumiecie. Jest który z was ksiądz, czy teolog, czy biskup? Jak stoi w Piśmie, tak wierz, a kiedy w wierze twojej najdzie się jaki fałsz, ty za to odpowiadać nie będziesz przed Panem Bogiem, jeno ten, co pismo pisał. Boś ty jest prosty człowiek i nieuczony. Tak było u nas od wieków i dobrze było z tem. Wszyscy w jedno wierzyli i jedno robili, a dziś, kiedy się namnożyło piśmiennych a mądrych głów, to już każdy poszedł swoim torem, a owóż, gdzieśmy tem zaszli.

Jak Imci pan Soplica, uznaje i skarbnikowicz tylko stan szlachecki, nie racząc nawet zauważyć, że istnieją w kraju ludzie bez herbu. I jemu nie pachnie łokieć i miarka.

Napisał Kaczkowski małych rozmiarów powiastkę p. t. „Junakowie“, w której skreślił charakterystykę szlachty sanockiej.

Junakami nazwał czterech młodych ziemian, którzy wodzili rej w całej okolicy w ostatnich latach panowania Augusta III. Wszyscy czterej (Edmund Chojnacki, Deręgowski, Sobolewski i Nowosielecki) odznaczali się albo niepospolitą siłą, albo zręcznością fizyczną. Pierwsi dwaj byli tak olbrzymiego wzrostu, że kiedy sobie podali ręce, puszczali między sobą furę siana. Poznanie się Chojnackiego i Deręgowskiego odbyło się w sposób bardzo oryginalny.

Raz z jarmarku z Bukowska wraca sobie Deręgowski do domu konno, a przejechawszy ku Zagórzowi, że mu ta droga bliższa była, wali prosto przez łąkę. Chojnacki, będący właśnie u robotników w polu i widząc, że ktoś tratuje jego trawę, zbliża się i woła zdaleka:

— Hej, a kędy to waszmość jedziesz?

— Kędy mi bliżej—rzecze Deręgowski.

— Ba bliżej, ale to trawa, mosanie. Nie wolno.

— Nie wolno? proszę, jeszcze mi nikt nie rozkazywał.

— A ja ci rozkażę — krzyknie Chojnacki i jak go porwie za kołnierz, tak go jednym zamachem ściągnął z konia na ziemię, chociaż Deręgowski był także chłop duży, i tylko jeden w całem Sanockiem równał się Chojnackiemu. Wstając Deręgowski z ziemi, popatrzył się zwolna na Chojnackiego i rzecze:

— A gdzieś ty się tu wziął taki w okolicy, chyba cię ziemia dopiero wyrzuciła, żem cię nie znał dotychczas.

— Gdziem się wziął, to wziął, a po łąkach nie jedź, bo jak mnie wyrzuciła, tak ciebie pochłonie.

— Ano—powiada Deręgowski pomału—możebyś mnie i zjadł.

Na to pan Edmund:

— Jadł ja już nie takich, a nie sroż się bardzo, bo u mnie gęba wielka.

— Toć i u mnie nie mała, ale u mnie i ręka ciężka.

— Co ty mnie z twoją ręką! Ruszaj z łąki, bo cię razem z pachołkiem rzucę na drogę.

— Waszmość, widzę, ufasz swej sile, ale ja także; ja zjadę z łąki, ale zrób mi waszmość ten honor i spróbuj się ze mną, bom ciekawy, żali będzie choć jeden w Sanockiem, któregobym ja nie przemógł.

Zgodził się na to Chojnacki.

I wzięli się jedną ręką pod pachy, a drugą za karki i stali tak, jak dwa posągi, z pół *Ave Maria*, a potem, jak się rzucą, to wprawdzie Deręgowski upadł na ziemię i błoto się zrobiło na tem miejscu, gdzie trawa przedtem była w kolana, ale mu cały kubraczek Chojnackiego i z połową koszuli został w ręku.

— Dobryś—rzecze pan Edmund—jeszczem takiego nie miał w garści.

— Aleś ty lepszy — odparł Deręgowski—i proszę o twoją przyjaźń, a w razie chętnie się poddaję pod twoją komendę.

Odtąd zawiązała się pomiędzy nimi ścisła przyjaźń.

Do tych dwóch junaków przyłączył się niebawem trzeci w osobie pana Sobolewskiego, cześnikowicza żytomierskiego, który, chociaż nie rozporządzał taką siłą fizyczną, jak oni, był jednak sławny odwagą i mężnem sercem. Czwartym w tej kompanii był pan Chryzanty Nowosielecki, mały wzrostem, brunet z najeżoną czupryną, ze wzrokiem tak srogim, że kiedy patrzył, to aż dreszcz przenikał.

Nie posiadał on nadzwyczajnej mocy cielesnej, lecz był tak sprawny i szybki w robieniu bronią, że mu nikt nie dorównał. Na koniu tak siedział, że gdy się raz dostał na siodło, stawał się niezwyciężonym.

Pierwszą więc i przednią zaletą junaków, których niezależna szlachta sanocka uważała za najdzielniejszych pomiędzy sobą, była siła lub zręczność fizyczna i odwaga wojskowa. Czwórka, zjechawszy się, zabawiała się strzelaniem do celu, biciem w pałasz, ujeżdżaniem dzikich koni, słowem, wykonywaniem różnych sztuk rycerskich. Oprócz tego pili wszyscy świetnie, a najlepiej Deręgowski i nie „dali sobie nikomu pluć w kaszę", bo jeden z nich, Nowosielecki, wyzywał nawet samego wojewodę na pojedynek.

Odważni i wprawni we wszelkie roboty żołnierskie, odznaczali się junakowie sanoccy słownością, posuniętą do przesady. Słowo, raz wyrzeczone, w dzień czy, w nocy, po trzeźwemu albo po pijanemu, we cztery oczy, czy w dużem kole i zgoła, czy w formie obietnicy, czy pogróżki, już go poprawić nie było wolno i musiało być zaraz spełnione. Razu pewnego Deręgowski, napiwszy się zawiele, wyrzekł do Chojnackiego:

— Tak cię kocham, żebym ci zaraz dach własnego domu podpalił.

Zaraz Chojnacki odsunął się od niego i popatrzył mu ostro w oczy. Już wszyscy wiedzieli, co to znaczy i Deregowskiemu się ochapiło; ale nie namyślając się ani chwili, wziął głownię z komina, wyszedł na dwor i róg dachu podpalił. Wszyscy wyszli za nim i póty z zimną krwią patrzyli na tę tragedyę; dopóki ogień cyplu dachu nie doszedł. Dopiero rzucili się ratować.

Takie pojmowanie raz danego słowa prowadziło za sobą, że nie mówiono rzeczy niepotrzebnych. *Junak, zanim* coś powiedział, namyślił się dobrze, *wiedząc, że jego* parol, to czyn.

W braku wojska, którego było owemi czasy bardzo mało w kraju, pełnili junacy w Sanockiem służbę milicyi, a nawet policyi. Gdzie było trzeba kogoś ukarać, wyrzucić z dzierżawy nieprawnie posiadanej, upokorzyć za pychę, pomódz komuś słabszemu lub pokrzywdzonemu, niezawodnie znalazła się tam owa czwórka i zrobiła porządek. Nie opierał się nikt, bo każdy znał siłę ich pięści i szabli.

Z chłopami i mieszczuchami, lubo się nieraz trafiało, że pospolita szlachta za łby się wodziła, nietylko żaden z junaków, ale wogóle żaden stateczny szlachcic ręcznej sprawy nie miewał. Zawsze tak obraźliwi i za lada chuchnięciem chmurzący się: Chojnacki, Deręgowski, Sobolewski i Nowosielicki, chociażby od szlachcica najwyższej doznali obelgi, to ją mimo uszu puszczali, człowieka nieszlachetnego urodzenia wedle praw starożytnych uważając za takie stworzenie, które, spraw rycerskich nie znając, nikogo obrazić nie może. Dlatego, kiedy się wydarzyło, że się chłop ku nim zerwał, to śmieli się z niego, dowcipkując lub ziewając, tak jak lew na małego węża.

Nie inne mniemanie posiadał o wyższości krwi szlacheckiej pan Nieczuja. Zgadzał się on zupełnie z poglądami imci pana Soplicy, gdy mówił: Wolę widzieć prostego chłopa, pokalanego błotem jakiej nieprawości, aniżeli szlachcica, który mi jest równy i z dniem pochodzenia swego namaszczony na to, aby w obronie cnoty i uczciwości stawał, a gminowi przykładem był.

Siła fizyczna, zręczność w robieniu bronią, odwaga wojskowa, przesadna słowność, pomoc niesiona uciśnionym — stanowiły główne cechy dodatnie rycerstwa średniowiecznego. Junakowie Kaczkowskiego przypominają w wielu razach szlachtę Zachodu z czasów Hohenstaufów. Były to upiory wieków dawno minionych, o których Europa zapomniała. Świat cywilizowany wszedł na inne tory, a szlachta

sanocka została na miejscu. Więc stało się, że jednego z tych junaków... pytano później w jego własnym kraju o paszport. A pytał go o to... obcy przybysz.

Wszystkie te przedmioty były jeszcze wpośrod owej czwórki przymiotami. Zrozumiane źle i zastosowane niewłaściwie przez tłum szlachecki, wyrodziły się w zamiłowanie do burd, w zbytnią, bo drobiazgową drażliwość, w bezmierną pychę, nie szanującą nic i nikogo, i w obrzydliwe pijaństwo.

Jest między mniejszemi obrazkami Kaczkowskiego jeden („Edmund Chojnacki“), który odsłania znany rys charakterystyczny XVIII stulecia. Zgon Chojnackiego ilustruje jaskrawo przewagę władzy ojcowskiej.

Pan Edmund rozmilował się w urodziwej wdowie, w pani Salomei Strzeleckiej i pozyskał wzajemność. Przypadek jednak niefortunny zrządził, że o tej samej jejmości pomyślał jego ojciec, pan Maciej Chojnacki. Gdy się o tem pan Edmud dowiedział, „zbladł, jak ściana“. Był odtąd dziwnie rozstrojony i smutny. Gdyby w tej miłości i konkurencyi był znalazł dwóch, dziesięciu, dwudziestu nawet współzawodników innych, nie byłby się niczego obawiał. Pewny swojej miłości, byłby z nich wybił połowę, a drugą połowę wystraszył. Ale z ojcem współzawodniczyć nie miał siły i odwagi. Zrazu postanowił zaniechać ukochanej, gdy mu jednak tęsknota dokuczyła, skradał się do niej nocami, chyłkiem, aby nie obrazić ojca. Mimo to dowiedziano się o jego romansie w okolicy i odsądzono go od czci i wiary.

Bo wola ojca była jeszcze w ubiegłem stuleciu tak świętą nietylko dla dzieci, ale i dla opinii powszechnej, że każde przeciwko niej wykroczenie, nawet w takim razie, gdyby słuszność była po stronie wykraczającego, uważanem było za grzech *śmiertelny* i pociągało za sobą rodzaj hańby publicznej.

Edmunda Chojnackiego, chlubę powiatu, naczelnika młodzieży, opuścili nawet najserdeczniejsi przyjaciele. Junak, który się niczego nie lękał, ujrzał się nagle samotnym, jak gdyby się dopuścił czynu najbardziej hańbiącego. Zrozpaczony, truł się, zanikał, sechł, położył się raz podczas polowania na murawie i zasnął na wieki.

Tego rysu charakterystycznego nie pominął i Rzewuski, malując w „Listopadzie“ rodzica dawnego autoramentu w osobie starego Strawińskiego.

Szczegółowy rozbiór wszystkich obrazków, obrazów i powieści historycznych Kaczkowskiego nie miałby celu, gdyż nie dorzuciłby nowych spostrzeżeń do powyższych danych. Czarakterystykę szlachty sanockiej XVIII w., podobnej prawdopodobnie w ogólnym rysunku do niezawisłego rycerstwa innych okolic, zamknął autor w „Bitwie o Chorążankę“, w „Kasztelanicach Lubaczewskich“, w „Junakach“, w „Mężu Szalonym“ i w „Murdelionie“, powtarzając się w dalszych utworach. Nie ogarnął on wzrokiem dalekim całego ówczesnego społeczeństwa, zostawił na boku życie publiczne, o które potrącił tylko raz (w „Anuncyacie“), zadowolniwszy się stroną obyczajową epoki przedrozbiorowej.

Z calaj spuścizny historycznej Kaczkowskiego stoi pod względem artystycznego wykończenia najwyżej „Murdelio“, nie mówiąc o drobniejszych a wybornych szkicach. Luźna wszędzie kompozycya rozprzęga się z każdą późniejszą powieścią, aż dochodzi w końcu do zupełnego bezładu. Kaczkowski pracował za szybko i za wiele. Wysnuł on z siebie w lat kilka trzy czwarte tego, co wogóle napisał, a wiadomo, że jego dzieła wyszły w Warszawie w r. 1874 w jedenastu grubych i dużych tomach.

Jak Chodźko, kochał i Kaczkowski butnych i pobożnych junaków, mistrzów przy kielichu i z kordem w garści, a pokornych w kościele, lecz miłość

autora młodszego nie była już tak bezwzględną, jak jego starszych poprzedników. Kaczkowski widzi, mimo słabości swojej do szlachty sanockiej, jej wady i patrzy trzeźwo na czasy, które maluje. Nie są one dla niego zawsze dobre, pogodne i szlachetne. Nieczuja, kiedy podniósłszy się z ciężkiej choroby, w której o nim zapomniano, witał chmarę gości, filozofuje sobie: „Hej, hej, jak to, kiedy człek zdrów, worek ma pełny i stół ma czem zastawić, to mu i przyjaciół nie braknie; a niedawno, kiedym był słaby, że mnie ani do rozmowy ani do traktamentu nie było, to mogłem i skonać bez ludzkiej twarzy widoku, a niejeden z tych, którzy mnie dzisiaj ściskają i całują serdecznie, może dobrze wiedział o mojem nieszczęściu, ale mu ani na myśl nie przyszło podać mi rękę pomocną, albo przyjść choć przynajmniej dla pocieszenia. I gdybym był skonał przed trzema dniami, tak samo ciż sami goście piliby na moim pogrzebie, jak dziś piją w mój aniwersarz" („Murdelio")--a sam Kaczkowski mówi o głównym junaku sanockim, o Chojnackim („Edmund Chojnacki"), że „był to człowiek obdarzony znamienitemi przymiotami, lecz jego duch nie miał spójni, nie miał więzi wewnętrznej. A takich było naówczas wielu, od Ksawerego Branickiego i pana Szczęsnego, aż do Kirkorów i Dzierżanowskich.

Napisawszy w r. 1860 „Żydowskich" (wydanie książkowe w r. 1872), odwrócił się Kaczkowski na czas dłuższy od literatury pięknej.

Dopiero powodzenie Sienkiewicza zbudziło starego lwa powieści historycznej. W r. 1885-tym drukowała „Gazeta Warszawska" „Olbrachtowych rycerzy" Kaczkowskiego, a w roku następnym (1886) pomieścił „Kuryer Warszawski" jego „Abrahama Kitaja".

Zygmunt Kaczkowski umarł w Paryżu we wrześniu 1886.

K O N I E C.



